Rok XXVI.

Ogólnego zbioru Tom CI.

# ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT I.

**Styczeń.**

**WARSZAWA.**

1901.

DRUK. i LIT. JANA COTTY.
7. Kapucyńska 7.

# SPIS RZECZY.



**Zeszyt zawiera arkuszy 12.**

*Druk ukończono d. 18 stycznia 1900 r.*

Str.

## 9. Nekrologia.



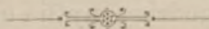
## 10. Polemika.







# BŁĘDNE DUSZE.



W godzinie zmierzchu, ku idącemu przez zamglone puste pola, kamieniami i jałowcem porosłe, zeszły się duchy błędne, przypełzły ich drogi bolesne, zleciały się ich godziny smutne, jak dzwony wieczorne, i poczęły mówić o sobie. On je słuchał rozgwarem wichrowym głośne,—i dziś, jak muszla morska, na brzeg wyrzucona, przynosi z sobą szum ich skarg, smutków i rozmodleń,—i to jest opowieść ich duszy.

* * *

Gdyśmy weszli w życie, bezsłoneczna szara noc polarna rzuciła cień na dusze nasze. Pociemniała nam ziemia rodzona, zamroczyły się oblicza wód. Drzewa, pełne szeptów złowrogich, kryły przed nam smutne tajemnice, a kiedy wicher uderzył w kosmate piersi boru, wyszarpywał z nich hymn, jakby przez groby pokoleń śpiewany. Jesienne wiry jaskółek spadały z krzykiem na zadumane nagie pola, przeświecające oczyma moczarów poprzez kępy wierzb i sitowi. Mleczna zwiewność przesłaniała świat i przędła mgły opalowe na gwiazdach. Na przechodzących patrzały kwiaty,

jak patrzy tłum na skazańców, urągały im szare, bezlitosne oczy głazów. Przez całą ziemię, jakby przez Boga zapomnianą, szedł wolny rytm znużenia, jak oddech spłakanego dziecka, giął się falami linii sennych, rozpękał wdali na niebie rozżalonym liliowym akordem — i spływał przez nerwy nasze tak, jak spływa przez skałę na morzu rytm fal, bijących o jej brzegi. Coś w tem życiu, co się przed nami jawiło, odeszło bezpowrotnie za błękit, biorąc z sobą całą radość ziemi. Na jej miejscu zostały dwie blade posępne siostrzyce— żal i groza, włóczące się wśród mgieł i wichrów wieczornych, by oczy ludzkie przerażać; żal i groza, dwie walkirye u zamkniętych bram wieczności.

— Chóry aniołów, unoszące się nad ziemią, uleciały, jak stado gołębi, spłoszone nocnym pożarem. Wicher myśli ludzkiej skręcił je i precz odrzucił w otchłanie, a one znikły z cichym jękiem w ciemności, błyskając bielą skrzydeł. Niewidzialne grzmiące dzwony biły w błękicie na wielkie egzekwie: to myśl królewską, myśl wieczną odprowadzano do grobu.

— Jak błyskawica na kirze nieba, tak przebłysła i spaliła się nasza młodość serdeczna.

A gdy zadzwoniły godziny myśli i czynów, wyszliśmy w świat szukać prawdy życia!

I ujrzeliśmy ziemię całą, lecącą przez ciemność czasu, jak płonący okręt przez morza; a za nią wichry płomienne, a wkoło niej światy rozbite, jak rozprysłe iskry pożaru. Lecz czy wie sama, gdzie pędzi, jakie *Fatum* wypuściło ją z ręki? Lecz czy zna kres swoich dróg? Maż ona w sobie tęsknotę wieczności, co wiedzie chór pielgrzymów przez morza i lądy? Wyzwała na bój wieczyste milczenie — ale komuż waży się zwycięstwo? Pełna czaru, co w noc miesięczną ubłękitnia sen lodowców w chramach granitowych i szumem puszczy budzi słodkie oczy łani — pełna czaru i upojeń, czy wie o swojej piękności? Okrutna i nieubłagana w hojnym darze cierpienia — ale czy ból, jaki zadaje, jest drogą do świateł wyższych? Orlim lotem krąży w błękicie, czekając godziny przeznaczeń, ale czy runie w przepaść, jak cedr podcięty, czy może dano jej zwinąć skrzydła błyskawicowe u stóp najwyższej Piękności?

I ujrzeliśmy dalej duszę ludzką, jak jedną kroplę w deszczu istnień, co bije w morzu nieskończoności, jak mgłę ranną, którą lada powiew rozprasza i drze na kawały, jak falę oceanu, idącą naokoło ziemi i rozbitą z bolesnym krzykiem o wybrzeża. Widzieliśmy, jak się ta jaźń migotała słabym błyskiem nad ciemnią instyn-

ków, jak sennie przegięta oddawała się w ręce hypnotyzera, jak rozszczepiała się w sobie, tworząc dwie i trzy i więcej jaźni, jak gdyby kilku ludzi zamieszkało w tem samem ciele, nic o sobie nie wiedząc lub szarpiąc się i dręcząc nawzajem.

I szliśmy naprzód po ostatnie granice wiedzy, nie przez ciekawość intellektu, lecz przez niepokój i dumę serca, szli, wyciągając ręce po wieczną prawdę życia, ręce blade od trwogi i żalu, aż póki wszystkie tak zwane wzniosłe i tajemnicze prawa przyrody, przed sąd uczucia postawione, nie wyznały prawdy prawd, że człowiek jest synem przypadku i śmierci, wieków żniwiarki.

A jeżeli tak?

A jeżeli tak, wówczas zamilknij, serce,—i zapomnij, jak najwięcej zapomnij. Zerwij w sobie struny, grające w wichrze nieskończoności, by pieśnią kłamaną nie wwiodły cię w drogi obłędne, jednym woli piorunem wyszarpnij je z siebie i bądź dumne! Rzuć się w kipiące odmęty życia, jak mewa, żyj tak, jak żyje step, jak szaleją błędne gwiazdy na niebie, żyj nie myślą, nie sumieniem, nie dniem wczorajszym czy jutrzejszym, lecz całą potęgą chwili, całym swym determinizmem, który każe kamieniom spadać ku środkowi ziemi, a sercu wieczyście ciążyć ku szczęściu. Wyśpiewaj pieśń upojenia, o której mówią indyjskie legendy, pieśń, której każde słowo otwiera otchłanie rozkoszy, ale ostatnie zabija. A kiedy przyjdą godziny starości, wzgardź jałową resztką żywota, nie czekaj ościenia śmierci, własną ręką otwórz podwoje umarłych i wejdź, jak władcy wikingów, zgonem królewskim, któremu równego niema. Gdy czuli, że ich siły odchodzą, wsiadali na okręt z drużyną i odpływali od brzegu. Tu, na pełnem morzu, w kole biesiadnem spełniali puhar ostatni, poczem drużyna, podpaliwszy statek władcy, wracała na ląd. I płynął król samotny, objęty różą płomieni, co na ciemnej toni wykwitła, falą i wichrem niesiona, płynął spokojny, w płaszcz purpurowy owity, aż przyszła śmierć zdumiona i zdmuchnęła światło jego oczu.

— A jeśli tak, to czyż wszystko, co szlachetne, nie jest tylko kłamstwem młodości? I cóż jest tak ważnego pod słońcem, by warte było poświęcenia? Bo jeśli człowiek, okruch życia, jest nam rzeczą dość obojętną,—Termopile? Leonidas? Głupstwo! Umarli, a więc skończyli jak najgorzej. Góral z pod Pentelikonu skończył lepiej, gdy żył rok dłużej i po wąwozach swej wioski zbierał jałowiec na sprzedaż do Aten. Patrz, jak tam, w ciszy pól Elizejskich,

suną cienie heroów, przyśnione oczom Homera. Czy słyszysz, z jakim jękiem witają wspomnienie słońca?.

Życie, życie, to cała pewność nasza. Kto tedy ma odwagę oprzeć się o nie, jak król o poręcze tronu, i, rozejrzawszy się po ziemi i niebie, uznać samego siebie za cel i koniec wszechświata, kto uczuł w sobie lwią samotność i wychodzi z siebie, jak lew wychodzi z komyszy, ten pojął eleuzyjskie misteryum natury, ten jest silny. Przyroda nie zna dobrego i złego,—jedno nad nią zawieszone przykanie: mocy, jedna wielka cnota: żądza życia. Że ktoś cierpi i że niesłusznie, cóż z tego? Wszelkie życie rozwija się kosztem życia, to jest jej prawo wieczyste. Grzech ludzki czy cnota świętego nic w tym porządku odmienić nie zdoła. Pająk zawsze będzie wysysał swój łup, między lwem a antylopą położona jest wieczna nieprzyjaźń; nawet wśród gwiazd na niebie toczy się blada, zażarta walka o byt.

Historya stara, jak świat, znana i banalna, nieprawdaż? A jednak w tej jarmarcznej wrzawie życia stoi duch ludzki, w sobie zasłuchany, podnosi oczy ponad brud i nędzę — i marzy, wiecznie marzy.

Nad nim gwiazd pełna srebrna noc południa, chwieją się liście palm i akantów, jak przez sen, jak w takt błądzącej po nich melodyi, stada spóźnionych żórawi zapadają w trzciny nadbrzeżne, ciemnobłękitny smug wód, oddechem fal przegięty, kołysze w sobie niebo gwiaździste, jakby łąkę, liliami zarosłą, stado antylop brodzi przez trawy rosiste, życie zasuwa się w zaświat, w mgławe miraże, przez niebo i ziemię spływa wielki rytm harmonii, idący gdzieś z oceanów nieskończoności, rytm, który chwytało ucho Greka i wiązało w boskie tetrachordy, jak gdyby jasny chór aryeli śpiewał pieśń stworzenia wysoko ponad światami, a coraz cichsze, coraz przezroczystsze echa opadały srebrną kaskadą na noc zasłuchaną, niosąc światu ukojenie i umiłowanie.

I to jest legenda o harmonii.

A kto położy rękę swą na sercu ziemi i przez złotogłów jej królewskiej szaty wyczuje jego dzikie, niespokojne bicie, kto na jedno mgnienie oka zdołałby spojrzeć w cały ból i ohydę życia, gdzie nienawiść, jak *pontifex maximus* błogosławi wszechstworzeniu,— będzież ten mówił jeszcze o harmonii?

I w tem jest niepojęta fatalność ludzkich uczuć, że dusza nasza wyszła już poza przyrodę, błędną tęsknotą niesiona w mgłę osamotnienia, i ujrzała się w nieznanym bezkresie, „jak łabędź, który na rzece zadrzemie i gdzieś obudzi się”, obracając oczy zdumione. Mię-

dzy ziemią a nami stanęły widma, z zadumy serca wyrosłe, podniosła się litość i czucie tak subtelne, wszechogarniające, jak gdyby nerwy nasze nikłą koronką swych włókien oplotły i przerosły cały wszechświat i wszystko, co żyje, od głębin morza aż po ostatnie gwiazd krańce. Oblicze nasze pochyliło się ku kwiatom, tym dobrym natchnieniom ziemi; one jedne w przyrodzie żyją, nie zadając cierpień nikomu. Oblicze nasze pochyliło się ku kwiatom, zapatrzyło w otchłanie litości, gdzie szumią strumienie smutku, gdzie świecą słońca gasnące, do rozranionych oczu podobne. Geniusz życia stanął na stopniach błękitu i, ująwszy skrzypce w rękę, rozpoczął wielką symfonię cierpienia. Były w niej łzy matek o wyschłych piersiach, zapach kwiatów, co rosną na mogiłach samobójców, spojrzenia bladych dzieci w oknach suteryn, bezsenne noce chorych po szpitalach, smutek starców bez domu i przyjaciół, myśli dziewczęcia kaleki, zgrzyt rygli po więzieniach, męka akacyi na brukowanych podwórkach.

A gdy dusza nasza napoiła się tą pieśnią, jak chusta, w krwi umaczana, przyszło litosne znieczulenie i skuło bielmem oczy nasze. Oczyma temi patrzećby już można spokojnie na rzeź tłumów, na miasta płonące. Ludzie o wzroku tak zmąconym obojętnieją na wszystko, na dolę własną i cudzą, na ludzką świętość, podłość czy głupotę; i gdyby nawet demon szczęścia stanął przed nimi w całej swej jasności, nie ruszyliby jednym palcem, aby go pozyskać.

Ale na dnie tej martwej ciszy, jak na dnie mórz świecące lasy polipów, taiły się lęk i niepewność; lęk zimny, jak pchnięcie stali, bezdenne przerażenie bytu, ogarniające mózg nagle, z najbłahszej nieraz przyczyny — przy spojrzeniu na wskazówkę zegara, przy pękaniu mebli w ciszy nocnej;— niepewność wszystkiego, tego nawet, czy jesteśmy, czy to, co czujemy, jako własne ja, nie jest emanacyą sennego marzenia ziemi. Jedyną niezachwianą i nieprzerwaną pewnością pozostał ból, Pan Święty i Mocny, Święty Nieśmiertelny, co mówi do nas, jak Bóg do Mojżesza: Jam jest, który jest, i wszystko, co trwa i mija, tak serca ludzkie, jak słońca i globy, spala, jak ziarnka myrrhy na swą chwałę!

I jak się łączy przedranne drżenie liści w jedną szeptaną modlitwę, jak tęsknota mgieł północnych za słońcem wiedzie je tam, gdzie ono wznosi z za lodowców swą królewską głowę i zbija je w jeden błędny tuman, kipiący kręgami kół, aż się z nich nagle zorza polarna rozgwiazdą światła zapali i słońcu łuk tryumfalny z palm opalowych wykwieci, a gdy słońce wzgardzi tą ziemią ponurą, burzy

swe dzieło świetliste, by je drżącemi rękami znów rozpocząć nazajutrz; —tak się spłynęła nad czasem naszym tęsknota dusz bezsłonecznych w jeden ciężki skłębiony zatop chmur, darty błyskawicami śmierci i rozogniony jedną żądzą: ulgi, wyzwolenia.

I oto dusza, co przemawiała krzykiem Izajasza, wychylała się z pism Platona, rozśpiewała liniami Partenonu i tryskała w błękit wieżycami tumów, dusza człowieka wiecznego, co za nią marł na piaskach pustyni, brał na siebie wór włosiennicowy, zrzekał się nawet tych kruchów szczęścia, jakie dać może kobieta, i rozpacznym głosem litanii wzywał zmiłowania bożego,—dusza ta dzisiaj biedna i znękana, jak sęp oślepły od gromów, wołała z głębi swych znużeń i ucisków o ostatni ratunek, o cud. Już nam czegoś więcej trzeba, niż człowieka; cokolwiekby dziś człowiek cudownego uczynił, człowiek wytłómaczy. Wszak lekarze uzdrawiają chorych jednem rąk włożeniem, jak święci. Coś, co jest najświętszego w duszy, czujemy, jak zapada w mrok; niechże tedy przyjdzie znak niebieski z zaświata, groźny znak płomienny, z przestrzeni gwiezdnych schodzący na niebo, aby ludzi wstrząsnąć i wybawić. Niech się zjawi, niech uderzy w ziemię błyskawicą, jak w widzeniach Katarzyny Emmerich wniknęła w ziemię dusza umierającego Chrystusa, niech w dłoniach swych przyniesie światło żywe, co nie gaśnie, rozkruszy je w palcach i rozda, niech wzniesie ramię i wstrzyma czas tam, gdzie biją godziny młodości! Jeśli tęsknota tylu wieków nie idzie w próżnię bez echa, jeśli ona ulata w sfery wyższe, jak orły, które błękit wchłania z przed oczu, zejdź ku nam, wysłuchaj nas, Panie!

Jeśli człowieka serce i hyeny nie jest dla ciebie rzeczą równie obojętną: podaj rękę, zachowaj nas, Panie!

Jeśliś Ty ojcem naszym, jak nam o tem mówili prorocy,—my grzeszni Ciebie Ojca prosimy, zmiłuj się nad nami!

A tymczasem cud nie nadchodził, wszystko szło dalej swym biegiem tak nielitościwie naturalnym, swym chodem leniwym a depczącym, jak chód najemnego żołdaka. Tak samo wstawała gwiazda słońca odstrzeliwać swój blask w ostrzach bagnetów i na kopułach kościołów, tak samo dumnie rozpostarte chodziło arcyłotrowstwo, tak samo w ciszy krwawiły się ukryte cierpienia, a dusza ludzka schodziła niżej, coraz niżej, w otchłanie smutku, na kamienne dno zrozpaczenia.

I jakby niedość urodzić się synem ziemi, potrzeba, aby jeszcze smutne, krwi pełne słońce oświecało nam jej bladość cichą i posępną.

Gdyśmy błądzili po niej w godzinach wieczornych, słuchając w sobie głośnej rozterki fal, szumu białych topoli i pancernego po stepach tętentu, wówczas z gęstwy mroku wychylała się ku nam szara wiedźmowa Ananke i, potrząsając ręką bronzową, krzyczała: „Syny ruin, liście dębu, strzaskanego piorunem — nie wam życie, nie wam nieśmiertelność. Na marne — to wyraz dla was stworzony. Coście zbudowali, rozsypało się, coście wykwiecili, uwiędło. Morza i lądy szły ku wam i oddawały swe klucze, a wy coście z nimi uczynili? Zamiast położyć się na świecie, jak lew na zdobyczy, i sztandary wieków rzucić pod swe stopy, wy, lwy z postawy, a z serca dzieci, śmiechu pełne i do płaczu skore, obraliście cienie sadów i rodzinne na gankach wieczory, posnęli w duchu, jak płyty nagrobne. Więc los zatrzymał na was swe oczy przez chwilę, a widząc leniwych i sennych, odwrócił się od was — i minął. Nie dość rozumni, by być złymi, nie dość wielcy, by być dobrymi, nie dla was życie, nie wam nieśmiertelność."

Tak wołała—a echo jej słów biegło za nami, jak wycie wichrów jesiennych. Na marne, wszystko na marne. Coście zbudowali, rozsypało się, coście wykwiecili, uwiędło. Duchy mocarne odeszły, wziąwszy z sobą tajemnicę siły; wielkie struny chrobrego rapsodu rdzewieją smętne i nieme, odkąd ani jeden duch nie umiał oprzeć tej harfy o siebie, ani jedno ramię nie miało siły strun tych potrącić i zmusić do dźwięku. Fatalna jakaś tęsknota rozszarpała ten lud, jak lew płowy rozszarpuje łanię:

tęsknota złota orlego powietrza stepów —

tęsknota drżąca promieni gwiazd, wbitych w leśne jeziora —

tęsknota śnieżna nocy grudniowych, idących w chmurny bezprzytułek —

tęsknota kwietna wichrów od gór, roztopów, prących ku morzu w bujnem wrzeniu młodości, łąk i polan, w ciszy porannej pękających mnogiem listowiem ku słońcu —

tęsknota palmowa dzwonów Nocy Wielkiej, rozchwianych w oknach wieżyc podniebnych —

tęskota ciemna, jak śmierć, niepojęta, jak życie, wiecznie samotna, jak Bóg —

tęsknota złota, tęsknota złotej wolności.

W jej obłoku odeszli ojcowie posępni, milczący — i znikli nam z oczu; tylko lśnienie słoneczne pozostało po nich w błękicie, jakby kilka mórz i stuleci położyło się między nami. Gdyby choć jedno słowo, jeden giest, przez nich w spadku nam zostawiony, jedna gwiazda, na niebie wskazana, byśmy iść mogli za nią i zaufać. Gdy-

by choć jedno imię, coby skupiło upragnienie wieków w jedno palące ognisko i ruchem siewcy rzuciło ziarno twórcze w przyszłość, w ducha ludu — gdyby to jedno imię bohatera...

Dlaczego żaden duch olbrzym, syn wieczności, rozłamywacz praw ludzkich i tworzyciel nowych, nie zstąpił na tę ziemię? Kto ich rodzi, kto zsyła i oddaje w ręce dusze ludów? Czy przypadek, błazen dziejów, czy pracujący w ziemi demiurgos? Ktokolwiek ich rodzi, tych lwów świata, czy nie dlatego wzgardził nami, żeśmy przyszłość naszą oparli o drzewa oliwne Chrystusa?

A jeśli przyszłość ziemi idzie przez miecz i krew i przez godziny dziejowych okrucieństw? A jeśli ona jest woskiem w rękach olbrzymów, co przechodzą przez świat, jak orkan huczący, siekąc bez litości leniwe fale życia, aż się zerwą olbrzymim porywem?—

Drogi nasze wybiegły inaczej, cieniem krzyżowych ramion przekreślone... Na marne, wszystko na marne. Nie dość rozumni, by być złymi, nie dość wielcy, by być dobrymi, nie dla nas życie, nie nam nieśmiertelność.

A wtedy cały ból ciemnej próchnicy, i długie wichrem grające jesienie, i pachnące nicością ruiny, i milczenie wyoranej rdzą przeżartej stali, i pokratowana plama słońca, urągająca w mroku grobów królewskich, cały smutek bezpłodnych bohaterów i ofiar bez wiary w ofiarę i blada szarość serc bez wielkiej myśli i bez jutra życia, wszystek tej ziemi żal i krwi w żyłach bicie, co gdzieś głuchem, po nocach słyszanem kuciem zatrważa nawet drzewa i zwierzęta — przeszły w nas, jak napięcie elektryczne wchodzi w drzewa, które ma piorun porazić, i uderzyły wezbraniem ognistych fal.

I przyszedł na nas stan, w którym ta dusza zapomina całkiem o sobie, a staje się ziemią swej ziemi,—i już nie wzywa niebios przed swój sąd ani wznosi niewiernych rąk do modlitwy, a tylko jęczy w sobie samotną zasklepioną nocą i kołysze się na fali bolesnej.

I przyszło na nas rozbicie, jakiemu ulegają planety, gdy potrzaskane w kawały krążą ruchem wirowym wśród gwiazd, wiedzione tylko mocą dawnngo rozpędu, aż wszedłszy w sferę obcych słońc, rozsypią się zmęczone i runą w bezdeń deszczem marnych błyskawic.

I przyszło rozbicie na dzieciństwo, ubłękitnione światłem witraży— i na młodość z młotem Tubalkaina, w kuźnicy myśli walącą złudzenia;

rozbicie na głos przyrody — i na postulaty serca;
na czucie Mickiewicza — i na rozum Darwina;
na dumę króla — i nędzę Łazarza;

na kult Najświętszej Panny — i Astarty;
na Chrystusa — i Lucifera;
na żądzę życia — i tęsknotę śmierci.

* * *

Gwiazdy zimne wokoło głowy Twojej, pod Twemi stopami słońca, gasnące w mroku; purpura Twojem okryciem, w ręku kwiat lilii czarnej, Niepokalana: — o Śmierci, bądź pozdrowiona.

— Ty dajesz ciszę i sen, Ty gasisz serca płonące.

— Ciebie, wieków królowo, chwalą chóry ciemności, Tobie kłaniają się wichry, niosące mór i pożogę.

— Ty bujasz morza falami, Ty wiejesz wichru skrzydłami, Tobie drogę ognistą ścielą splątane pioruny.

— W Tobie piękność śniegów wieczystych, w Tobie spokój miast zatopionych w morzu. Oczy Twe błądzą po ziemi, jak senne blaski miesiąca; na co spojrzysz, ścina się w lód, czego dotkniesz, rozwiewa się w dym.

— Na ruinach zamczysk i świątyń słychać imię Twoje, szeptane przez liście. O Tobie gwarzą cienie puszcz, martwice fiordów, głosy jaskiń podziemnych.

— Ty łamiesz oścień życia i otwierasz bramy z tej doliny łez. Ku Tobie z płaczem i śpiewem idziemy, ziemio święta, do ciebie wracamy zdala, ojczyzno nasza.

— O Śmierci, ty kończysz wszystko. Weź nas już, daj sen i niepamięć. Serca nasze pełne łez, jak łodzie tonące, tęsknią do dna, czekają fali ostatniej.

— Weź nas, upieść, ukołysz, Matko słodka i okrutna. Przesuń dłoń przez oczy nasze zmęczone i zdejm z nich pstry łachman życia. Niech się nim cieszą ci, którym wesoło, wiej i potrząsaj nim przed ich oczyma. My odejść chcemy, o Święta!

Jakże pięknem jest słońce, gdy w ogniach zrywa się z ziemi i pędzi złotym łukiem przez błękit! Jak śpiewnie dźwięczą jego promienie, jak drgają błyskawice kół!

A jednak, o śmierci, odejm od nas jego blask i jego marną zabawkę. Niech zejdzie z oczu naszych na zawsze.

Ty daj nam ciszę i ciemność, Ty zgaś nasze serca płonące: o śmierci, bądź pozdrowiona!

* * *

I wtedy stała się rzecz dziwna. Z wyżyn błękitu, po marmurowych stopniach światła zstąpiło z cicha jasne ukojenie na samo dno męki, niosąc w ręku srebrzejące godziny świtu; zstąpiło w cichej uroczystej śpiewności, jednym sennym ruchem ręki zdjęło z duszy to, co jest chwilą i przypadkiem, i wyprowadziło ją z ucisku praw koniecznych w nieskończone stepy wolności. „Oto kładę dłoń na sercach waszych" — mówił głos, jak ranny wicher wiosenny — „i czuję je wszystkie, jak własne. Szukacie, błądzicie, pali was tęsknota bezmierna. W jej ogniu spłonęło wszystko, co życie dać może, ale z jej udręki i rozpaczy wyrosła rozbudzona odwieczna mądrość serc waszych. Słyszycie rytm jego uderzeń? W tym rytmie bije serce świata, ten rytm rządzi słońcem i gwiazdami. Nic w nim nie ginie, nic nie idzie na marne, każde jego uderzenie wkuwa życie w bryłę czasu, przepaja ją swoją krwią. Co jest z niego, choćby niczem było w świecie dnia, promienieje w nieskończoność i trwa wiecznie. Ono jest najwyższą mądrością i cudem. Choćby cały codzienny bieg świata był przeciwko wam, jemu wierzcie".

A za nią, gdy odchodziła, biegły przeczucia jasne i dobre. Myśl jest złudną, serce oszukać się nie da. Myśl świata nie zgłębi, nie obejmie; wszędzie tam, gdzie uderzamy o dno doświadczenia, stajemy przed tajemnicą, patrzymy w przepaść, zasłaniając sobie oczy wyrazem. Uczucie chłonie go w sobie. Myśl chwyta tyle, ile jej zmysły doniosą; przesuńmy skalę wrażeń na inną, wyższą czy niższą, a otrzymamy świat inny dla intellektu. Świat uczucia pozostaje zawsze ten sam; w nim objawia się w swej nagiej mocy prasiła, w sobie niezmienna, w sobie pracująca, rzucona cała w rozpęd wolności, a poddana pod ucisk i tęskniąca do wyzwolenia.

— I ta rozbudzona mądrość serca wiedzie ducha poza ciało i przyrodę i spokojną piękność posągu. Wystarczało to może Grekowi, a i jemu nie wystarczyło; wszakże poroztrącał swe posągi. Ale nam dzisiaj potrzeba daleko więcej. Nam potrzeba rozerwania praw natury i wyzwolenia się wzwyż. Wiemy o tem, że wszystko jest naturalne, że niema nic nadnaturalnego, ale wiemy także i o tem, że są wyższe wartości duchowe, gdzie obowiązują inne prawa życia i działają inne siły wieczyste.

I ta rozbudzona mądrość serca magnetyczną siłą prowadzi do tych jedynych, którzy coś wiedzą, coś wprost z wieczności w duszy swej ludziom przynoszą i mają głos, drgający tym przedziwnym tonem prawdy, co każe niebu i ziemi przemijać, a słowom swoim trwać i dzwonić wiecznie. Bo słowa te nie są wyciśnięte z mózgu ani podpatrzone w przyrodzie, co, niższą będąc od człowieka, człowieczej

prawdy dać mu nie jest zdolną. One zostały wyszarpnięte z tego najwyższego cierpienia, które jest darem wybranych.

I ta rozbudzona mądrość serca uczy, że cierpienie nie jest ani bezmyślnem złem, ani bolesnem głupstwem, lecz ogniem, smagającym duchy ku wyższej piękności, by więcej bóstwa w siebie wzięły i czyściej odbiły go w sobie. A jak jest dziedzictwo pracy i siły, tak być może dziedzictwo winy i cierpienia, bo wszystkie duchy są tym samym duchem, co je w sobie wiąże i ogarnia.

I ta rozbudzona mądrość serca przeczuwa, że wszystko jest jednością, ale nie dla człowieka, ale jeszcze nie dla człowieka. On jest poddany złemu i dobremu, i od tego cierpi jego wolność. Zło dotyka w nim tego, co jest wieczne — a dotknięcia tego żadna woda ziemi nie zetrze.

W złem i dobrem błądzi jeszcze wola człowieka, wyzwala się z nich dusza bohatera, wolny od nich jest czysty Syn Boży. Bohater sieje śmierć i mękę, a one nie są mu za złe poczytane, bo on, jak rybak sieci, ciągnie duchy leniwe za sobą, a będzie mu wyrzutem wiecznym i spadnie na piersi, jak sęp, jedno chwilowe zawahanie się, jedno słowo wypowiedziane albo zamilczane.

A czasem to drżenie duchowe, przejdze przez cały lud, jak strumień podziemny, i zasrebrzy się kaskadą w jednym z tych ludzi, co duszę swoją rozdają rzeszom na pokarm. Wtedy wstaje z ziemi duch przewodni; niebiosom każe słuchać, gdy mówi, Boga wyzywa na uczucia i wie, że, nieśmiertelnym będąc, tworzy nieśmiertelność.

I ta rozbudzona mądrość serca otwiera oczy na przedziwne tajemnice ziemi. Gdy prawie wszędzie dzieje lepią się z tego, co jest codziennem w człowieku, tu duch zbiorowy, duch rasy poddany zostaje namiętnościom człowieka wiecznego, tęsknocie do woli Absolutnej. I ta tęsknota, nie znosząc na sobie praw i instytucyi, bo dusza w instytucyach maleje i cierpi, stworzyła fatum tego ludu. Z niej wyszły karty jego dziejów, których ani łokciem kupieckim pomierzyć, ani mapą objąć niepodobna, ona za cel dziejów postawiła człowieka i wyzwała do walki tradycye rzymskich cezarów, co zlekceważyli duszę ludzką, a ubóstwili ogół i jego potęgę. W tem znaczeniu dzieje tego ludu to wstrząsający dramat duszy wiecznej, szarpanej przez pragnienie Absolutu i przeciwne mu ciążenie ziemi. A choć dusza ta ukarmiona jest chlebem płaczu i upojona gorzkością, choć wszystko, co daje życie dnia i ziemi, odjęte jest od niej, zostało jej FATUM niezmienne—i już wiosenne jego moce rozprzężają się w sobie. Czy one złe są czy dobre, zgubne czy zbawienne, w każdym razie jedyne twórcze, radosne i, jak sama natura, potężne. I trwa

dalej nadziemskie pasowanie się potęg i przędzie się z duchów płaszcz królewski, nadchodzącym czasom przeznaczony, a według miary poświęceń będzie miara jego piękności.

I oto pierwsze białe gołębice Parakleta, w noc ciemną pukające do okien ludzi bezsennych, oto dalekie rozbłyski, jak bielejące mury Jeruzalem, witane z jękiem i pokalaniem się w prochu przez samotnego pątnika. Jakieś północne przesilenie odbywa się w duchu; a choć ciemność i martwica dokoła, tam w oddali dzwonią godziny jutrzni, śpieszące ku ziemi na skrzydeł przezroczy. Wichrzyce duchowe niosą świat ku celom zakrytym. A jak ty, ziemio, rwiesz się naprzód w kurzawie chmur z błyskawicznym pośpiechem choć udanym spokojem okłamujesz oczy nasze, tak rwie się naprzód szerokością całej piersi duch natury ku człowiekowi. Na niego patrzą wierzchołki gór, o nim mówią gwiazdy po nocach, łąki przypadają mu do stóp i podchodzą pod jego progi, wzburzone wody są posłuszne jego głosowi. A ten Adam, w dolinie łez porzucony, zgarnąwszy ku sobie cały ból i mękę ziemi, idzie naprzód przez trzaskające Boże płomienie i nie ustaje w pochodzie, dopóki bramy wieczności nie rozpękną się od jego ducha. Z wszystkich jego prac i wysiłków, z ruin Niniwy, wężowych linii Fryne, z krwawego potu chłopa-oracza, z zadumy mędrców i marzeń poety, z modlitw i bluźnierstw, żalu i rozpaczy, wiąże się jeden wielki hymn, jeden wyzew, z krwi i ducha dobyty, potężne VENI CREATOR, Przyjdź, duchu Tworzycielu, co ogarniasz ziemię i niebiosa.

Przyjdź i napełnij serce nasze. Patrz, oto ono samo dla siebie jest wieczystą tajemnicą. Dwie wrogie sobie tęsknoty pochwyciły je w swą moc i zwarły się z sobą: tęsknota do Chrystusa i tęsknota do Lucifera, miłość wszechogarniająca i żądza wiecznej odrębności, żal kojący i samotnicza duma woli, poświęcenie siebie dla wszystkich i poświęcenie wszystkich dla siebie, tęsknota do Chrystusa i tęsknota do Lucifera... Pogódź w nas tych Synów Bożych i zamknij sobą bolesne serca przepaście.

Rozpłomień nas ogniem miłości, naucz kochać nie tylko mierność i słabość, lecz pchnij i poprowadź w wysiłek, w bohaterstwo, w pokonanie niepodobieństw, w protest jednego serca, przeciw całemu choćby światu postawiony. Daj nam umiłowanie twórcze, co wie, że niedość cierpieć, i znosić, i zbierać dzieci, i karmić żebraków i piastować w sobie znękaną twarz *Ecce Homo*. Daj nam ten gniew Chrystusowy, co zwalczał obłudę i chciwość, i ten Jego

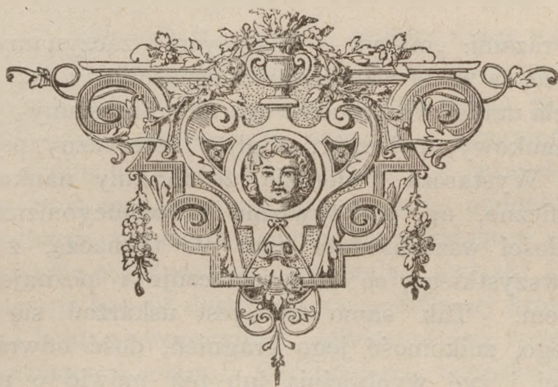
płacz nad całym ludem i te młodzieńcze godziny zadumań, co wykołysały w Nim myśli, świat biorące w rękę, jak glinę na koło garncarza.

Ześlij Ducha Twego w ponury zgiełk i marne nic tego czasu, w którym żyć nam przypadło, a odnowisz oblicze ziemi, *et renovabis faciem terrae.* Będzie w niej miejsce na ból, ale nie będzie miejsca złemu i podłości, będzie smutek nieukojonej tęsknoty, ale nie będzie nędzy, chorób, kalectwa i śmierci. I odnowisz oblicze ziemi, tak nam mówili prorocy. Jeśli to prawda, jeśli to prawda, ciesz się, serce, i śpiewaj!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

A jeśli sen i złuda, daj śnić, nie budź nas, Panie...

*Artur Górski.*



# MISTYCY I NAWRÓCENI
## W LITERATURZE WSPÓŁCZESNEJ.

### I.

Pod wyrazami: „mistyk — mistycyzm" zaczynamy dzisiaj za wiele rozumieć; za wiele różnorodnych usposobień i dążności współczesnego życia umysłowo-uczuciowego nimi określamy Już mamy mistycyzm naukowy, społeczny, religijny, estetyczny, psychologiczny i t. p. Wystarcza twierdzić, że formuły naukowe i doktryny filozoficzne, np. pozytywizmu i ewolucyonizmu, są zbyt surowe i całości wszechświata nam nie tłómaczą, że nie obejmują tego wszystkiego, co człowiek czuje i poznaje, — żeby być mistykiem. Tak samo dość jest uskarżać się na nędzę bytu ludzkiego, znikomość jego pragnień, dość odwracać się od rzeczywistości i żyć wyobraźnią lub też mówić o niezaspokojonych potrzebach serca i tęsknić do życia uczuć bezpośrednich, nietkniętych pracą myśli, żeby uchodzić za mistyka. Nakoniec można nim być i wówczas, gdy się żyje udręczeniem zmysłów, rozdwojeniem istoty swojej, spragnionej światła i czystości, lecz pogrążonej w mroku i grzesznym pożądaniom oddanej, gdy się przebywa w dusznym świecie własnych halucynacyi seksualnych, a mimo to dąży się do jutrzni życia nadzmysłowego, do jakiejś bezcielesnej polifonii duszy, wyrwanej zgiełkom i poniżeniom ziemskim.

Pragnienie ideału, tęsknota do absolutów uczuć i myśli, wstręt do zmateryalizowanej, chciwej i płaskim interesom hołdującej cywilizacyi współczesnej; głucha trwoga ciała i świadomy źródeł swoich ból umysłu, osłabienie woli i szarpanie się serca, współczucie dla cierpień rodzaju ludzkiego i pokutnicze kontemplowanie jego grzechów, szały zmysłów i podniebne szybowanie czystej *psyche* ludzkiej; przeczucia i zdumienia, żale i westchnienia, poważna troska myśliciela, ascetyzm grzesznika, zarówno jak paroksyzm zniecierpliwienia neurastenicznego, głosy niewoli i głosy nadziei, wiary i niewiary, buntu i skruchy, — wszystko to, wszystkie te różnoimienne pierwiastki odnajdujemy w tem chaotycznem i powikłanem usposobieniu duszy współczesnej, w tym jej prądzie, którego kierunek nazywamy mistycyzmem. Świadczy to, że w duszy człowieka dzisiejszego zeszło się i pokrzyżowało mnóstwo dróg i aspiracyi, że się krańcowe stanowiska umysłu zbliżyły ku sobie, wyniki kultury wieków zbiegają się we wspólnem ognisku, że wzrost doświadczenia i zawodów rozumu, pomnożenie się potrzeb i braków serca odjęły duchowi ludzkiemu pewność siebie i zachwiały podstawami, na których się wspierał: słowem, że życie duszy stało się bardziej złożonem, mniej jasnem i sformułowanem, że jedność jego trudniej się wytwarza, bardziej jest chwiejną i wymykającą się determinacyi. W istocie, gdy zestawimy rozmaite objawy ruchu myśli dzisiejszej, gdy rozważymy różne wyrazy potrzeb i tęsknot duszy współczesnej, wówczas z łatwością się przekonamy, że — w obecnym jej stanie zamętu i niewyraźności, w tem dążeniu do utrwalenia samej siebie, do ułożenia własnych, sprzecznych pobudek i pragnień w systemat bardziej spójny i lepiej zrównoważony — wyrzekła się ona w wielu wypadkach zapalczywości swej i uporu, niemało pierwiastków nieprzejednania wyrzuciła z siebie, wytwarzając w sobie skłonności i usposobienia pojednawcze, zawiązując związki i wchodząc w stosunki, ułatwiające jej dostęp do wyczekiwanej krainy: harmonii, skupienia i ładu wewnętrznego, solidarności ze wszechświatem i zgodności z własnymi celami. Różnoimienne temperamenty, umysły, szkoły i zasady, wysiłki i cele zaczynają poczuwać się do pokrewieństwa, dopasowują się do siebie, głoszą solidarność swoich zamiarów i pragną wspólnych haseł używać. Okkultyści i agnostycy, neo-katolicy i altruiści społeczni, surowi przedstawiciele bezpośredniego ewangelizmu, zarówno jak subtelni zwolennicy odrodzenia człowieka przez rozwój uczuć estetycznych i bezinteresowny kult piękna, — filozofowie i naiwni, artyści i reformatorzy, dogmatycy religijni i znużeni sceptycyzmem intelektualiści, ludzie uczuć pro-

stych i uczuć wyrafinowanych, świadomych i bezkrytycznych, — wszyscy oni zbierają się chętnie pod stropem jednej kopuły, jednakowe odprawiają misterye i jedną krzepią się nadzieją, chociaż różnych środków używają i z niejednakowymi zasobami duszy wchodzą na wspólny gościniec poszukiwań i rozstrzygania zagadnień. Wszyscy są przeniknięci poczuciem „tajemnicy", wszyscy żyją w niepokojącej atmosferze „aksyomatu wieczystego", jak się wyrażał H. Taine, biją czołem przed „niepoznawalnem" i pełni nostalgii zatrzymują wzrok swój na bezmiarach tego oceanu, po którym płynąć trzeba bez łodzi i żagla... (Littré). Nadewszystko jednak łączy ich wspólne, nieokreślone poczucie tego, że noszą w sobie mnóstwo żądz niezaspokojonych i sił niezużytych, skąd też wnioskują, jak to słusznie zauważył F. Paulhan w pracy swojej „*Le Nouveau mysticisme*", że istnieje we wszechświecie coś takiego, co powinno tym potrzebom zadośćuczynić i siły uwięzione wyzwolić, i że owo „coś" pozostaje dla nich ukrytem...

Podług nas, jak kto będzie to ukryte „coś" rozumiał, skąd będzie wyczekiwał zaspokojenia swych pragnień nieziszczonych i wyzwolenia sił ujarzmionych, jakiemi kto drogami zmierzać będzie do celu tego — za pomocą serca, czy myśli, etyki czy estetyki, wiary czy wiedzy, poezyi czy nauki, reform społecznych czy też ideałów uczuciowych (pozytywnych bądź imaginacyjnych), — takim też będzie rodzaj jego „mistycyzmu", jego tęsknot i dążności duchowych do bytu pożądanego, — zupełniejszego i trwalszego, niż wszystko, co ziemskie, od przypadku i ironii, wrażeń zmiennych zależne. Nic więc dziwnego, że rozmaitość dróg, przy podobnem położeniu — mniej lub więcej pokrewnym nacisku „tajemnicy" na świadomość ludzką — stwarza to krzyżowanie się rozmaitych aspiracyi i usposobień, zbiera w jednem łożysku mnóstwo odrębności indywidualnych, różnic ideowych i emocyonalnych. Nic dziwnego również, że w tej gmatwaninie tyle jest miejsca na wszelkie złudzenia i przeczucia, na dowolne i sprzeczne pojęcia, na rozmaite stopnie zapału, nadziei i łatwowierności. W tem powszechnem wyczekiwaniu i utęsknieniu dusz dość jest nieraz ujrzeć na widnokręgu odblask ogniska dogasającego, dość czuć w sobie żywiołowe pragnienie szczęścia, światła, ciszy, pewności, żeby w lada promieniu witać gwiazdę przewodnią, w byle mgle dojrzeć kształty upragnione, w byle głosie słyszeć pioruny objawienia. Wszystko tu może się wydać nowem, nieznanem, obiecującem to, czego jeszcze nie było... A czasami dość jest znaleźć się w otoczeniu sztucznem, teatralnie - dekoracyjnem, pełnem ponęt błyskotliwych, żeby doznać oszołomienia i radośnymi okrzy-

kami zachwytu witać odsłaniającą się twarz Izys tajemniczej. Dość jest własnym snem się upoić, żeby w prawdę jego uwierzyć! Tu nawet można dojść do wirtuozostwa i wprawy kuglarskiej i szczerość pobudek zastąpić jakąś nieustającą maskaradą, linoskoctwem uczuć i wzruszeń. Każdy ruch tego rodzaju ma swoich apostołów i objawicieli, swoich heroldów i ludzi inicyowanych, swoich wróżbitów i Kalchasów. Jedni potęgują w sobie szeregiem doświadczeń i kolei życiowych odczuwanie prawd powszechnie znanych, lecz niedostatecznie uznanych; drudzy w mglistej sferze życia pół-świadomego dostrzegają obfite źródła bytu nowego, inni znów z popiołów ducha własnego wydobywają nieznane spławy i talizmany, posiadające własności odradzania bezwładnych i zniechęconych; są i tacy, których cieszy przedewszystkiem gra i ryzyko własnej wyobraźni, którym podoba się mistyfikacya i urząd augura, dogadzającego — modzie, instynktom małpiarskim tłumów, ich płytkości i zaślepieniu. Wszyscy oni — szczerzy i naiwni, fanatyczni i przekonani, złej i dobrej woli — prawdom głoszonym pragną nadać blask i urok nowości, hasłom — siłę zaklęcia; wszyscy zapowiadają zawsze — „nowego ducha", idą najpewniejszemi drogami, świecą najjaśniejszem światłem. Zobaczmy, czy tak jest i jak to wygląda?

## II.

Nie mam zamiaru odwoływać się tu do wszelkich źródeł współczesnego mistycyzmu, nie wejdę również we wszelkie odmiany i rozgałęzienia tego ruchu; zwrócę głównie uwagę na niektóre tylko objawy jego i rodzaje, przedewszystkiem na ewolucye usposobień i dążności mistycznych, dokonane na polu literatury pięknej, tu bowiem wszystko nosi barwy jak najjaskrawsze, skupia pierwiastki najbardziej indywidualne, gruntujące w najgłębszych warstwach ducha ludzkiego; tu rozwój i przebieg procesów duszy jest najzupełniejszy, uczucia, aspiracye, doktryny zajmują szczytowe stanowiska.

Najprzód jeszcze jedna uwaga natury ogólniejszej. Dość rozpowszechnionem jest u nas mniemanie, że tak zwane prądy mistyczne doby naszej stanowią jakąś osobliwość epoki schyłkowej, że są rysem znamiennym zgasłego w konwulsyach zwątpienia i spragnionego ożywczych źródeł wiary XIX wieku. Niewątpliwie koniec zeszłego stulecia, nagromadziwszy mnóstwo ruin, rozczarowań i goryczy, powiększył żale i utęsknienia duszy ludzkiej, rozbujał wyo-

braźnie, zniecierpliwił wole i w chaotyczny wir niepokoju wtrącił sumienia; nie dziw więc, że to wszystko wydobywa się nazewnątrz w sposób bardziej gwałtowny i nieokiełznany, że szuka wyrazów dosadniejszych i bezwzględniejszych, niż kiedykolwiekbądź. Że dusza współczesna w tem dążeniu swojem do nowych wcieleń natworzyła sporo nieznanych dawniej kombinacyi i przekształciła nieraz układ swoich pierwiastków, — to prawda, błędnem wszakże jest mniemanie, że działały tu jakieś sytuacye wyjątkowe, jakieś prawa i czynniki osobliwsze. Właściwie wiek XIX zarówno na schyłku swoim, jak w środku i na początku, żył i poruszał się przeciwstawieniem kilku zasadniczych ideałów i dążności, falował rytmicznie, działał i reagował na poprzednie działanie, twierdził i zaprzeczał, rzucał się naprzód i powracał, odbywał, słowem, z wszelkimi przystankami i przerwami, nieustanny ruch wahadłowy, gdzie wszystko polega na wielkości fal, szybkości drgania, częstości wahań. Przeciwstawienia raz są gwałtowniejsze i zapamiętalsze, to znów powolniejsze i niedbalsze; raz rytmika bywa regularniejsza, to znowu bardziej przerywana i niespokojna; przytem zachodzą nieustanne zamiany tez na antytezy i odwrotnie, kolejność w wysuwaniu na pierwszy plan tych lub owych twierdzeń i zaprzeczeń, a w odpychaniu na dalszy znów innych. Nasza doba odznacza się tylko większem poplątaniem tego wszystkiego, więcej tu roźdźwięków i zniecierpliwienia w rytmie, więcej okrzyków rozpaczliwych i szamotania się namiętnego, wszystko to jednak odbywa się w obrębie wciąż podobnych do siebie spraw i zagadnień. Wiek XIX, jak długi i szeroki, żył przedewszystkiem jednem wielkiem przeciwstawieniem: naturalizmu i idealizmu czy mistycyzmu, materyi i ducha, ciała i duszy, uczucia i rozumu, nadziei i zwątpienia, chęci życia i jego zaprzeczania. Umysły odbywały wciąż ruch pomiędzy tymi krańcowymi terminami, zatrzymując się dłużej bądź krócej z tej lub owej strony. A jeżeli dawniej przeciwstawienia powyższe były wyraźniejsze i w stosunku do siebie bardziej nieprzejednane, to dzisiaj tak się składniki tych antynomii plączą z sobą i zbliżają się ku sobie, że trudniej jest duszy ludzkiej wyjść z tej gmatwaniny, trudniej pogodzić sprzeczne pierwiastki, którym jest podległa; stąd też kryzysy duszy współczesnej są dzisiaj bardziej ostre, bardziej złożone i trudniejsze do przebycia. I z tem jednak wiek XIX dobrze był oddawna obeznany. U wrót jego spotykają się dwie zasady, dwa wrogie sobie duchy: racyonalizmu sceptycznego dogasającego wieku oświecenia—i sentymentalizmu, występującego w imię zapoznanych praw serca, bezpośredniości uczuć i naiwności wierzeń. Z jednej

strony: Voltaire, Hume, Kant — wszyscy krytycy, sceptycy, czciciele rozumu, z drugiej — Rousseau, moraliści angielscy i niemieccy: Adam Smith, Hutcheson, Jacobi... (p. książkę „*La morale du coeur*” p. Angot des Retours, 1893 r.), wszyscy głosiciele „etyki serca i sympatyi”, wszyscy poeci i filozofowie romantyzmu niemieckiego, Novalis, Fr. Schlegel, Tieck, Schleiermacher i t. p., którzy przeciwstawiają uniesienia i ekstazy serca, mistyczne porywy i chrześcijańskie wzloty myśli materyalnym zaprzątnięciom się i „pogańskim” dążnościom wieku (Goethe). Za nimi ciągnie i otacza ich cały legion dusz, spragnionych nowego życia, znużonych negacyą rozumu, wyczekujący nowych wrażeń dla serca, — tłum tęskniący, pełny melancholii i niepokoju, domagający się reformy życia i obyczaju, zmiany myśli i uczuć, sztuki, literatury, filozofii. Wszystko to, jak wiemy, następuje w pierwszych dziesiątkach XIX w., znajduje swój wyraz najwybujalszy w epoce romantycznej. Odbywają się nawrócenia i zwroty gwałtowne w umysłach ludzkich, wychodzą na jaw skargi i żale, wyznania i trwogi serca, następuje okres entuzyazmów nieokiełznanych, szałów uczuć i zmysłów; plączą się w duchu ludzkim najsprzeczniejsze aspiracye i zasady, najdziwaczniejsze usposobienia i pragnienia, wynikają rozdwojenia, ekstazy, skruchy i pokuty. Fr. Schlegel i „Lucynda”, Novalis i teorya „ożywienia i uduchowienia natury” (*Belebung*, *Beseelung*); Chateaubriand i „duch chrześcijaństwa”, p. de Krüdener i cały zastęp kobiet „czułych i romansowych” (p. Cottin, Genlis, Veit, Henryeta Herz etc.); saficko-cyniczne apologie zmysłów i wywyższenie wszystkiego, oczyszczenie całej natury przez miłość; religia i estetyka, splątane razem, kult jednostki, jej przeczuć i instynktów głębokich, bezwiednych, zlany z kultem duszy wszechświata (*Weltseele*), usprawiedliwiony ich tożsamością. Wszystko objęte płomieniem serca i ekstazą umysłu, wszędzie zamęt, wyczekiwanie mistycznych zaślubin, pęd ku zachwytom czystym i żywiołowe wyzwalanie się „*ja*” ludzkiego z wszelkich więzów i ograniczeń ziemskich.

Wiemy, jak to wszystko w ciągu wieku przewala się z fali na falę, jak się zasila ów strumień duchowy rozmaitymi dopływami, przybiera rozmaite postacie pod wpływem różnych czynników: rozwoju nauk ścisłych, przekształceń politycznych i społecznych, zmiany warunków istnienia rzeczowego i umysłowego; jak zawody i klęski zmieniają ekstazy w bluźnierstwa, nadzieje w zwierzęcenia; jak się umysły naprzemian absorbują i przenikają do rdzenia rzeczywistości, to się gwałtownie odwracają od niej, obrzucają ją wzgardą i nienawiścią, przejmując się nowemi tęsknotami i pragnieniem od-

rodzenia. Wiemy, jak się mnożą koła niezadowolonych i tęskniących, powstają herezye i odszczepieństwa, nowe dogmaty i ponowne powroty do wierzeń, chwilowo zaniedbanych; jak następują po sobie wszelkie realizmy i idealizmy, sensualizmy i sentymentalizmy, pesymizmy i optymizmy, uwielbienia bezgraniczne jednostki i kult całej ludzkości, ewangelizmy proste i mesyanizmy historyozoficzne, czczenie praw natury i praw ducha, faktów grubo zmysłowych i nadzmysłowych, orgie ciała i szały duszy. Prześledziwszy to wszystko, staniemy u najbliższych źródeł prądów mistycznych doby dzisiejszej.

Jak naturalizm ostatnich czasów był reakcyą na przesady, zboczenia i nadużycia romantyzmu, protestem umysłów jasnych, ścisłych i zajętych poznawaniem świata zewnętrznego—na marzenia umysłów wybujałych, dowolnie tłómaczących wszelkie zagadnienia moralne i przyrodnicze, — tak też dążności mistyczne doby dzisiejszej są protestem, reakcyą dusz delikatniejszych, umysłów skrupulatniejszych i mniej jednolitych, znużonych beznamiętnem ujmowaniem zjawisk i prawd zewnętrznych, — na wszelkie ciasnoty, uproszczenia, chełpliwą pewność, gburowatość i płytkość niektórych przedstawicieli naturalizmu w filozofii, literaturze, sztuce i życiu. Starcie się powyższych usposobień nie odrazu przybrało ostry charakter, nie odrazu wydało jawną negacyę metod i ideałów naturalistycznych. Wszelkie stopniowania w reakcyi na nie doskonale dają się obserwować na ruchu literackim we Francyi. Oto młode pokolenia, które weszły tam w życie po klęskach narodowych 70 — 71 r., młodzi artyści, literaci po długoletnich zachwytach i upojeniach, wywołanych nauką „mistrzów" swoich i obcych, Taine'a, Renan'a, Darwina, Spencer'a, Schoppenhauer'a, Strauss'a i t. p., zaczynają powoli zwracać się ku nim z wyrzutami, najprzód pełnymi szacunku i czułości, później bardziej bezwzględnymi, — za odebranie im pociechy wiary i nadziei, za ostudzenie serc, zwątlenie woli, pozbawienie myśli polotu, przeniknięcie duszy jadem goryczy i zwątpienia. Własne nieudolności, rozluźnienie uczuć i zmalenie myśli poczęto zwalać na karb nauk tych wielkich myślicieli, własny dyletantyzm i brak regulatorów moralnych zaczęto usprawiedliwiać ich poglądem na świat — determinizmem woli, walką o byt, pesymizmem — burzącym wszelkie legendy historyczne, religijne, tradycyjne o człowieku, jego naturze moralnej, życiu społecznem. Przesyceni życiem zmysłów, zniechęceni jałowością wyników własnej myśli, po wyczerpaniu w sobie i dokoła siebie wszelkich źródeł używania i uświadomieniu sobie tego, iż praktykowane sposoby niewiele już mogą im dać

rozkoszy, zaczęli wydobywać się z niemiłego położenia, poszukując nowych dróg, nowych źródeł wrażeń, nowych bodźców i chęci życia. Odezwały się głośniej nuty przytłumione, ocknęły się pragnienia i popędy, zaniedbane poprzednio. Pewni praw, rządzących życiem, zaczęli mówić o nieznanych, tajemniczych jego stronach; rozkoszujący się świadomością własnych procesów duchowych zaczęli uskarżać się na tę jasność, wyłączającą złudzenia i niewyraźność; intelektualiści ostrożni, analitycy biegli, dysekujący z zamiłowaniem wszelkie stany i dyspozycye duszy, zapragnęli naiwności, uczuć bezpośrednich, wierzeń silnych, nienadwątlonych wątpieniem; oddani uciesze zmysłów, grubszym, powierzchownym rozkoszom ciała zaczęli tęsknić do czystych i delikatnych uczuć, do głębszego życia duszy. Zbadane i świadome, zdeterminowane i zanalizowane, widoczne i zmysłowe przestało wystarczać, poczęto odwoływać się do dziedziny niezbadanego i bezwiednego, nieuchwytnego i nadzmysłowego. Wystąpiły na tem tle rozmaite niedomagania i osłabienia duszy, rozmaite braki i upośledzenia serca, różne tęsknoty i nadzieje. Powstają rozmaite wiary, nawrócenia, dogmaty, syntezy: tu zachwyca jednych „religia cierpienia ludzkiego”, tu powstaje kwestya odpowiedzialności za wyznawane doktryny naukowe i filozoficzne; gdzieindziej rozważają zgubność dyletantyzmu ideowego i uczuciowego dla spraw życia narodowego i wogóle istnienia, owdzie mówią o konieczności powrotu do prostych wierzeń pierwotnego chrześcijaństwa, tu znów roznamiętniają się do ciemnych zjawisk i procesów duszy ludzkiej, na które rzucają nowe światło badania hypnotyczne i odgrzebana wiedza okkultystyczna. A wszystko to, objęte atmosferą niewyraźnej, sentymentalnej religijności, rozgrzane pragnieniem miłowania czegoś lub kogoś w sposób stalszy i podnioślejszy, pobożne — bez wiary istotnej, religijne — lecz wahające się w wyborze przedmiotów kultu, dręczące się grzechem i pokutniczo nastrojone, bez możności zrzucenia z siebie przyzwyczajeń dawnych, dawnych pożądań ciała i instynktów zwierzęcych. Zgiełk, pogmatwanie, odmęt uczuć i myśli, skrupuły serca, afektacye i omdlewania dusz. Proszę przypomnieć sobie wystąpienie grupy młodszych pisarzów francuskich (Margueritte, Rosny i w. in.) przeciwko nadużyciom naturalizmu w sztuce—przeciwko Zoli,—wszelkie wyznania, czynione w powieściach przez Bourget'a, (zaczynając od „Disciple'a”) jego utyskiwania na brak dogmatu, dyletantyzm, rozluźnienie instynktów moralnych i wiary tradycyjnej przez nadmiar życia intelektualnego; proszę zajrzeć do powieści dawnego naturalisty Ed. Rod'a, jego odwoływanie się do wiary, jako jedynej ucieczki dla tych rozbitków,

którzy zwątpili o nieskończonym postępie ludzkości, altruizmie, którym agnostycyzm nauki nie daje spokoju wobec nieśmiertelnych zagadnień przeznaczenia człowieka, przyszłego bytu i t. p. (p. „*Sens de la vie*", „*Les idées morales du temps présent*"), dość rzucić okiem na wszelkie protesty i manifesty ówczesne przeciwko ironii dwulicowej i złudnej Renan'a (choćby wystąpienie pierwsze J. Lemaitre'a przeciwko „renanizmowi"), dość zdaleka pobrać odgłosy tych i podobnych żalów, rozczarowań i tęsknot, żeby zdać sobie sprawę z pierwszych rzutów reakcyi mistycznej naszych czasów. Wszystko tu, jak słusznie zaznacza jeden z jej historyków (V. Charbonnel: „*Les mystiques dans la littérature présente*"), nosi na sobie ślady i znaki wiary, brakuje tu tylko samej wiary. Rosę ożywczą zaczęto zbierać zewsząd, czerpano nastroje i natchnienie z najróżnorodniejszych źródeł. Pojawiali się wówczas na horyzoncie europejskim powieściopisarze tacy, jak Dostojewskij i L. Tołstoj, odrazu więc zanurzono się w głębie „duszy słowiańskiej", poczęto bić czołem przed cierpieniem całej ludzkości, uwielbiać prostotę życia, kochać bliźniego podług niewzruszonych zasad ewangelii; ktoś wstrząsnął się i wniknął głęboko w twórczość Ryszarda Wagnera (Ed. Schuré: „*Le drame musical*"), odsłonił piękno jego sztuki, idącej przez świat pozorów znikomych i zgiełki zmysłów ku coraz to jaśniejszym kręgom ducha harmonijnego i świadomego siebie, wnet więc zaczęto przejmować się sprawą odrodzenia sztuki, mówić o tem, że artysta powinien porzucić świat rzeczywistości złudnej i szukać natchnienia w głębiach duszy, u źródeł życia powszechnego (p. choćby Th. de Wyzewy: „*L'art wagnérien*" i t. p.). Podobnąż zachętę znajdowano w teoryach estetycznych prerafaelitów angielskich (p. studyum Ed. Rod'a o tym kierunku w malarstwie) i prymitywów XIV i XV wieku. Zewsząd zbierano pierwiastki nowej syntezy, odszukując „poprzedników" i inicyatorów. Zatrzymano się po kolei na Ch. Baudelaire'ze, Barbey d'Aurevilly'm, Villiers de l'Isle Adam'ie, Er. Hello, mistykach średniowiecznych, św. Teresie, Ruysbroeck'u, autorze „Naśladowania" i t. p. Jednym dogadzał więcej satanizm Baudelaire'a i B. d'Aurevilly'ego, ich egzaltacye mistyczne, odnajdujące w złem rozkoszne upojenie świadomością grzechu, otaczające czarem nieprzepartym wszelkie zboczenia i zapamiętałe orgie zmysłowe; innym przemawiał lepiej do przekonania radykalny i wyniosły wstręt Villiers de l'Isle Adam'a do rzeczywistości, głoszący zupełne oderwanie się od niej, albo fanatyczny rozpęd dogmatyka, krzyżowca wiary Er. Hello, bądź też ekstazy i roztkliwienia uczuciowo-religijne dawnych traktatów pobożności mistycznej. Długi, nie-

skończenie długi jest szereg tych wszystkich, którzy na powyższe drogi nowych wrażeń i nowych wierzeń wstąpili. Znajdujemy tu wszystkich: szczerych i teatralnych, wzruszonych i wyrafinowanych, naiwnych, majestatycznych aż do mistyfikatorów i marzycieli społecznych. Ponury Ahasverus, wędrowiec uparty i niespokojny, wiecznie wychodzący na spotkanie wrażeń wstrząsających — K. Huysmans; mglisty i pełen trwożnych przeczuć Maeterlinck; rozżalony i bolejący nad własnym upadkiem śpiewak „Sagesse" — Verlaine, śpiewający tak, jakby się modlił, podług określenia S. Rodenbach'a; wytworny i niezależny, niezwykle wrażliwy na piękno sztuki mistyczno-łacińskiej, w przekonaniu, że ona tylko odpowiada najlepiej naszemu „zmęczeniu" — Rémy de Gourmont; Jules Bois, eksplorator wszelkich labiryntów satanizmu współczesnego; Sâr Peladan, pół-kuglarz, pół-rycerz idealizmu, blagier i natchniony herold zarazem, zwołujący tłumy na gody mistyczne błyskotkami, deklamacyą, postawą prestidigitatorsko-uroczystą; wreszcie świeccy przedstawiciele neokatolicyzmu, niewyraźni i dobroduszni deklamatorzy „obowiązku obecnego": P. Desjardins, Melchior de Vogüé i t. p., zwolennicy wiary bez dogmatów, etyki bez reguł, zagrzewający wszystkich do „Obowiązku Miłości", po którego spełnieniu niechybnie przyjdzie wiara, dogmat — wszystko, czego dusza rozbitków życia zapragnie. Mnóstwo ludzi najrozmaitszych usposobień i temperamentów, składów umysłowych i emocyonalnych, mnóstwo rozmaitych katechizmów i sposobów. A na nich wszystkich, na duszach ich i dziełach odciśnięte szczególniejsze piętno, ułożone z najsprzeczniejszych pierwiastków i symbolów; rozpoznać tu można surową biblijność i liryzm ewangeliczny obok wyrafinowanej zmysłowości, niezależność myśli obok fanatyzmu dogmatycznego, analityczną subtelność obok wzruszeń naiwnych, ekstazy zuchwałe obok uległości, skruchy i zupełnego poddania się religijnego: słowem wszelkie składniki współczesnej duszy rozdwojonej, usiłującej związać i stopić w jedno wszelkie swoje różnoimienne pobudki i pragnienia. Pobożność bez wiary, kult grzechu i obawa potępienia, namiętne pragnienie bytu harmonijnego i poczucia własnej niemocy, potrzeba miłości i mała jej możność, ekstazy i wizye bez uczuć i wzruszeń bezpośrednich, wielkie światło myśli, tłumiące ciepło serc, pasowanie się głuche śmierci z nieśmiertelnością, życia z nicestwem jego: oto czem się charakteryzuje ten przełomowy okres mistycyzmu doby naszej. Jest on głównie programem życia umysłów znużonych i skołatanych walką, oplątanych sprzecznościami, wynikiem sił zużytych, zasad, wyczerpanych z treści, jest on przedewszystkiem głosem, wołającym

ratunku, dzwonem, bijącym na trwogę wśród pustki, — wysiłkiem, słowem, idążeniem, które więcej wymaga, niż dać możesamo, więcej pragnie i spodziewa się, niż wciela i urzeczywistnia, więcej zapowiada i oczekuje, niż żyje samodzielnie, nie oglądając się na obce hasła i cudze rozkazy.

Najlepszem uosobieniem wszelkich typowych stanów tego rodzaju mistycyzmu, najzupełniejszem i najjaskrawszem odźwierciedleniem jego w duszy artysty są dzieła K. I. Huysmans'a, który przeszedł już wszystkie stopnie ewolucyi mistycznej i dzisiaj, podług zapewnienia przyjaciół (p. choćby wstęp l'abbé A. Mugnier do wyboru z prac Huys. p. t. „*Pages catholiques*"), może być uważany za jednego z tych nawróconych, którzy drogą łaski idą z żelazną konsekwencyą, uporem i namaszczeniem. Niektórzy mniemają, że dowodów łaski nie brak nawet w jego pierwszych utworach, wyrosłych na pniu krańcowego naturalizmu, że już początkowe ogniwa jego twórczości są odbiciem usposobień i skłonności mistycznych. Bardzo być może, gdyż w istocie nawet brutalnie-pesymistyczny naturalizm takich utworów, jak „Soeurs Vatard", „En Ménage", „Sac au dos" i t. p., charakteryzuje się jakimś niezwykłym wstrętem do rzeczywistości, zaciekłą chęcią zohydzenia jej w oczach własnych i odstręczenia od niej całego świata. A może to tylko metoda, umiejętnie zastosowana; któż bowiem odgadnąć może tę bezkształtną, ponuro-bizantyńską duszę tego pisarza niezrównanego? Następuje odwrót od rzeczywistości, żądza zrzucenia z siebie jej ciężaru nieznośnego, powstaje powieść „A Rebours". Jest-że to nostalgia do „życia nowego", tęsknota głęboka i rzewna duszy, zbłąkanej na bezdrożach ziemskich, do prostych i jasnych ścieżek wiary? może ascetyczne zaparcie się świata, skromne zapomnienie o sobie? Bynajmniej. To tylko przekształcenie rzeczywistości w sensie najbardziej sztucznego, usystematyzowanego jej wynaturzenia, to tylko poszukiwanie niezwykłych wrażeń, zimne kombinowanie wszelkiego rodzaju wyrafinowań, cudactw i kaprysów, pomysły duszy rozpaczliwie jałowej, zdychającej z nudy i czczości. Wszystko to pozbawione wiary w skuteczność własnych wysiłków, pozbawione uczuć bezpośrednich i żywych porywów serca, wszystko przewidziane i odmierzone z góry, przed faktem odczute i zrozumiane, przed użyciem zohydzone. W istocie doskonały „brewiarz newrozy współczesnej", jak się wyraża l'abbé Mugnier — podręcznik kuchni „dekadentyzmu". Lepszym byłby zupełny bezwład, zupełne stłumienie wszelkich żądz i pragień życia, lepszą postawa owych „słupników" (stylitów) świata starożytnego, niż ta maskarada wykoślawiona, nie obie-

cująca nikomu najmniejszej radości, uciechy, swawoli choćby szczerej. Ale w każdym razie wielka świadomość zużycia się duszy współczesnej, głębokie wniknięcie w otchłań jej znieprawienia. Bohater powieści (Des Esseintes) kończy wszelkie swoje doświadczenia w laboratoryum „dekadentyzmu" rozważaniem „panoramy" kościoła katolickiego (jak się wyraża autor), który mu wydał się zrozpaczonym i szczytnym, wykazującym człowiekowi ohydę życia, nielitościwość przeznaczenia, nauczającym cierpliwości i ducha ofiary, obiecującym pokrzywdzonemu najlepszą cząstkę raju, zachęcającym go do złożenia u stóp Pana wszelkich swoich cierpień, obraz i przygód. Jasne bardzo rozejrzenie się w tej „panoramie", — zdawałoby się, że potem nietrudno będzie rozpocząć „nawrócenie" i wejść stanowczo na drogę łaski. Już tak niedaleko: tylko wyciągnąć rękę i wziąć! Ale gdzie tam! najkrótszą drogą idą ludzie silnych namiętności, gorących usposobień serca, wiary bezpośredniej. W tym wypadku wszystkich tych pierwiastków braknie duszy, rozważającej „panoramę" kościoła. Jej droga to labirynt ciemny i pokręcony; jej tęsknota — tortury bez ekstazy męczeństwa i nadziei zbawienia; jej wzloty i rwania się wzwyż to komiwojażerskie wędrówki po wszelkich składach ciekawych wrażeń i wzruszeń, oglądanie wszelkich próbek, smakowanie i dotykanie wszelkich balsamów i przedmiotów kościelnych. Wędrówki w celach podobnych rozpoczynają się w powieści „Là bas", a kończą się, jak na dzisiaj, na „La cathédrale", — ma to być, podług przyjaciół autora z duchowieństwa, zupełnym przebiegiem ewolucyi katolickiej, duszy w konwalescencyi, łaską dotkniętej. Chętniebyśmy uwierzyli niezaprzeczonym w tej materyi powagom, gdyby nie to, że ta „ewolucya" wygląda głównie na wyrafinowane wałęsanie się dokoła kultu katolickiego, na wycieczki duszy bez powołania i zapału do zdobycia wszelkich nastrojów, powodów i pretekstów wierzenia: słowem surogatów wiary.

Durtal, bohater cyklu powieści „Là-bas", „En route", „La cathédrale", poszukuje „swego Boga" w istocie w sposób niezwykle oryginalny — zapomocą rozmaitych doświadczeń dyletanckich, rozmaitych sideł, stawianych sobie samemu, wciąga siebie w wir mistyki, wtrąca w tego rodzaju sytuacye i stany duszy, które, uświadamiając mu jej nieuleczalność i ostateczne zgnicie, każą pożądać tem bardziej zbawienia na drodze łaski, cudu, nieoczekiwanych natchnień. Najprzód — w „Là-bas" — znużony i ogłupiony płaskością życia pospolitego Durtal stara się jeszcze zwiększyć w sobie wstręt do niego, ostatecznie w oczach własnych sponiewierać przez

wywołanie i spotęgowanie wszelkiej mieszczącej się w nim ohydy— wszelkiego występku, rozpasania zmysłów, najzuchwalszych bluźnierstw. Durtal stawia siebie wobec wcielenia złego, wobec „dyabła”, zagłębia się w mroczne sfery satanizmu, przygląda się wszelkim praktykom dyabelskim, bierze udział we wszelkich przewrotnościach i świętokradztwach „czarnej mszy”, podnosząc w sobie poczucie winy, zwiększając w ten sposób wstręt do siebie samego, rozkosz pogardy dla duszy własnej. Tą drogą, jak wiadomo, przez wstręty i poniżenie siebie samego szli do nawrócenia się ostatecznego wielcy grzesznicy, dając w ten sposób świadectwo dobroci Stwórcy i niezbadanym zwrotom opatrzności; tą drogą również chodzą i dyletanci, poszukujący w nagłych i ciekawych zmianach duszy własnej nowych źródeł przyjemności i racyi istnienia. Durtal — powiada o nim V. Charbonnel — odczuwa podwójną przyjemność, najprzód, jako człowiek, gardząc samym sobą, następnie, jako artysta, wyrażając tę wzgardę. Durtal w istocie rozmaitemi sztuczkami i przysposobieniami czyni z duszy własnej gnojowisko tak przeróżnych zniepráwień i nieczystości, żeby później tem większą przejąć się zgrozą na widok tego wszystkiego, tem silniej odczuć swoją nicość i występność wobec Pana, by w końcu tem głośniej módz wołać: litości, łaski, ratunku! Ale to jeszcze nie wszystko, chociaż w następnej powieści „En route” Durtal uważa już siebie prawie za nawróconego. Bardzo szczerze i nieco za trywialnie, jak na głęboko zachwianego w sumieniu swojem człowieka, powiada tam Durtal: „Udałem się do szpitala dusz, do kościoła. Tam przynajmniej przyjmują ciebie, kładą do łóżka, pielęgnują; tam nie poprzestają, odwróciwszy się od ciebie, jak w klinice pesymizmu, na wymienieniu choroby, na którą cierpisz”. W istocie też Durtalowi chodzi głównie o to, żeby módz nowymi, nieznanymi poprzednio sposobami, za pomocą nowych wrażeń i upojeń, pielęgnować osłabioną i unicestwioną duszę własną, żeby obudzić w niej nieznane pragnienia życia. Sam przyznaje się, wymieniając pobudki owego nawrócenia, że bardziej, niż jego odraza do życia, sztuka była magnesem nieprzepartym, który go przyciągnął do Boga... (p. „En route”). Nawet do „szpitala dusz” nie idzie Durtal drogą najkrótszą, jak nędzarz, spragniony przytułku, opieki i pokrzepienia; on wybiera drogę zawiłą, pełną rozmaitych zakrętów i przystanków, by — w przejściu— tem lepiej przyjrzeć się wszelkim osobliwościom i urządzeniom instytucyi, w której chce pozostać na dłużej, by przez ogarnięcie jej „perspektywy” należycie się ubawić, doznać wielu przyjemności, pokosztować niedoświadczanych jeszcze rozkoszy. Durtal po mi-

strzosku używa z nowego stanu swej duszy, doskonale wyzyskuje dziedzinę, którą zamierzył z kolei zbadać. W wędrówce swojej po kościołach nie opuszcza żadnego źródła przyjemności, jak chciwy i skrupulatny znawca i miłośnik sztuki, oglądający muzea albo badacz nauki, przyglądający się świetnie urządzonym pracowniom naukowym. Ceremonie i obrzędy kościelne, architektura, malarstwo, muzyka i śpiew, praktyki i dewocye, wszelkie symboliki i mistyki katolicyzmu, wszystko to rozważa Durtal, bada i ze wszelkich stron ogląda, doznając rozmaitych upojeń, rozkoszując się własnemi odkryciami, spijając różne nektary i balsamy pobożności i religii z prawdziwem znawstwem, ze smakoszostwem dyletanta sztuki i literatury. Wszystkiego próbuje Durtal, wszelkimi sposobami odnawia siebie i przyspasabia do zlania się z istotą, z duszą kościoła, przechodzi przez wszelkie naiwności maluczkich i ubogich duchem, przez rozmaite ćwiczenia i praktyki ascetyczne, wywołuje w sobie rozmaite usposobienia — trwogi i niepewności, żalu i pocieszenia, radości i ekstazy, poczucia grzechu i nadziei zbawienia, a wszystko to, by wypełnić duszę jałową nową treścią, przejąć dreszczem wyczerpane i oporne na podrażnienia nerwy, utrzymać w napięciu i ożywić ducha całego. Rozpaczliwy w istocie wysiłek, praca katorżnika, której końca niepodobna przewidzieć, a której męcząca sztuczność wszędzie na jaw występuje. Ale w tem wszystkiem zamało jest istotnego szarpania się duszy, zamało wewnętrznego pędu ku wielkim i podniosłym krainom bytu, zawiele natomiast, zabiegów i przysposobień, zawiele wszelkiego rodzaju aparatów, z góry przygotowanych do celu odrodzenia. Czuć jednak, że w tem wszystkiem braknie czegoś, co czyni to odrodzenie zupełnem i gruntownem; czuć, że tu z zewnątrz wszystko przychodzi i formalnie tylko duszę odnawia. Czasami jednym gorącym, namiętnym porywem duszy można wyrwać siebie z otchłani i ku wielkim celom żywota skierować; czasami jednem potężnem szarpnięciem się serca można siebie odrodzić i od nędz i małości życia powszedniego uwolnić. Ale na to trzeba mieć w sobie jakąś moc jeszcze niezużytą, jakiś zasób sił żywych, uczuć i wzruszeń szczerych, pobudek bezpośrednich, któremi duszę można gwałtownie wstrząsnąć, za których sprawą również wyrzuca ona z siebie wszystko, co w niej jest zepsutem, gnijącem, martwem. Takich zasobów duszy nie ma w sobie Durtal. Wszystko w nim jest próchnem, wszystko rozluźnione, zjedzone rdzą życia, przeniknięte nicestwem. On tylko kombinuje wciąż i gmatwa pierwiastki zużyte, nie wytwarzając nowych, gdyż niema z czego brać. Gromadzi popioły i zbija je w masę, która wciąż się rozsypuje; roz-

dmuchuje iskierki, które w ogień nie wybuchają, fosforyzuje wciąż — lecz nie świeci. To wszystko nazywają ludzie „ewolucyą” katolicką duszy, łaską dotkniętej, nawróceniem się jej poważnem, konsekwentnem, zgodnem z logiką i przepisami nauki chrześcijańskiej. To wszystko polecają duchowni, jako wzór szczerości i prawości! Wielkie nieporozumienie albo też wielka chęć łudzenia samych siebie. Postać Durtal'a jest, przeciwnie, jednym z najwymowniejszych dowodów tego, że sprawa naturalnego odradzania się wielu dusz współczesnych, żyjących rozdwojeniem, zawieszonych pomiędzy żądzą użycia zmysłowego a pobożnością mistyczną, że istotne nawracanie się dusz tych jest czemś niezwykle trudnem i w ostatecznym rezultacie wątpliwem. Huysmans przedstawił znakomicie ich nieudolność powrotu do życia wiary bezpośredniej, do czystości pragnień, do wywołania w sobie pobudek bezinteresownych, stanów duszy, nie zaprzątniętych użyciem osobistem, usposobień czynnych, odnawiających duszę siłą ofiary, miłości, wyniesienia się ponad zabiegi przemijające, ponad interes chwili.

Durtal jest to bankrut życia, istota, pozbawiona zdolności odradzania się, wyzuta z władz czynnych ducha, — nie potrafi on ani wyrzekać się prawdziwie świata dla celów wyższych, ani zdobywać go dla nich; nie potrafi nawrócić się, gdyż pragnienie to wywołane jest w nim nienasyconą ciekawością umysłu, poszukiwaniem wciąż nowych wrażeń i podrażnień; nie zna on uniesień wiary, lecz tylko same bigoterye, nie zna prostoty uczuć, gdyż lubuje się w samych sztucznych dziecinadach, w udanych naiwnościach; nie zna modlitwy serca, wywołanej szczerem jego cierpieniem, wyrażonej lada westchnieniem cichem, gdyż modlitwą jego, jego uniesieniem serca jest intelektualistyczna rozkosz, płynąca z kontemplacyi dzieł sztuki, smakująca i wielbiąca wszelkie jej przedmioty, ogarniająca wszelkie jej dziedziny. Huysmans przedstawił tylko ewolucyę duszy, zajętej męczącem ściganiem absolutu rozkoszy i użycia zmysłowo-intelektualnego, poszukującej go w sferze nadzmysłowej po uprzedniem wyzyskaniu wszelkich dziedzin rzeczywistości zmysłowej. Durtal uosabia jej rozpaczliwe wysiłki w tym kierunku. Nawrócenie się jego jest aktem beznadziejności, ucieczką rozbitka, poszukującego schronienia, żebractwem ducha, który po stracie wszystkiego wyciąga rękę do skarbów nieznanych, pragnie zwrotu bogactw roztrwonionych, liczy na łaskę nieziemską, na cud. Na tem polega jego mistycyzm.

Podobną ewolucyę przeszedł inny wielki „nawrócony” literatury współczesnej, A. Strindberg, którego mistycyzm jest również wy-

nikiem znużenia i bankructwa dogmatów życiowych, rezultatem zawodów i rozczarowania się rzeczywistością, czemś, co świadczy o zwycięstwie życia doczesnego nad jednostką ludzką, nad jej instynktami i organizacyą umysłowo-czuciową. Mistycyzm wszakże pisarza szwedzkiego nosi charakter bardziej poważny, mniej sztucznie-dyletancki, sybarycko-estetyczny. Więcej tu znać istotnych walk ducha, więcej tu silnych namiętności, buntów niecierpliwych i potężnego szamotania się myśli. Mistycyzm Strindberga jest nadto bardziej etycznym, więcej tu poważnej troski o istotne przerodzenie się i oczyszczenie duszy, mniej lubowania się bigoteryjnego w jej grzechach i zniepráwieniach. Wyrósł on na gruncie głębokich przełomów umysłu autora, na jego przeskokach gwałtownych — negacyach, twierdzeniach, rozmaitych wiarach i niewiarach. Wszystko to po walkach, wybuchach, przechodzeniu z bieguna na biegun kończy się ostatecznem rozluźnieniem, unicestwieniem oporu duszy, poddaniem się władzom niepojętym, niecielesnym, pogrążeniem w otchłani życia bezwiednego, przeczuwanego — nieodgadnionego (p. szereg utworów Strindberga: „Wyznania głupca”, „Inferno” — jest w polskiem tłómaczeniu — „Do Damaszku” i t. p.). I tu i tam, w obydwu tych ewolucyach duchowych mistycyzm występuje, jako słabe, bojaźliwe światełko, przedzierające się przez mroki, jako kaganek, tlejący w ruinach, wśród zniszczenia.

## III.

Jest inny rodzaj mistycyzmu, wręcz przeciwny pierwszemu, który pragnie uchodzić za latarnię morską, oświetlającą drogę zbłąkanym żeglarzom życia, za pochodnię, płonącą jasnem i pewnem światłem. Jego głosiciele i wyobraziciele nie występują, jak w pierwszym wypadku, w charakterze grzeszników, wyznających winy swoje i spragnionych zbawienia, jak żebracy i rozbitki życia, wołający w trwodze o pomoc doraźną, natychmiastową. Wyglądają oni raczej na kapłanów i „mistrzów” życia, na tych, którzy niosą pomoc innym, co czują potrzebę nawracania, wskazywania dróg i sposobów, wiodących do łaski, do błogosławionych stanów duszy. Mistycyzm pierwszego typu jest religią dusz zwalczonych, niezdolnych walczyć o własnych siłach z wrogiemi potęgami bytu, drugiego—przeciwnie, jest wyznaniem ludzi, którzy przed rozpoczęciem walki zaopatrują się w broń, umożliwiającą i obiecującą zwycięstwo. Pierwsi, wyzuci z żywotności, nic nie są w stanie dać innym, wciąż sami domagają

się zasiłków z zewnątrz i wciąż liczą na coś, co jest poza nimi, poza ich życiem; drudzy — liczą na samych siebie, w sobie odnajdują potrzebną moc i żywotność. Tamci po zużyciu się, po wyczerpaniu wszelkich zasobów własnych zwrócili się do źródeł wiary, pomyśleli o niej, jako o ostatniej ucieczce; ci — przed zużyciem się i roztrwonieniem sił duszy wykryli w niej wzmacniający zdrój wiary, utrzymując go i zasilając własnym wysiłkiem. Oto główne różnice pomiędzy tymi dwoma rodzajami mistyków i mistycyzmu. Ale trzeba tu dodać, że ów drugi rodzaj mistycyzmu przyszedł po pierwszym, że jego przedstawiciele korzystali z doświadczeń swoich poprzedników, że patrzeli na nich, jako na zwyciężonych i sponiewieranych w walce z rzeczywistością, że, oceniając skutki tych zapasów, łatwiej mogli skrytykować wadliwość życia ofiar, przyczyny ich klęsk i zawodów. Ich doświadczenia osobiste były mniej bolesne, bardziej teoretyczne, niż praktyczne, ich zawody i rozczarowania mniej zaprawne goryczą, mniej rozpaczliwe, gdyż tylko pośrednio ich dotykały. Tamci stali w największym zamęcie życia, w samym ogniu walki i zniszczenia, w najboleśniejszych przeprawach osobiście brali udział; ci — bardziej z oddali byli świadkami tego wszystkiego. Mniej w nich przeto przerażenia i rozpaczy, mniej trwogi i zniecierpliwienia; a chociaż nie brak smutku w ich duszach, nie brak też pogody i skupienia. Współczesna literatura sporo posiada już utworów, wyrażających usposobienia tego drugiego rodzaju mistycyzmu. Niewyraźne i mało systematyczne jego ujęcie odnajdujemy np. w takich dziełach Maeterlinck'a, jak: „Le trésor des humbles" i „Sagesse et destinée". I tu jest mowa o zdobywaniu życia zapomocą miłości, i to bezinteresownej, nie utyskującej na zawód, nie obrachowującej zysków z góry; i tu głoszoną jest „mądrość" życia, polegająca na oddawaniu się całkowitem przedmiotom umiłowania, gdyż najważniejszą i najdobroczynniejszą rzeczą jest sama wytrwałość serca, głębia jego uczuć, reszta zaś — złudzeniem i niepewnością. Niema tu również mowy o wyrzeczeniu się życia, albo zachęty do odwoływania się o pomoc zewnętrzną; wszystko powinno być zdobyte w sobie i przez siebie.

Bardziej systematyczne sformułowanie tych i t. p. przepisów takiego mistycyzmu, bardziej całkowity jego wyraz znajdujemy w pracach młodego krytyka i moralisty francuskiego, Maurice'a Pujo, na które zwracamy tu uwagę. M. Pujo należy do koła tych młodszych pisarzów francuskich, którzy, zgrupowawszy się w piśmie „L'Art et la Vie", od kilku lat już walczą z egoistycznym i dyletanckim kierunkiem w sztuce i życiu. (Do grupy tej między innymi na-

leżą jeszcze: Henry Bérenger, Eug. Hollande i kilku innych, znanych już szerszym kołom pisarzów). Przeniknięci poczuciem głębokiej solidarności sztuki z życiem pragną oni z niej zrobić najszlachetniejszą jego funkcyę, wyzwalającą zeń zasoby miłości, — pragną uczynić z niej pośredniczkę pomiędzy życiem jednostki a życiem ogółu, pomiędzy duszą samotną a duszą powszechną. Do takiego posłannictwa i takich celów dążą oni przez wyzwolenie jednostki ludzkiej z tych wszelkich więzów, które pętają jej ducha w dążeniu do prawdy, oddając na pastwę złudzeń i przemijających zabiegów życia. W dwu dziełach swoich: „Le règne de la grâce" i „La crise morale" przedstawia właśnie M. Pujo wysiłki osobiste w celu „wyrobienia w sobie człowieka", dokonywa krytyki rozmaitych systematów życia, zatrzymując się na tych, które najwięcej dla niego mają znaczenia, najmniej są chwiejne i ułudne. Zamiary swoje, swoje pragnienia wyraża autor bez ogródek, stanowisko swoje określa śmiało i wyraźnie. „Zdaje mi się, że nazywają „mistycznymi" tych, którzy szukają i wzywają zasady tajemniczej, ukrytej poza rzeczywistością. Nam, przeciwnie, chodzi o narzucanie samych siebie rzeczywistości, o to, żeby nie być przez nią rozdwojonym, rozproszonym, zwodzonym, by panować nad nią, nie zaś jej podlegać. Wiedząc, że przedmioty rzeczywistości mają same przez się tylko wartość negatywną, chodzi nam o to, by posiąść moc, która nadaje wartość, sens rzeczom; rzeczy są wobec nas materyą, której kolejne pokolenia nadawały różne formy estetyczne, moralne, społeczne". (p. „*La jeunesse libre*" w książce „Le règne de la grâce").

Niema więc tu miejsca na złorzeczenie rzeczywistości, na odrazę i wzgardę, jak to widzielismy w pierwszym wypadku mistycyzmu, lecz tylko chęć uniezależnienia się od niej za sprawą aktu wewnętrznego, wyboru swobodnego. Zuchwałe bardzo zamiary — to prawda, ale postawa—bardziej odpowiadająca godności ludzkiej. Nie na tym tylko zasadniczym punkcie różnią się ci mistycy nowego typu od swoich poprzedników. Dość krytycznie zapatrują się oni na wielu promotorów obecnego ruchu idealistycznego. M. Pujo przeciwstawia się stanowczo tym, jak ich nazywa, handlarzom lornetek psychologicznych, któremi starają się oni poznać wszelkie wyrafinowania duszy nowej. Zostawia na stronie tych, którzy — jak powiada — nic innego dać nie mogą prócz rozwiązań eklezyastycznych. Wyprzedza również takich moralistów chrześcijańskich, jak Tołstoj, Secrétan, Desjardins i t. p., którzy, podług niego, byli potrzebni w swoim czasie, których obecnie nie należy się trzymać, mogłoby to bowiem przejść nie w rozszerzanie ducha chrześcijań-

skiego, lecz w jego ograniczenie. Ich moralizm polega na idei, że należy naturę ludzką bronić przed naturą zewnętrzną. Ponure to i bojaźliwe usposobienie walczy z tem wszystkiem, co może zawładnąć sumieniem, uszczuplić bądź zwiększyć jego treść. Ta postawa odporna jest fałszywą i niemiłą dla młodego idealizmu. Stoi ona w niezgodzie z jego pojęciem swobody jednostki ludzkiej, którą pragnie widzieć czynną i rozlewną. Ta idea wieczystej walki z naturą zewnętrzną, ciągłej obrony przerodziła się w nieufność, która stanowi podstawę pesymizmu chrześcijańskiego. Negacya jałowa jest jest jego wynikiem: świat zewnętrzny został oddany „dyabłu", a dusza ludzka, zasklepiwszy się we wnętrzu własnem, nie pragnie go zdobywać. M. Pujo zwalcza to wszystko i zapowiada chwilę, w której duch chrześcijański zostanie wyzwolony z podobnych ograniczeń i stanie się wieczystą ufnością, wiecznym optymizmem. Podług niego, ponad złem i dobrem, ponad aktem moralnym, uwarunkowanym i ograniczonym przez motywy znajduje się akt czysty, akt twórczości absolutnej, który nie podlega ograniczeniom, i wobec materyi, wobec przedmiotów, wobec natury zachowuje się niezależnie, rozlewając się w nieskończoność, by przejąć ją dreszczem własnej świadomości, która jest czystem wzruszeniem; jest to akt estetyczny, który jest aktem boskim. Bóg jest przedewszystkiem twórcą, t. j. artystą najwyższym, i do Niego to obecnie trzeba się odwoływać. Powrót tego rodzaju będzie przeciwstawieniem się życia wszelkim ograniczeniom, wszelkim fatalizmom materyi. Jak niegdyś, tak i teraz staną znowu wobec siebie: materya i duch, ciało i dusza, tylko dawniej rozwiązywało się wszystko nieustanną walką powyższych zasad, obecnie zaś szerzej pojęty duch chrześcijański, czystszy i mocniejszy, głosi, że zwycięstwo duszy będzie odrodzeniem natury. Chrystus, o którego odszukanie nam chodzi — powiada M. Pujo (p. „La Résurrection du Christ") jest naszą własną świadomością, ogniskiem i punktem wyjścia naszego życia, sumieniem, oddawna przez nas zgubionem. Jest on źródłem jedności i swobody czystej, z którego wyprowadzamy rozmaitość czynności naszych, za którego sprawą również możemy nadawać wartość, sens rzeczom zewnętrznym. Nowy ten mistycyzm pragnie położyć kres walce ideału z rzeczywistością, która stwarza wieczyste rozdwojenie w duszy człowieka. Jednostka ludzka używała rozmaitych sposobów na usunięcie powyższego rozdwojenia, wszystkie jednak chybiały celu. Jedni, zrażeni rzeczywistością, zasklepiali się w sobie, wyrzekali się działania i żyli w świecie własnych marzeń: źródło życia ich prędko wysiąkło, gdyż żaden akt rzeczywisty nie odnawiał go. Drudzy —

pragnęli przejść przez świat, zatrzymując się tylko na wrażeniach i czuciach, na tem, co bawi i pozwala używać bez chęci poznania go i zrozumienia istoty: przychodzi czas znużenia i wyczerpania wszelkich uciech, dusza zamiera w pustce i rozmija się z marzeniem. Inni po doznaniu klęski podobnej szukali ratunku w wyrzeczeniu się, w otchłani rozpaczy, pragnęli uratować duszę z jarzma słabostek, zwalczając naturę — cierpieniem i poświęceniem.

Ale siły moralne, zdobyte w takim wysiłku, mogą zmarnieć i rozluźnić się, jeżeli są niezajęte, utrzymywane w bezczynności. I one to znowu zmuszają duszę ludzką wykonać „zwrot ku życiu". Znowu dusza człowieka staje w obliczu świata, ale stosunek jej do niego zostaje zmieniony. Świat ten nie przytłacza jej teraz; to ona go teraz przenika i panuje nad nim bez wysiłków sztucznych, anormalnych. Walka ideału z rzeczywistością znika, jak widmo słabości naszej, człowiek bowiem doszedł do uznania tej prawdy: że ideał — z jednej strony — nie może istnieć w próżni, że znika i zamiera, jeżeli nie ma podstawy konkretnej w rzeczach zewnętrznych, z drugiej zaś — że rzeczy zewnętrzne są prawdziwie realnemi wówczas, gdy uczucie, idea, akt duszy zrozumie je i zorganizuje (p. „La crise morale", str. 11). Punkt ciężkości zagadnienia odwiecznego przenosi się tedy do miejsca najwłaściwszego — do duszy ludzkiej gdyż tu rzeczy rodzą się i umierają, tu tylko żyją prawdziwie, wszystko zaś, co jest poza tem, służy im za dekoracyę znikomą. Dzieje ludzkości uczą nas, że, ilekroć człowiek oddawał się rzeczom zewnętrznym, tylekroć był przez nie oszukany; one rozbiły jego życie na sprzeczne pragnienia, ilekroć powierzył losy swoje interesowi, zmysłowości, próżności; one wytworzyły mu istnienie nielogiczne, nierozumne, sytuacyę bez wyjścia, wtrąciły w koło zaczarowane. One nie dały mu szczęścia, nie pozwoliły kochać, unosząc z sobą nasze uczucia i przywiązania; nie pozwoliły nam przeniknąć dusz innych, nawet najbardziej przez nas pożądanych i ukochanych. Pozostawiły nas w samotności, w obliczu samych siebie, zamknęły nas w więzieniu, jakby za karę, żeśmy nie chcieli być od nich wyżsi (p. „L'idéalisme").

Jeżeli więc rzeczy nie dały nam ani zrozumienia, ani siły, ani szczęścia, sprobujmy więc wynieść się ponad nie; ale podług przepisów tego idealizmu „wynieść się" nie znaczy — „wyrzec się". Owszem idealiści tego typu rozumieją, że zerwać z rzeczywistością jest niepodobieństwem wówczas, gdy wszelkie wysiłki człowieka zmierzały do tego, by się z nią związać. Ale wynieść się można, wyprzedzając rzeczywistość marzeniem i miłością, które obejmują

całokształt pierwiastków życia i zakreślają jego przyszłość. Wynieść się można, przenosząc życie nasze w czystsze sfery, pociągając za sobą całą przeszłość naszą ze wszelkiemi jej radościami i cierpieniami, nie schodząc z tych poziomów, na jakich stanęliśmy, nie pozostawiając za sobą nic z tego, cośmy ukochali. Jesteśmy zmuszeni wznosić się wciąż wyżej, jeżeli nie chcemy zaprzestać żyć, stracić miłości i siły. To wznoszenie się jest pracą, wysiłkiem nieustannym w celu urzeczywistnienia tego, co było niegdyś naszem marzeniem; to walka z naturą, którą prowadzimy już nie przy pomocy wyobraźni naszej, lecz woli. A w miarę, jak oddajemy się tej pracy, spostrzegamy, że we wszelkich okolicznościach wówczas, gdy cierpimy, gdy jesteśmy zgubieni w mrokach, wystarcza nam dokonać wysiłku, by doznać rozradowania. Jesteśmy więc panami życia, gdyż ono jest w nas, a jeżeli zapomnimy o tem, świat znowu dokoła nas zmaleje i zwęzi się.

W ten sposób wykładają mistycy nowego typu naukę swoją, mądrość życia. Jest to połączenie danych idealizmu filozoficznego z regułami etyki stoicyzmu, bez dążności pierwszego do unieważnienia rzeczywistości materyalnej, bez oschłości drugiego — zamknięcia się wyniosłego w sobie. A chociaż na tej drodze „wysiłku" łatwo również zbierać zawody i klęski, nieszczęścia i gorycze, przyznać nie mniej trzeba, że stanowisko takie nie jest wyłącznie negacyą, tchórzliwem zaprzeczeniem świata i wyczekiwaniem wszystkiego — wszelkiej pomocy i łaski — od sił zewnętrznych, żeby zmniejszyć wymagania od siebie samego, że to odwoływanie się do sił i treści duszy własnej posiada sporo dumy i szlachetności i sprawę wyzwolenia jednostki powierza jej czynnym energiom ducha. Znać tu jakąś fugę w umiłowaniu ruchu i odwagę wobec życia, w którego ogniu, nie zaś poza nim, pragnie się zdobyć swoje zasady kierownicze, swoje prawo do bytu. Znać tu chęć przejścia od moralności odpornej do moralności zaczepnej, która nie tylko unika złego, lecz pragnie nadto zrobić dobrze. Ten „zwrot do życia" dokonywa się tu nie przez słabość, nie drogą dopasowania się biernego do okoliczności, żeby dostąpić spokoju i zabliźnić rany, lecz w poczuciu siły, która pragnie w jednym wysiłku zjednoczyć świat zewnętrzny z duszą, co go przekształca, która pochłania — w celach pożytku i dobra szerszego — niszcząc potęgi pierwszego i siły niespokojne drugiej. Nie przez wyrzeczenie się życia, przez zapomnienie tego, czem się żyło, swoich grzechów, cierpień i pragnień zmierza się tu do bytu doskonalszego, lecz przez tem zupełniejsze ogarnięcie całokształtu życia, przez złączenie i uświadomienie sobie wszelkich etapów

i zmian jego, przez poznanie jego radości, cierpienie jego cierpieniami, kochanie jego miłością, przez uznanie tego, że nie wszystkie trudy są poniesione, nie wszystkie szczyty zdobyte, nie wszelkie racye bytu osiągnięte, — idzie się tu ku światłu i prawdzie, ku lepszej przyszłości. Mistycyzm tego typu rozstrzyga wszystko na drodze wysiłku wewnętrznego, akcyi, która dla niego jest miłością, czynnikiem pierwiastkowym, punktem wyjścia dla życia moralnego. On nie dba o siły i bogactwa, rozrzucone w drodze w chwili ruchu i wysiłku, nie błaga nikogo o ich zwrot, gdyż mniema, że każdy bezinteresowny ruch duszy, każde jej szarpnięcie się, poczęte z miłości, pomnaża skarby życia i zwiększa jego wartość. Na tem polega jego wyższość nad mistycyzmem pierwszego typu.

## IV.

Te dwie odrębne, różniące się genezą swoją i sposobami walki z rzeczywistością formy mistycyzmu, rzecz jasna, z ich rozmaitemi odmianami odnajdujemy we współczesnym ruchu umysłów, w ich dążeniu do wyzwolenia jednostki ludzkiej z pod władzy fatalizmu materyi, w ich tęsknocie ku temu, co, ukryte poza ruchliwą ścianą zjawisk zmysłowych, nęci ich swoją stałością, głębszem znaczeniem, wyższością syntezy.

Dość okiem rzucić na stan dzisiejszej sztuki i literatury w rozmaitych krajach, wśród różnych gromad ludzkich, żeby zauważyć tam skłonności mistyczne powyższych dwu typów, rozmaicie wyrażane i kombinowane, stosownie do odmiennych indywidualności twórczych, rasowych, cywilizacyjnych. Malarstwo i muzyka, dramat, powieść i poezya, że pominiemy bardziej ścisłe i systematyczne działy pracy ducha ludzkiego, napiętnowane są tem usposobieniem dusz ludzkich, wstrząsane ich chęcią wyrwania się z kleszczów rzeczywistości brutalnej, bezpośredniej — chęcią ujarzmienia jej i wyniesienia się ponad nią. Odwroty i nawrócenia odbywają się wciąż, atmosfera twórcza przenika się pierwiastkami, do niedawna zupełnie jej obcymi. Wszędzie widnieje chęć odzyskania utraconych wierzeń, naiwnej prostoty serca, spokojności sumienia, — wszędzie zrywanie z intelektualizmem, ironią, pewnością naturalizmu, wszędzie poszukiwanie w niewiadomej tajemniczych zdrojów wiary i pokrzepienia. Uczucia te i usposobienia przybierają najrozmaitsze formy od łagodnych i mglistych do wybujałych i krańcowych. Tu dawni naturaliści: Huysmans, Strindberg, M. Kretzer, C. Lemonnier i t. p.— po orgiach i szałach zmysłów przywdziewają włosienice; tam „ironi-

ści" spokojni, wiecznie panujący nad sobą, niesklonni do uniesień i wierzeń niejasnych, jak nawet taki A. France, doznają niepokoju i smucą się pustką serc własnych; gdzieindziej subtelni psychologowie dusz współczesnych: Bourget, Ola Hanson, Garborg i t. p., nużą się wynikami pracy swojej i otaczają się tajemnicą. Wszędzie to samo — aż do naszych skromnych i normalnych objawów w takich utworach, jak „Pójdźmy za nim" Sienkiewicza, „Widzenie" Prusa i t. p. — ten sam nastrój wyczekiwania łaski i pragnienie odrodzenia. Tu widzimy zupełne rozbicie, poddanie się absolutne, uległe i korne postawy zwyciężonych, powierzających losy swoje siłom zewnętrznym; tam — dumne odbudowywanie i odradzanie człowieka przez wysiłek osobisty, liczenie na moc duszy, która występuje, jako istność mistyczna, niezależna i wolna; gdzieindziej jeszcze specyalny kult siły, wiara w nadczłowieczeństwo, w przezwyciężenie dzisiejszego człowieka, zepsutego i osłabionego cywilizacyą (ruch, wywołany filozofią Fr. Nietzsche'go).

Wszędzie zamęt dusz, wyrazy żalu i pokuty, żądza zbawienia, oskarżanie samych siebie, nadzieja odkupienia, przywoływanie na pomoc Chrystusa. Dość jest na chwilę rzucić okiem na literaturę i sztukę doby obecnej Francyi i Skandynawii, Włoch, Niemiec, Anglii, żeby uświadomić sobie rozległość i natężenie powyższych usposobień. Nazywamy to wszystko „nowym duchem", „nowym prądem". Niezupełnie odpowiednie to nazwy. Prawdziwie „nowego" w tem niewiele, nowych składników myślowych bądź wzruszeniowych nie znajdujemy we wszelkiego rodzaju mistycyzmach współczesnych, bo ani odwoływanie się w rozbiciu i niepokoju do estetyki i religii, do zasad prostych ewangelii, dogmatów tradycyjnych albo do wyjątkowych, arystokratycznych, że tak powiem, stanów sumienia jednostki, kształcącej w sobie wysiłkiem ideał wewnętrzny, wyższy nad fatalizmy nauki i natury, — nie jest rzeczą nową, nieznaną ruchom dawniejszym duszy ludzkiej. Nową tu jest przedewszystkiem zachęta do wytwarzania w duszy powyższych usposobień, nowem wstrząśnienie umysłów i zaciekawienie ich do prawd starych, nowemi są ich kombinacye i układy rozmaite, zresztą też same, co i niegdyś, pochodnie, te same światła, chwilowo przygaszone, tylko widnieją w rękach, szukających i spragnionych odrodzenia. Może to wszystko będzie kiedyś prawdziwym krokiem naprzód w dziedzinie uczuć i myśli, w sferze ideału, dotychczas jednak prócz zapowiedzi i spodziewań się, prócz haseł i proroctw niewiele zmian w rdzeniu rzeczy w tym kierunku dojrzeć można. W wyrazie jednak tego wszystkiego, tych pragnień i dążeń, w głosie ludzkim,

w jego akcentach zmian sporo, i to pierwszorzędnej wagi. Dlatego więc we wszystkich prawie dziedzinach twórczości ludzkiej, w sztuce i literaturze najwięcej zmian, najwięcej śladów i skutków owego dusz wstrząśnienia. Owoce jego zbiera przeważnie sztuka współczesna. W niektórych jej działach skłonności mistyczne dokonały wielu pożądanych dopełnień i przekształceń. Ciężki objektywizm, doktrynerstwo naturalistyczne, trzymające się faktów skończonych, procesów życia, dających się od oka oceniać i ujmować, zostało zachwiane i do właściwych rozmiarów zredukowane.

Życie, jego strony mniej zdeterminowane, mniej jawne i wymierzone, warstwy głębiej ukryte, zaczęto pilniej badać i wyczerpywać bez zarozumiałości tłómaczenia wszystkiego abstrakcyjnemi, sumarycznemi prawami i formułkami przyrodniczemi. Fakty indywidualne, właściwości psychiczne mniej uchwytne, oddziaływania i procesy pozazmysłowe zostały otoczone większą troską, niż w okresach poprzednich — realizmu i naturalizmu. Sztuka stała się bardziej zindywidualizowaną, sięgnęła po pierwiastki natchnienia w niezmierzone głębie duszy ludzkiej; mglistość i przeczuciowość, bezwiedność i symboliczność weszły jako składniki do twórczości obecnej i — poza sztucznem cudactwem i nieudolnością — przestają razić spragnionego niegdyś przedewszystkiem „przedmiotowości" czytelnika. Pod wpływem również tego wstrząśnienia dusz wielkie doktryny naukowe i filozoficzne naszych czasów, jak np. ewolucyonizm, uzupełniły sie w świetle nowego krytycyzmu, wyrzekły się wielu swoich niesłusznych pretensyi, chęci zadośćuczynienia potrzebom moralnym człowieka, jego wyższym aspiracyom duchowym i subtelności uczuć. W tym zwrocie myśli filozoficznej nie należy wszakże upatrywać jakiegoś jej „bankructwa", jakiegoś upadku nauki, jak o tem głoszą, między innymi, Fr. Brunetière, u nas zaś p. Teodor Jeske-Choiński i t. p., —gdyż ta „bankrutująca" nauka sama siebie podnosi, sama ogranicza i błędy swoje prostuje. Pominąć więc można wszelkich trywialnych i płytkich przedstawicieli moralności oficyalnej, wszelkich historyków anarchii ducha, dla których każde szczere jego wyznanie, każde głębsze wstrząśnięcie serca lub silniejsze zachwianie się myśli jest już objawem anarchii, i dzisiejszy mistycyzm uznać, jako ruch dodatni, choćby z tego względu, że w nim zostały streszczane i zebrane szarpania się i dążenia duszy współczesnej do istnienia zupełniejszego, do wytworzenia jedności serca i myśli, wierzeń i wiedzy, do lepszego poznania świata i człowieka.

*Władysław Jabłonowski.*

# Z historyozofii niemieckiej

## (POLEMIKA O POJMOWANIE DZIEJÓW K. LAMPRECHTA).

„Bez hypotezy i uogólnienia historya staje się bawidełkiem w ręku antykwarzy, bez krytyki i erudycyi ulatuje w przestwory fantazyi“.

*Pirenne. Une polemique historique en Allemagne.*

Jeden z pierwszorzędnych naszych historyków, p. Askenazy, zdając niedawno [1]) sprawozdanie z żywej polemiki, jaka się toczyła na ostatnim zjeździe historycznym krakowskim o tak zw. teoryę Lamprechta, uważał za najodpowiedniejsze zbyć ową metodę następującą uwagą: „Co w poglądach Lamprechta jest trafnego, nie jest wcale nowe, natomiast to, co w nich jest nowego, nie jest wcale trafne...“

Przytaczam to zdanie o metodzie Lamprechta, — nie żebym był przeświadczony, iż nic oryginalniejszego pod słońcem nigdy o niej nie powiedziano (owszem początków genealogii tego rodzaju

---

1) Kuryer Warszawski r. 1900. Nr. 176.

sądów można już dopatrywać się w znanem przysłowiu doświadczonego Ben-Akiby). Przytaczam gdyż, bo wydaje mi się ono niezupełnie trafnem, — szczególnie zaś dlatego, że autor uważa je nie tylko za swe osobiste przekonanie, ale za prawdę, ogólnie przyjętą, bo „stwierdzoną przez krytykę niemiecką i francuską...“

Od tak surowego anatematu, rzuconego na teoryę Lamprechta, różnią się wyroki, w znacznie łagodniejszej formie wypowiedziane przez nasze powagi naukowe. Prof. Finkel, który gruntownie zaznajomił się z pierwszemi dziełkami metodycznemi Lamprechta, uznał niemałą jego zasługę „w jaśniejszem i ściślejszem określeniu tego, co dotychczas nazywaliśmy prądem dziejowym, duchem epoki, ideą rządzącą“ [1]), a sam prof. Dembiński, główny jej przeciwnik na zjeździe historycznym, „wielką przyznaje jej wartość...“

Na podstawie jakich jednak faktów padł wyrok z ust p. Askenazego, że jego zdanie podziela krytyka francuska i niemiecka? Najwybitniejszy organ historyków francuskich („Revue historique“) okazał sympatyę dla wywodów Lamprechta; co więcej, p. Pirenne umieścił w nim specyalny artykuł, tchnący bardzo gorącą dla niego życzliwością, przepowiadając przytem, że niezależne od siebie dojście dwu dziejopisarzów, francuskiego (Monoda) i niemieckiego (Lamprechta), do zbliżonych bardzo wyników historyozoficznych wróżyć im może tylko wielką przyszłość... [2]).

A krytyka niemiecka? Niezawodnie w Niemczech Lamprecht miał i ma cały legion nieprzejednanych przeciwników, ale najpowołańsi pod tym względem znawcy w Niemczech, bo historycy historyozofii i metody historycznej, wyrażają sądy biegunowo przeciwne od sprawozdawcy zjazdu krakowskiego. I tak kompetentny pod tym względem Bernheim niedawno wysoko ocenił zasługi Lamprechta, a autor najnowszych dziejów historyozofii, Barth wyraża się ni mniej ni więcej tak: „Teorya Lamprechta ma tyle w sobie siły przekonywającej (die Kraft der Wahrheit), że jego przeciwnicy ledwo są w stanie jeszcze się bronić, w nas zaś budzi się ku niej mimowolna skłonność“ [3]).

Zdaje mi się, że na podstawie takich wyrażeń nie mógł informować p. A. publiczności warszawskiej, że sprawę Lamprechta można uważać za „przesądzoną na zachodzie“. Jeżeli nas nie myli przypuszczenie, to recenzya p. Askenazego, a specyalnie ów zwrot Ben-

[1]) Kwartalnik historyczny, r. 1897, t. IV.
[2]) Revue hist. 1897, t. 64.
[3]) Philosophie der Geschichte als Sociologie, I, 216.

Akibowy, pochodzi od najbardziej zapalczywego, ale zarazem najmniej krytycznego przeciwnika Lamprechta, v. Belowa [1]). Słowo w słowo pisze Below: „Co u Lamprechta jest trafnem, zupełnie nie jest nowem, a to co zawiera nowego, zupełnie jest nieudałem”.

Istotnie wyśmienita formułka. Nic łatwiejszego, jak za jej pomocą zbywać wszelkie nowe wysiłki ducha ludzkiego, lekceważąco traktować wszystkie nowe próby. Czyżby przypuścił p. A., że ktoś będzie kiedy śmiał użyć tego samego zwrotu, aby pogardą okryć genialne pomysły takiego Taine'a, którego przecież za obalenie legendy historycznej o rewolucyi francuskiej i wyświadczoną przez to „przysługę sprawie porządku społecznego” [2]) tak wysoko ceni p. A? Ale wszakże p. A. mógł w tej samej broszurze, z której pochodzi ów zwrot Ben-Akibowy, zauważyć tak podobnie brzmiące stereotypowe zdanie: „Co w systemie Taine'a jest trafnem, uznało już dawno przed nim niemieckie dziejopisarstwo, okazało zaś swoją niechęć względem tego, co było przesadnem...” [3]).

Nie! na podstawie tak okutych retrospektywnych formułek możemy wszystkie wynalazki wyszperać już pod piramidami, możemy tak samo znaleźć wszystkie świeże pomysły historyozofii w głowie byle jakiej — dajmy na to choćby historyozofa naszego... Walewskiego, w jego sławnych „dumaniach” i „luktach...”

Nie jestem wcale wielbicielem głośnej teoryi Lamprechta, — zdać jednak przedmiotowo sprawę z jej zasad i z polemiki, o nią się w Niemczech toczącej, — uważam za rzecz pożyteczną. Zabieram się do sprawozdania tem chętniej, że niejednokrotnie spotykałem się z zupełnie błędnem ujęciem właściwej osnowy tej metody, i to nawet w kołach, tą kwestyą bliżej się interesujących. Najlepszym tego dowodem jest twierdzenie samego p. A., jakoby podstawowem znamieniem metody Lamprechtowskiej było przeciwieństwo „pierwiastku dziejowo-kulturalnego” a „dziejów czysto-politycznych”, gdy tymczasem nie o to głównie — „gra idzie”.

*

* *

[1]) Broszurę v. Belowa streścił p. Krotoski w jezuickim „Przeglądzie Powszechnym“ r. 1899. 289 (luty). P. K. solidaryzuje się z jednostronnymi wywodami v. Belowa, nie zaglądając, zdaje się (przynajmniej nie przytaczając), do innych broszur polemicznych. P. Krotoski i p. Askenazy na podstawie (sic) tego, że Lamprecht (podobnie zresztą, jak i jego przeciwnicy) jest nieprzyjaźnie usposobiony względem społeczeństwa polskiego, zaprzeczają jego teoryom wartości naukowej. Chyba wobec nienawistnej dziś dla nas atmosfery w Niemczech będziemy musieli wogóle przestać zajmować się ruchem naukowym w Niemczech. Czy polityka a nauka—to jedno?

[2]) Studya hist. kryt., 345. — [3]) Str. 267, 217.

Wiek XIX przeszedł już do historyi. Pod koniec swego stuletniego żywota, jakby chcąc zaskarbić sobie jej względy, okazał się dla niej bardzo życzliwy. Naukom kazał się nazwać „historycznemi”, wszystkie zjawiska kazał traktować „historycznie”, „genetycznie”, „retrospektywnie”, a na polu samego właściwego dziejopisarstwa wzbudził niezmiernie żywy ruch.

Jakie to stosy wydawnictw źródeł idą w świat i piętrzą się coraz wyżej i wyżej, ile kroci monografii, obejmujących szersze lub szczuplejsze objawy życia ludzkości, ile specyalnych rozprawek, badających najdrobniejsze, najbardziej lokalne wypadki i wypadeczki, opisujących szczegółowo choćby najmniej znamienne pamiątki i drobiazgi, pozostałe po historycznych osobistościach, stawiających kunsztowne hypotezy co do rozmiarów... szpilek do krawatów lub pieprzyków na twarzy dawnych geniuszów!.. Mnoży się las faktów i szczegółów, ale kto to wszystko ogarnie, kto opanuje, kto wtłoczy w jedno łożysko?

Wszak według starej oklepanki czasów studenckich z postępującą coraz dalej specyalizacyą pracy podział pracy gwałtem domaga się uogólniającej i ogarniającej wszystkie gałęzie jednej dyscypliny i t. d. i t. d. Cóż, kiedy ta mrówcza praca gromadzenia niezliczonych materyałów i szczegółowych wiadomości, budowanie coraz liczniejszych „magazynów antykwarycznych” i cały ów wzrost erudycyi odbywa się przy wtórze... szyderczych nawoływań, i to coraz donośniejszych, że cała tak zwana „historya” to zbieranina bezcelowa, bezmyślna, że to właściwie... żadna nauka...

Wszak niedawno (1892) Lorenz w Niemczech nie uląkł się wyrazić zdania, że naukowo i metodycznie historya od czasów... św. Augustyna prawie na krok nie postąpiła, a cały postęp tkwi tylko w rozwoju nauk „pomocniczych” i... pomnożeniu bibliotek. Wszak niedawno we Francyi Bourdeau w znanem u nas dziełku zawyrokował z emfazą, że dotychczasowa historya, jako nauka — to zero, że dopiero trzeba ją nanowo budować...

Historyków-syzyfów, nad stosami dokumentów ślęczących, odrywa od pracy zarzut, przerażający ich, jak głos puszczyka, niby nowy, a jednak tak dawno czyniony historyi, który swego czasu wyraził już Sextus Empiricus, dając jej przezwisko „ἀμέθοδος ὕλη...”

Owoce rosnącego dziś sceptycyzmu historycznego widoczne. Wszystkie podwaliny dziejopisarstwa wstrząśnięte. Tysiące krzyżuje się pytań i zagadek niewyjaśnionych. Co to jest historya? Jakie jej zadanie? metoda? stosunek do innych nauk? Wszystko przekopane, wywrócone. Prawda, że równocześnie gradem leci

mnóstwo pomysłów i rad przyjacielskich dla przechodzącej przez kryzys historyi. Ale wszystkie te lekarstwa pochodzą przeważnie z poza koła zawodowych jej opiekunów,— nie zaś ze strony samych dziejopisarzy. Nie polegają na znajomości dokładnej pacyenta, nie na bezpośredniem zaznajomieniu się z faktami historycznymi, ale na czystej abstrakcyi lub na przystosowaniu obcych nauk do historyi, że wspomnę np. u nas zastosowanie do historyi zasad geometryi wykreślnej przez Tadeusza Chrzanowskiego lub świeżo zasad mechaniki przez L. Winiarskiego [1]).

Czy tego rodzaju ustronne posiłki rozjaśnią — i wytkną jakieś drożyny w dzisiejszej, zagadkowej głębi lasu faktów, czy też nadal będzie szumieć owa przeklęta „ἀμέθοδος ὕλη," szydząc z wysiłków śmiałków, wdzierających się do jej łona?

Najwięcej tych zuchwalców wydał świat uczony francuski. Może z dumą Francya wskazać na cały ich szereg od Comte'a do Taine'a. W porównaniu jednak z Francyą i Anglią — Niemcy, „naród filozofów" — w ostatnich czasach — przyznać trzeba ku ogólnemu zdumieniu — zostały pod tym względem bardzo w tyle.

Rozwinąwszy i wydoskonaliwszy znakomicie technikę krytyki źródeł, czyli tak zwaną Niebuhrową metodę, uczeni niemiecy jęli lekceważyć i ignorować uogólnienia szersze w historyi, wychodzące poza zakres samego „rzemiosła" dziejopisarskiego. Najbardziej powołany pod tym względem sędzia, Bernheim, otwarcie przyznaje [2]), że niemiecka historyozofia od czasu zrażenia się do jednostronnej ideologii Hegla legła ugorem w porównaniu z zagranicą do tego stopnia, że nie tylko uczony świat niemiecki nic nowego w tym rodzaju nie wytworzył, ale wprost nie czytał, nie zajmował się choćby najważniejszymi objawami ruchu zagranicznego. Jedynie Buckle był znany [3]), ale ten przez swe jednostronnie „statystyczne" tendencye wywołał taki odruch w Niemczech, że nie postarano się poznać nawet jego wielkiego protoplasty — Comte'a. Rzecz dziwna, powiada Bernheim, rzecz, w którą późniejsze pokolenia nawet wierzyć nie będą chciały: — pomysły Comte'a pozostały w Niemczech ogólnie... nieznane. Teorya marxistów jeszcze bardziej odstraszyła za-

---

[1]) Porów. poprzednie tomy „Ateneum".

[2]) Hist. Vierteljahrschrift, 1899, p. 374.

[3]) Nastrój ówczesnych uczonych niemieckich znamionuje zdanie, wypowiedziane przez jednego z nich, że każdego, przyznjącego się do teoryi tego socyologa, uważa za... niemoralnego i zepsutego człowieka. Lorenz. Geschichtswissenschaft I. 184.

wodowych niemieckich profesorów od zajmowania się historyozofią. Zresztą nie brakło i zewnętrznych powodów tego zacofania. Jednym z najważniejszych był ten, że ostatnie pokolenia historyków w Niemczech skierowały całą swą uwagę na politykę, żyły bowiem w czasach ogólnego parcia inteligencyi ku zjednoczeniu politycznemu Niemiec. W związku z tem zaś był ruch ku badaniom politycznych dziejów.

Wytknął ten błąd starej generacyi historyków na zjeździe historycznym w Norymberdze w r. 1898 jeden z historyków. Między innymi odważył się im powiedzieć jasno i bez ogródek, że hasłem dawnej szkoły było: osiągnąć polityczną jedność narodu czy to „głoszeniem idealnych celów, czy też, gdyby trzeba było, krwią i żelazem", wykazał im, że dlatego historya w ich ręku była politycznym środkiem, że dlatego w niej szukali dowodów, iż państwo jest wszystkiem w dziejach, że nie prawo, ale siła jest właściwą podstawą państwa i t. d. Przypomniał im wyraźne oświadczenie Sybla z r. 1856, że charakterystyka współczesnych mu historyków nie wiąże się zupełnie z ich naukowym aparatem, gdyż — zdaniem Sybla — metoda historyczna nie postąpiła na krok od czasów Niebuhra i Rankego, ale tkwi w politycznem stanowisku autorów. Ów historyk przedstawił, że, o ile to pokolenie Sybla wsparło polityczne dążności narodu, o tyle pod względem naukowym i metodycznym zubożyło historyę. „Historyczno-polityczna szkoła niezawodnie zasługi położyła niepospolite około dobra państwa i cesarza", ale cofnęła w tył naukę historyczną, zaniedbała przedewszystkiem znamiennej dla nauk dzisiejszej doby — „metody porównawczej" [1]).

Historykiem, który wypowiedział te słowa staremu pokoleniu, był profesor lipski Karol Lamprecht, pierwszy z a w o d o w y historyk niemiecki, który przerywał ciszę, na tem polu panującą [2]), z zupełnem przeświadczeniem trudności swego zadania. Jak z góry spodziewał się, a nawet chciał, istotnie wywołał niebywałą wrzawę i hałas.

*
* *

Polemika o pojmowanie dziejów Lamprechta toczy się w Niemczech w latach 1896 —1900. Wprawdzie już od r. 1891 wychodzić

---

[1]) Die Entwickelung d. d. Geschichtswissenschaft. K. Lamprecht, s. 20.

[2]) Przedtem w latach 1888—1891 zajątrzył się, co prawda, już spór w Niemczech między kulturalną a polityczną historyą, między Schäferem a Gotheinem. Schäfer, Das eigene Arbeitsgebiet d. Gesch., 1888. Gothein. Die Aufgaben d. Kulturgeschichte, 1889

zaczęły tomy jego „Dziejów Niemiec" (dziś doprowadzone do roku 1648), zbudowane już na „nowych" podstawach, ale świat naukowy historyczny zwrócił uwagę na te nowinki Lamprechta dopiero od pięciu lat. Lamprecht, zaniepokojony tem, że mimo zainteresowania się jego „Dziejami" śród szerszych kół publiczności i wielkiej ich poczytności — w świecie naukowym jednak ciągle panuje złowroga cisza, przywdział sam przyłbicę i sam wyzwał przeciwników. Wystąpił w roku 1895 w październiku na lipskim „Historischer Abend" z odczytem, skierowanym przeciw Syblistom: oni pojmują dzieje teleologicznie, indywidualistycznie, gdy tymczasem trzeba badać „stany" (Zustände) i przyczyny faktów „generycznych", bezcelowych, co spełnić może historya „statystyczna", „ewolucyonistyczna..." Jest to pierwszy jego krok na arenie polemiki historyozoficznej, trochę niepewny, trochę przesadny...

Niebawem znalazł przeciwnika. W r. 1896 do turnieju z nim pośpiesza zawodowy historyk Rachfahl, który w krytyce historyi Lamprechta nie poprzestał, jak dotychczas postępowano, na dotknięciu drobnych błędów faktycznych i dat w jego historyi, ale zadrasnął też i samą teoryę i wiązanie jego dzieła. Za hasło do szermierki wziął Rachfahl ustęp z IV tomu „Dziejów" Lamprechta (s. 133 — 134), gdzie autor w rozmachu pióra jednym tchem w kilku zdaniach wyrzucił z siebie istotnie wszystko to, co później znamionuje jego metodę, wzmiankując już i o psychologicznych podstawach historyi, i o „typach", i o jednorazowych faktach, których naukowo ująć nie można i t. p.

W odpowiedzi na to Lamprecht wydał broszurę „*Alte und neue Richtungen*" 1896, gdzie rzucił się na mistrza dawnej szkoły historyków Rankego. To była rękawica, rzucona pod nogi staremu dziejopisarstwu. Odtąd wre namiętna walka. Sypią się broszury, mnożą się artykuły po rocznikach, miesięcznikach, tygodnikach, pismach codziennych, nieraz tak drobne, tak ulotne, że dziś je wszystkie pozbierać prawie niesposób [1]).

---

[1]) *Ważniejsze broszury samego Lamprechta:* Alte u. neue Richtungen. — Das Arbeitgebiet geschichtlicher Forschung (Zukunft 4 kwiet. 1896).—Die geschichtswissenschaftliche Probleme der Gegenwart (lc. 7 i 14 listop 1896). — Was ist Kulturgeschichte (Deutsche Zeitschrift für Geschichtswissenschaft. Neue F., t. I, 1896/7, s. 75—150 por. 97/8, s. 46). — Individualität, Idee u. socialpsychische Kraft in der Geschichte (Jahrbücher f. Nationalökonomie u. Statistik, Jena 1897. III F. tom 13, s. 880 i t. d. por. też 69 (161). — Eine Wendung im geschichtswissenschaftlichen Streit (Zukunft. 2 stycz. 97). — Zwei Streitschriften des Herrn Oncken, Del-

W czasie tej szermierki na pióra po jednej stronie stoi sam Lamprecht, nie pozostawiający ani jednej zaczepki bez odpowiedzi, z drugiej strony cały szereg „starej daty" historyków. A więc *Rachfahl*, *Meinecke*, *Lenz*, *Below*, *Oncken*, *Delbrück*. Nieco później zaczynają się zjawiać pisarze o tonie mniej zawistnym, uznający niektóre dodatnie strony w teoryi Lamprechta, jak *Hintze*, *Buchholz*; w końcu zyskuje zwolenników, jak wspomniany *Barth*, we Francyi *Pirenne*, a nawet gorących wielbicieli, jak *Barge*, *Lory*, *Hannak* i wielu innych, których przeciwnicy zwą szyderczo „cechem" Lamprechtowym.

Obóz nieprzyjacielski skupił się głównie około dwu berlińskich pism, syblowskiej „Historische Zeitschrift" i Delbrücka „Preussische Jahrbücher", podczas gdy dla nowych kierunków stanęły otworem łamy pism „Die Zukunft" i lipskiej „Deutsche Zeitschrift für Geschichtswissenschaft". Berlin, stolica p o l i t y c z n y c h działań, stał więcej za starą szkołą, „polityczną", Lipsk z Barthem, Hintzem, Bargem i t. p. skłaniał się więcej ku tym nowym „naukowym" prądom.

Polemika wzmagała się, prowadzona z coraz rosnącą zaciekłością, zupełnie nie licującą z powagą uczonych. Niemiecka nauka zupełnie nie okazała owego, rzekomo sobie właściwego, zimnego spokoju. Mniejsza o to, że w gorączce polemiki korzysta się z widocznych „lapsusów" przeciwnika; — ale oburzają nas owe brutalne

brück u. Lenz zugeeignet (częściowo w Zukunft, 16 i 30 paździer. i 6 listop. 1897).— Der Ausgang d. geschichtswissensch. Kampfes (Zukunft. 31 lip. 97). — Die Entwickelung d. deutsch. Geschichtswissenschaft vornehmlich seit Herder. München, 1898. — Epilog (Zukunft. 5 mar. 98). — Die historische Methode des Herrn von Below. Berlin. 1899. — Die kulturhistorische Methode, 1900.

*Ważniejsze broszury innych: Below.* Die neue historische Methode (Hist. Zeitschr. Sybla). — *Buchholz.* Zur Lage der Geschichtswissenchaft (Akademische Rundschau, I Jahrg. № 15). — *Hannak.* Lamprechts deutsche Geschichte (Zeitschrift für die öster. Gymnasien, 1897, 293). — *Hintze.* Ueber individualistische u. kollektivistische Geschichtsauffassung (Historische Zeitschrift Sybla, 1897. Neue F., t. 42; w temże piśmie dużo rozsypanych krytyk, jak *Meineckego*, odpowiedź Lamprechta i t. p.). — *Lory.* Geschichtsphilosophische Systeme d. Gegenwart. (Umschau, 1, 1897, s. 751). — *Oncken.* Lamprechts Vertheidigung. Berlin, 1898. — *Pirenne.* Une polemique historique en Allemagne (Revue historique r. 1897, 64 (54). — *Rachfahl.* Deutsche Geschichte vom wirtschaftlichen Standpunkte (Preussische Jahrbücher, w temże piśmie passim). — *Rachfahl.* Ueber die Theorie einer kollektivistischen Geschichtswissenschaft (Jahrbücher für Nationalökonomie u. Statistik, Jena, 1897, III, F. 13 tom, s. 658 i 901). — *Winter.* Die Begründung einer socialstatischen Methode (Zeitschrift für Kulturgesch., 1, 196).

wybuchy iście niemieckiego ferworu, które raz w raz z jednej i drugiej strony mącą tok dyskusyi, i najgrubsze osobiste napaści, które rzuca się i odbiera, jak z płatka.

Celuje w tem przed innymi Below. Zwie Lamprechta „Don-Quixotem", który zapala się do nowości, „jak młody student", tworzy z „cynizmem" „komiczne produkty", a na zaczepki daje odpowiedzi „najnędzniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek się zjawiły w polemice literackiej..." Drażniony podobnemi wyrażeniami Lamprecht nie przebiera w nich także. Krytyków, szperających w jego dziełach za drobiazgowemi usterkami, porównywa z łatającym buty szewcem, który nie zdolen jest wznieść się nad swą robotę... Kiedy zrobiono mu zarzut — zresztą nie słuszny — że jest „materyalistą", Lamprecht przypisał to posądzenie osobistym pobudkom swych nie „przeciwników", ale „wrogów" i w odwet zarzucił anarchistyczne... tendencye, „naiwność..." i t. p.

Zapamiętałość w polemice doszła do szczytu, kiedy Oncken nazwał Lamprechta „plagiatorem", wytykając mu, że nie zawsze w swych „Dziejach" powołuje się na dzieła konstrukcyjne, choć z nich czerpie dosłownie (zamiast bezpośrednio ze źródeł). Lamprecht uparł się przy tem, że większe dzieła muszą opierać się na drobniejszych monografiach i istotnie co do pomowy o plagiatorstwo wyszedł etycznie obronną ręką, samemu nawet Onckenowi rzucił zarzut, że jest figurą, podstawioną tylko przez swego profesora Lenza, głównego Lamprechta przeciwnika.

Niemało dostało się przytem i redaktorom pism, w których pomieszczano polemiczne artykuły. Nawet tych pisarzów, którzy silili się, aby całkiem bezstronnie zdawać sprawę z broszur polemicznych, redakcye musiały brać w obronę przed atakiem rozgorzałych walką przeciwników, ich samych zaś musiały po kilkakroć wzywać, aby usunęli z rozprawek osobiste napaści, albo znowu narazić się na ich oburzenie w razie nieprzyjęcia sprostowania pełnego osobistych napaści (jak np. Delbrücka w „Zukunft").

Oczywiście taki ton polemiki nie może wzbudzić zaufania dla powagi nauki i ich przedstawicieli... Przyznać jednak trzeba, że w czasie tej prowadzonej bez rękawiczek walki poruszono i oświetlono mnóstwo ciekawych zagadnień, przetrząśnięto niejeden dawny systemat historyozoficzny, zainteresowano nimi, co więcej, nie tylko świat uczony, ale wogóle czytającą inteligencyę. Kto wie, czy nawet takie uniesienie w polemice nie pozostawi za sobą śladów trwalszych, aniżeli kadzidła, palone na ołtarzach wzajemnej adoracyi przez

tych, co z ironicznym półuśmiechem powtarzają monotonne „Ignorabimus...”

* * *

Jak nie uwierzyć w żelazne ryskale,
Co w pył wiekowe epoki rozkruszą?!
I... bałwochwalcze już kadzidła palę
Tobie, o tłumie, żeś owładł mą duszą!...
(*J. Kasprowicz*).

Sród poprzednich historyków, z którymi polemizował Lamprecht, nie wspomniałem o *Lehmanie*, i to umyślnie, aby teraz na tle jego poglądów, jaskrawo odbijających od teoryi Lamprechta i skwapliwie przez tegoż zaatakowanych, tem wyraziściej uwypuklić tę ostatnią.

W roku 1893, przy objęciu katedry historyi w Lipsku, M. Lehman wypowiedział wstępną przemowę. W niej dobitnie zaznaczył że dzieje ludzkości są tylko historyą bohaterów i górnych postaci: historya to opowiadanie o indywiduach. Nie szukaj w niej żadnych typowych, regularnych zdarzeń, żadnych praw, nie ujrzysz żadnej prawidłowości w rozwoju zdarzeń, czy to się oprzesz na badaniach socyologicznych, czy gospodarczych, czy topograficznych. Niema analogii w dziejopisarstwie, analogie zdarzają się tylko w przyrodoznawstwie. Dziejowe zjawisko nie da się przenigdy wyrozumieć przyczynowo. Czynnik, w dziejach działający — to bohater. Bohater tworzy nowe warunki życia wbrew prądom przeszłości. Bohater nie daje się porwać ogólnym prądom, on sam je wtłacza w łożysko. Geniusz nie da się ująć w formułki. „Dwie sykstyńskie madonny — to niemożliwość...”

W tym samym Lipsku w kilka lat potem zjawia się kontrast Lehmana — jakby przedstawiciel reakcyi przeciw wybujałemu indywidualistycznemu pojmowaniu dziejów — Lamprecht, głosiciel wręcz przeciwnej „kollektywistycznej” historyozofii.

Przy tem starciu dwu kierunków najłatwiej uchwycić i zrozumieć, w czem tkwi właściwy punkt sporu. Ni mniej ni więcej, spór toczy się o zagadnienie tak stare i tak zawsze nowe, a tak dziś jednak inaczej oświetlone: — o to, czy, w dziejach można wyśledzić pewną prawidłowość w objawach i w jakim stopniu. Czy da się przedstawić pewien typowy schemat rozwoju ludzkości, czy w dziejach, przeciwnie, są tylko drobne, jednorazowe, wyjątkowe zdarzenia? Oto jabłko niezgody śród historyków niemieckich, zagadnienie nie nowe, które (jak słusznieby zauważył Ben-Akiba) już swego czasu

illustrował poglądowo Pascal, biorąc za przykład ów czarujący... nosek Kleopatry.

Spór ten jednak dziś przechodzi przez nową fazę. Zeszedł na grunt psychologiczny. W przeciwieństwie do indywidualistycznego zjawia się nowe socyalno-psychiczne pojmowanie dziejów. Lamprecht podnosi myśl zresztą nie nową, że przedewszystkiem psychologia powinna stać się taką dla historyi podstawą, jak mechanika i matematyka dla przyrodoznawstwa. Zdawna już zmierzały badania historyczne ku temu, aby rozwój ludzkości oprzeć na podstawach psychologii, tylko wpadały zawsze w jednostronność: albo podkreślały wolę, jak dawni indywidualiści, widzący wszystko w potęgach etycznych, albo nawet Marxiści, podkreślający produkcyjne czynniki, działające na wolę, albo, jak Comte i jego uczeń Buckle, zapatrzeni w umysł człowieczy. Zamiast wpadać w tę jednostronność trzeba ująć w całość i skojarzyć wszystkie te objawy— a tego dokona socyalna psychologia.

Ona konstatuje już u gromad pierwotnych gromadne objawy woli, uczucia i wyobrażenia. Te gromadne objawy psychiczne nie są jednak tylko sumą poszczególnych indywidualnych uczuć, wyobrażeń i t. p. Socyalno-psychiczne zjawisko jest czemś nowem, czemś odrębnem od poszczególnych składników: jest to nowy twór, niby akord, który przecież różnym jest od pojedyńczych tonów. Wskutek zestrzelenia się w jedno ognisko drobnych psychicznych porywów okazuje się pewna nadwyżka, jako produkt nowy, zrodzony nieświadomie, niezależnie od woli jednostek. Objaw ten występuje tak śród najdrobniejszych gromadek i zawiązków społecznych, jak i śród tak potężnych zbiorowisk, jak państwo. Wszędzie wyłania się nowy, odrębny skutek („heterogonia skutków"). „Oto—przypuśćmy — istnieje jakiś naród, składający się z 20 milionów osobników. Jednym z socyalno-psychicznych tworów tej masy jest patryotyzm. Jak powstaje to poczucie narodowe? Czy z tych uczuć, jakie każda jednostka żywi względem swej ojczyzny, — zbiera się ono w końcu, jako ich suma? Nigdy! Onoby nigdy nie powstało z sumy nie zwartych w społeczeństwo jednostek. W czasie, gdy wszyscy tak samo lub podobnie czują, powstaje w sposób twórczy coś, jakościowo całkiem nowego, coś, co istnieje poza indywidualnem uczuciem każdego!!..." Gdzie istnieje gromadny objaw uczuć, wyobrażeń i napięcia woli, tam można wszystkie osobistości uważać za identyczne, regularne, typowe, przeciętne, za okazy gatunkowe... I tu wychyla się w konsekwencyi owo nowe „veto" przeciwko „starej historyi", która przeczy prawidłowości zjawisk dzisiejszych, ale

wszystko przedstawia jako poszczególne, wyjątkowe, indywidualne...

Znaczenia socyalno-psychicznych sił nie zapoznawano i przedtem w niemieckiem dziejopisarstwie. Nadawszy im nazwę „Zustände" — „stanów", uważano je jednak zawsze za jakieś nieruchome, a przedewszystkiem b i e r n e potęgi, które nie inaczej wpływały na bieg historyi, jak przyroda, klimat i t. p. Były to sobie poboczne warunki dziejowych zdarzeń, ot dodatkowa illustracya „właściwej" politycznej historyi.

Tymczasem Lamprecht w polemice z Rachfahlem uwydatnia, że te socyalno-psychiczne prądy są ustawicznie przetwarzającemi się, nieustannie zmieniającemi się przyczynami i podstawami rozwoju. Ciągle działa samodzielnie owa tworząca nadwyżka sił psychicznych, ten ich kompleks, który Lamprecht lubi modnie nazywać psychicznym dyapazonem epoki. Działanie tych sił jest tylko psychiczne. Wszystko bowiem, co historyczne, ma psychiczny charakter... „Ruiny Pompei są dla nas tylko materyą, niczem historycznem, jeżeli ich nie pojmujemy, jako symbolu i pozostałości rzymskich uczuć i myśli" [1]).

---

[1]) Lamprecht według poglądu dziś powszechnego (przyjętego i przez marxistów) uważa wszystkie fakty dziejowe za objawy psychiczne. Każdą, choćby jak najbardziej „materyalną" czynność traktuje — rzecz jasna — jako psychiczne zjawisko. Dlatego to Lamprecht, zajmując się klasyfikacyą nauk w ostatniej broszurze swojej (Kulturhistorische Methode, s. 15) nazwał historyę w przeciwieństwie do przyrodoznawstwa „ w n a j s z e r s z e m słowa znaczeniu" „nauką o psychicznych zmianach społeczeństw ludzkich". Na podstawie tej definicyi, danej przez Lamprechta, prof. Dembiński w referacie, przedstawionym na ostatnim krakowskim zjeździe historycznym — ukuł zarzut przeciw Lamprechtowi, jakoby jego punkt widzenia psychologiczny był nazbyt jednostronny: „niepodobna z tego punktu rozważać i przedstawić c a ł y c h dziejów narodu". Dalej wytoczył prof. D. w związku z tem zarzuty, że Lamprecht, zapatrzony w owe psychiczne „nastroje" epok, nie uwzględnia innych (niepsychicznych?...) objawów, jak zmian w ustroju państwa, wpływów polityki zewnętrznej i t. d.... Słysząc te zarzuty, człowiek słupieje. Jakto? więc ten sam Lamprecht, który toczył spór o ważność (nastrojowych?) ekonomicznych czynników w historyi w polemice z „hyperidealistami", a w swej historyi uwzględnić chciał wszystkie objawy kultury — ten sam terazby je lekceważył?... Cóż to się stało? — Dla wyjaśnienia nieporozumienia zaznaczyć trzeba, że, kto choćby powierzchownie zapoznał się z teoryą poznania dzisiejszej doby, przyzna słuszność poglądom Lamprechta, gdy ten chce w s z y s t k i e objawy historyczne w gruncie rzeczy uważać za zjawiska p s y c h i c z n e. Po drugie, każdy, kto choćby kilka jego rozprawek przejrzał, musi przyznać, że sam Lamprecht, uprzedzając z góry nieporozumienia, wyłuszczał po niezliczone razy

Tylko wspomniane siły gromadno-psychiczne zwracają na siebie uwagę Lamprechta. Tylko one, jako objawy prawidłowe, są — zdaniem jego — godne być przedmiotem n a u k i. One jedynie dadzą się ująć badawczo, naukowo rozjaśnić i porównawczo uporządkować. One obejmują postępki ludzkie, dokonane bezcelowo, raczej z przyzwyczajenia, — czynności generyczne, statystyczne — stąd związane z sobą łańcuchem konieczności przyczynowej, prawidłowości ..

Przeciwnie jednostka. Ona się wymyka z pod ręki uczonego badacza. Nie przyczyny, ale cele nią kierują. Pomijając fakt, że właściwie jednostka ludzka, zupełnie odosobniona, nie jest znaną doświadczeniu ludzkiemu [1]), trzeba się zgodzić na to, że wyrozumieć i racyonalnie wytłómaczyć sobie indywiduum niepodobna: *individuum est ineffabile.* Chyba jedna twórczość niewyrozumowana artysty zdoła odtworzyć indywiduum, ale nie nauka; stąd historya, traktowana nie jako nauka, tylko jako sztuka, może artystyczne tworzyć bohaterów żywoty [2]).

---

zupełnie jasno, co przez to rozumie. Szczególnie wyraźnie w tej sprawie rozmówił się Lamprecht z Belowem. Prof. Dembiński, jakby zapomniawszy o tej polemice z Belowem, znowu odświeża zarzut, nad którym w Niemczech przeszło się już do porządku dziennego. Prof. Dembiński mianowicie przedstawia przed oczy Lamprechtowi, że przecież „zachodzą wypadki i położenia, które nie podpadają wyłącznie pod ten mianownik psychologiczny, np. gwałt zewnętrzny, dokonany na narodzie“; tymczasem na takiż sam zarzut ze strony Belowa odpowiedział był już Lamprecht (Die histor. Meth. des Herrn v. Below, 33—34), oświadczając, że stosunki zewnętrzne polityczne nie są niczem innem, tylko też w gruncie „socyalno-psychicznymi prądami i siłami, działającymi z zewnątrz czy to przez pewną oznaczoną rękę, czy to przez mniej osobisty ruch“, tak, że „w sumie chodzi tu wszędzie zatem o socyalno-psychiczne siły...“ Prof. Dembiński stoi na tem stanowisku, zdaniem mojem, dziś już przestarzałem, na którem stał dawniej sam Lamprecht wtedy jeszcze, kiedy nie myślał zajmować się kwestyami historyozoficznemi i co do nich polemizować. Zaraz jednak na początku polemiki wyleczył się i przestał wyobrażać sobie przeciwieństwo „duchownych i materyalnych“ czynników w dziejach na podobieństwo stosunku ciała do duszy (porównaj „Was ist“, str. 138). Czemuż nie korzystać z doświadczenia innych, zwłaszcza, kiedy się przedstawia ich samych. W miejsce teoryi Lamprechta prof. Dembiński proponuje coś nowszego, mianowicie, pogłębić starą „prawdziwą historyę prawdziwego życia“.

[1]) Przeciwnik Lamprechta Seignobos w „Introduct.“, 1898, s. 213 zaznacza przeciwnie, że działają tylko jednostki, a instytucye — to metafory, abstrakcye myśli ludzkiej. Jak wiadomo, Comte i niezależnie od niego Wundt doszli do przeciwnego przekonania, że właśnie pojedyńczy człowiek — to tylko abstrakcya.

[2]) W tej sprawie „heroizmu“ w historyi pośpiesza z pomocą Lamprechtowi sojusznik jego *Barth*, dorzucając kilka ciekawych uwag w przytoczonej już

Zresztą „wielki" człowiek, heros — nie jest jakąś mistyczną łaską obdarzony, ale tylko bystrem zrozumieniem i odczuciem dyapazonu współczesnej epoki, jakoteż wyposażony odpowiednią ku temu siłą, aby to zrozumienie przelać w czyn. Masy, na które wpływa bohater, nie są bierną maszyną, którą można dowolnie kierować. Wielki człowiek musi przekonywać potężniejszych członków gromady. Jeśli gorący mówca chwilowo porwie za sobą małe gromady (parlament), to dlatego, że w ich łonie tleją podobne porywy, że zresztą te masy chłoną w siebie te aspiracye mówcy, przetwarzając je na swój sposób tak, że zawsze dążność masy będzie aktem twórczym tak bohatera, jak i masy.

Zdaniem Lamprechta sami wielcy ludzie, bohaterzy dziejów, na podstawie własnego doświadczenia najlepiej mogą o tem roztrzygnąć, czy sami byliby w stanie dowolnie zmienić psychiczne kollektywne potęgi współczesnej im doby, czy nie. Lamprecht zebrał całą wiązankę poglądów na tę sprawę wielkich ludzi. Aż do znudzenia powtarza prawie co w drugim artykule zgodne z jego teoryą zdania dzisiejszego najświeższego „boga" germańskiego — Bismarcka, a potem rzuca garść pytań w rodzaju następnych:

„Czy Karol Wielki w swych czasach gospodarstwa naturalnego byłby w stanie stworzyć... bank krajowy? czy mógłby Bismarck zmusić swe społeczeństwo do powrotu do gospodarstwa naturalnego? Czy mógłby malarz z czasów Fryderyka Rudobrodego malować tak, jak Rembrandt? Czy może być dramaturgiem poeta, żyjący w dobie, kiedy wszyscy odczuwają pierwotnie — epicznie?..."

---

książce: „*D. Philosophie d. Geschichte als Socyologie*", Lipsk, 1897, I, 217. Między innemi zaznacza, że sama praktyka dziejopisarska uznawała już dawno instyktownie, że przeciętna jednostka nie jest godną studyum historycznego, ale tylko taka, która była typowym przewodnikiem mas. Sam fakt, że istnieją tylko życiorysy „wielkich" ludzi, dowodzi, że „historyczne" ruchy i stosunki to są ruchy i stosunki mas. Skądże pochodzi ich „wielkość", jak nie z uznania u gromady? Najgenialniejsza jednostka — jeśli zginie, izolowana, bez wpływu na gromady ludzkie, nie należy do historyi. Należeć będzie do niej dopiero wtedy, kiedy pamięć o niej w jakikolwiek sposób przedrze się do mas, i wydobędzie ją na wierzch jakiś masowy renesans... Wspomniana książka Bartha (I tom) podaje streszczenia najrozmaitszych systemów historyozoficznych i socyologicznych. Historyozofia a socyologia to dla niego jedno. Na podział systemów nie zawsze można się zgodzić. Nie zawsze poddaje je krytyce. Najlepsze ustępy o Comte'ie i Spencerze. Zresztą książka informująca.

Rezultat tego szeregu pytajników: nawet najpotężniejsza jednostka jest wciągnięta w wir fundamentalnych podstaw kultury, w której żyje, a cóż dopiero mała i słaba. To zdanie uważa Lamprecht za podwalinę nowego dziejopisarstwa.

* * *

Dwie są tendencye śród historyków.

W obliczu rozszalałego morza dziejów, co przez tyle wieków niezmordowane kłębi się i przewala, jedni z zachwytem śledzą na niem każdy spieniony bałwan i choć wiedzą, a może właśnie dlatego, że wiedzą, iż każdy z nich tylko raz się wzniesie i w tejże chwili na zawsze zaniknie, pragnęliby wszystkie najdrobniejsze zakręty każdej z tych fal, wszystkie cudne linie każdego z bałwanów, wszystkie gry barw i światła każdego z malstromów uchwycić i potomnym na wieki przekazać. Drudzy gardzą temi igraszkami morza i, przymrużywszy oczy na wszystkie te przemijające powaby, obliczają porównawczo owe wielkie ruchy i prawidłowe wahania morskich bezmiarów, odpływy i przypływy oceanów, ich regularne prądy i golfy, zadumani nad ich powodem...

Te dwie tendencye zwarły się właśnie w polemice o teoryę Lamprechta. Na czoło obrońców pierwszego kierunku wysunął się Rachfahl. Gdzież mają się ukryć, w co się rozpłynąć — pyta Rachfahl — owe olbrzymy ducha i czynu, owi wielcy inicyatorzy czy w dziedzinie polityki, czy gospodarstwa, czy obyczajowości, owi reformatorzy, których nie brak nigdy nawet na najniższych szczeblach rozwoju? Wszak owe przełomowe, choćby najpierwotniejsze wynalazki, jak rozniecania ognia, lepienia garnków, wyrabiania łuków, nie są dziełem grup społecznych, ale jednostek... Prądy dziejowe nie są wywoływane przez masy, tylko przez jednostki, prądy te zaś działają na jednostki nie zawsze w sposób równomierny, ale zawsze zależnie od usposobienia indywidualnego, na które wpływają. Prawda, że w większej gromadzie dane uczucie wzmaga się i potężnieje więcej, aniżeli zamknięte u jednej osoby, ale nie zawsze musi ono wezbrać u wszystkich członków zbiorowiska (np. patryotyzm może nie objąć ludzi o zakroju kosmopolitycznym). Przedewszystkiem jednak razi Rachfahla zdanie Lamprechta, jakoby działanie mas opierało się na przyczynowości, działanie zaś jednostek na celowości. Owszem, są i postępowania gro-

mad, — całych narodów, zmierzające ku pewnemu celowi przez wieki.

Ależ — odpowiada Lamprecht — sam Rachfahl przyznaje, że te gromadne cele są nieświadome pojedyńczym jednostkom, więc w takim razie są konieczne — więc są nie celami, ale przyczynami...

Są przyczynami — odpowiada Rachfahl — ale nie działającemi z koniecznością nieubłaganą, — nie tak, aby zawsze tylko ten, a nie inny skutek wywoływały. Zawsze są one tylko zbiorem celów. Tak prąd pobożności i głębokiej wiary, znamionujący czasy średniowieczne, niewątpliwie wpływał przyczynowo na rozwój gospodarczy. Kiedy jednak chłop frankoński przekazywał swe grunta klasztorowi w tym celu, aby zarobić na niebo, to tutaj tkwi tylko cel, tylko motyw, a w takim razie mieć tu będzie zawsze szerokie pole pewna dowolność indywidualna, tak, że zawsze nie będzie wiadomo zgóry, czy ta, czy owa pobudka zawładnie duszą jednostki. Zazwyczaj o motywach działaczy mało wiemy, ale, gdybyśmy nawet mogli przeniknąć ich pobudki i widzieć je, jak na dłoni, to jeszcze nic nas nie może upoważnić do przeświadczenia, że ten, a nie inny motyw m u s i a ł wziąć górę i pchnąć jednostkę do czynu. „Znamy pobudki, które skłoniły Cezara, aby przeszedł przez Rubikon, ale czy stąd zaraz wyniknąć ma twierdzenie, że Cezar m u s i a ł przejść przez Rubikon? Zupełnie dobrze możemy sobie wyobrazić, że Cezar zawrócił się z nad Rubikonu. Tymczasem nie sposób wyobrazić sobie kuli, którąby nie musiała się stoczyć po równi pochyłej... i oto właśnie różnica między przyczynowością przyrodoznawczą a historyczną, z której pojęcie konieczności trzeba wykluczyć.

W odpowiedzi Lamprecht, napomknąwszy, że i w przyrodoznawstwie spotkać się można ze zboczeniem od praw (praw, które zresztą buduje się tylko na podstawie typów i abstrakcyi) — protestuje przeciw usiłowaniom Rachfahla, aby całą historyę tłómaczyć tylko na podstawie motywów indywidualnych, przejściowych. Jest to bowiem to samo, co poprzestawać na przestarzałych regułach pragmatyki historycznej. Wszystkie objawy gromadno-psychiczne wytłómaczyć się dadzą przyczynowo — to dla Lamprechta oczywiście jest tak jasne, jak słońce. Tylko co do indywiduum napadają go pewne wątpliwości. Wprawdzie godzi się na słowa Windelbanda, że o człowieku, któryby osiągnął najzupełniej ideał wewnętrznej wolności, moglibyśmy zgóry z zupełną pewnością przepowiedzieć, jakby zachował się wobec każdego wypadku; wprawdzie podnosi

usiłowania modnych żywotopisarzów, którzy tłómaczą postępowanie swych bohaterów wpływem czy to środowiska, czy spółczesnego nastroju, ale zastrzega się w końcu jednak wyraźnie, że do dzisiaj nie zdołała myśl ludzka rozplątać prawidłowej sieci nieskończonych, krzyżujących się w sercu jednostki motywów.

Stąd to racyonalne tłómaczenie można zastosować raczej tylko do szarej masy przeciętnych jednostek, a nie do ludzi wybitnych, genialnych, nieobliczalnych...

W ten sposób, według Lamprechta, snują się przez ciąg dziejów dwa różne objawy dwu odmiennych metod, wymagające: jedne faktów dowolnie spełnianych — indywidualnych, drugie socyalno-psychicznych, z koniecznością na arenę dziejów występujących. Pierwsze są dziełem ...wybranej garstki ludzkości — drugie znamieniem ciemnej, szarej masy.

Przeciw temu to jednostronnemu zabarwieniu tylko pewnych faktów, przeciw temu rozdarciu dziejów na dwa szeregi faktów posypały się na Lamprechta najostrzejsze zarzuty. Najjaśniej sformułował je w rozprawie, jednej z najkrótszych, ale zato bodaj najlepszej ze wszystkich ocen teoryi Lamprechta, Hintze, który umiał jednak obok wykazania jej błędów uwydatnić w niej także z całą bezstronnością sporo stron dodatnich.

Hintze stanowczo zaprzecza, jakoby w rzeczywistości istniał podobny roździał i przepaść między szeregami faktów. Lamprecht z podziału czysto subjektywnego wytworzył objektywny. Tymczasem niema zasadniczej różnicy między kompleksem psychicznych momentów a każdym momentem indywidualnym. Życie ludzkie to mieszanina w różnym stopniu indywidualnych i gromadnych motywów. Niemasz objawu natury czysto indywidualnej lub czysto masowej.

Hintze pod pewnym względem przekonał Lamprechta. Ten w odpowiedzi zgadza się, że istotnie życie ludzkie jest kombinacyą obu tych czynników, i zaznacza, że on przenigdy nie miał na myśli wyrzucać precz z dziejów jednostki. On tylko „in abstracto" — izolował jedne fakty od drugich, na co zresztą zawsze pozwalają reguły umiejętnego myślenia. W praktyce oczywiście niema tego rozszeregowania. Uznaje obie metody i indywidualistyczną, i kolektywistyczną za zupełnie równouprawnione i wzajemnie się uzupełniające, a nawet dla usunięcia nieporozumień zmienia odtąd nazwę

swej metody z kollektywistycznej na więcej wszechstronną... uniwersalistyczną [1]).

* * *

Indywiduum a masa — oto zatem dwa bieguny przedstawionej polemiki. Tu tkwiła oś całego sporu. Ubocznie jednak wplątała się tu i przyczepiła sprzeczka naukowa o stosunek historyi kultury do historyi politycznej.

Zachowanie się Lamprechta wobec tej kwestyi jest pełne niekonsekwencyi. Raz słyszymy od niego, że dziejopisarstwo dzisiejsze przeszło już nad tą sprawą do porządku dziennego, że „nowe" kierunki nie odnoszą się wcale wrogo względem państwowego pojmowania dziejów; przeciwnie uznaje za swój obowiązek na widok wtłaczania coraz nowych objawów życia kulturalnego w ramy dotychczasowej historyi przestrzedz, że postęp historyografii nie polega na zdobywaniu nowych dla niej obszarów i terenów, tylko na pogłębianiu samej metody badania. Drugi raz jednak zupełnie naodwrót wykazuje, że historyi politycznej szczególnie odpowiada i z nią się wiąże indywidualistyczne pojmowanie dziejów, a nawet w rozmachu stwierdza, że nowem hasłem w starciu się nowych prądów historyograficznych ze starymi jest zawołanie: „państwo czy kultura..." [2]).

Na tę niezgodność u Lamprechta przeciwnicy jego nie zwrócili uwagi, ale zato zupełnie słusznie wytknęli mu błąd, popełniony przez owo identyfikowanie indywidualnych faktów z politycznymi, a koniecznych, masowych z kulturalnymi... Dość przytoczyć kilka pytań, misternie ułożonych przez Rachfahla, aby zrozumieć, gdzie słuszność.

„Czyż dla (politycznej) akcyi jakiegoś tam drobniutkiego dyplomaty w książęcym dworku (niemieckim) z XVIII-go wieku ma

---

[1]) W związku z tem Lamprecht usuwa dawną terminologię na oznaczenie różnicy między „historyą osób" a „historyą stanów" („Personengeschichte" a „Geschichte der Zustände" lub mniej zgrabne „Lebenshaltungsgeschichte"), przyznając w polemice z Meineckem, że po prawdzie wszystka historya jest właściwie zawsze historyą osób (Hist. Zeit. Sybla, 1896, s. 258).

[2]) „Alte u. neue...", str. 4, str. 19. „Was ist", str. 99, 144. „Individualität", str. 886. „Entwickelung", str. 28 — 29. „Zukunft" z 4 kwiet. 1896, 7 listop. 96, 31 lipca 97, 6 listop. 97.

mieć uprawnienie antynomia między wolnością a koniecznością, a dla (kulturalnych) wielkich ducha czynów Michała Anioła albo Szekspira, Kanta, Goethego, Rankego — nie? Gdy konwent narodowy słał Ludwika XVIII-go na gilotynę, to miał działać na podstawie wolnej woli (bo politycznie), a gdy Rousseau pisał swój „Kontrakt społeczny", t. j. to właśnie dzieło, które stało się kodeksem Robespierre'a i jego sojuszników, to dziać się to miało pod naciskiem konieczności, i to tak nieubłaganej, że jej się autor nie mógłby oprzeć?..."

Do muru przyciśnięty profesor lipski godzi się na to, że trzeba dać w istocie spokój używaniu nazwy historyi indywidualistycznej zamiast politycznej, przyznając, że i w politycznej historyi spotyka się oczywiście i socyalno-psychiczne objawy; mimo to jednak dodaje swoje „*e pur si muove*", nadmieniając, że historya polityczna, związana z pewnem tylko społeczeństwem czy narodem, dzieje się tylko raz, gdy rozwój kulturalny odnawia się i powtarza w każdem społeczeństwie według pewnych typowych stadyów, które nadają się więcej do naukowego traktowania.

Chociaż nieudane — zupełnie jednak zrozumiałe są dla nas porywy Lamprechta przeciw politycznej „jednostronności" historyi, przeciw temu starszemu dziejopisarstwu, które zyskało sobie we Francyi przydomek „*l'histoire — bataille...*" Jeden z ich przedstawicieli Seignobos [1]), występując niedawno przeciw pomysłom Lamprechta, przytoczył na dowód ich błahości przykład z dziejów, który miał wykazać, jak drobny przypadek może stać się przyczyną niezmiernie ważnych, wprost epokowych zdarzeń. Taką iskierką, wzniecającą wielki pożar, był np. jeden tylko cios, zadany lancą z ręki hr. Montgomery, ten cios był przyczyną śmierci Henryka II, ta śmierć przyczyną opanowania władzy przez Guizyuszów, to zaś przyczyną poruszenia protestantów, wojen religijnych... Myślałem, czytając to, że z kolei za tą grudką posypie się jeszcze większa lawina faktów, przygotowany byłem nawet na obecną..... wojnę chińską, ale autor znowu nie chciał tak bardzo nużyć czytelnika wyliczeniem wszystkich tych strasznych katastrof dziejowych, które wynikły z zbyt starannego okucia owej lancy... Bezwarunkowo wszystkiemu winien ów zbyt staranny kowal. Na miły Bóg, trzebaż go było powiesić, aby przynajmniej w ten sposób raz... przekonać ludzi, że rzesza prawdziwych winowajców bywa

---

[1]) Introduction aux études historiques p. Langlois et S.

daleko większą i daleko mniej... znaną, niż nawet, nie przymierzając, w naszym Pacanowie, gdzie przynajmniej mają ludzie jasne powody do zatajania prawdziwych winowajców — ślusarzy...

Wszystko to są oczywiście same „noski" Kleopatry. Są one za... delikatne, aby na nich mógł śmiało Seignobos budować swoje granitowe twierdzenie, jakoby sama historya polityczna wypełniała i wyrażała w sobie całe... życie ludzkości. Przeciw tak przesadnym uogólnieniom — nic dziwnego, że zrywa się od czasu do czasu również jaskrawo wyrażony protest.

(*d. n.*)

*Wacław Sobieski.*



# ŻYCIE I MARZENIE,

## POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

### I.

Posada u Jesiołowskich zdawała się Mireckiemu zbawieniem, profesor zaś Kosowski, któremu ją zawdzięczał, — zbawcą. Oto po trzech latach przymierania głodem po najdalszych i najmarniejszych kątach wielkich miast będzie się miało wygodny, ciepły i zaciszny kąt wiejski bez codziennego: „czy jeść dziś ciepły obiad, skoro się go jadło przedwczoraj lub wczoraj, czy poprzestać na przekąsce?...” I w dodatku będzie wbród pieniędzy, a więc i książek, których zresztą i bez tego dwór tam pełny.

Uczenie cudzych dzieci nie zdawało mu się wcale przekleństwem, bo dzieci lubił, a talent pedagogiczny, który wypadło rozwijać od czternastego roku życia, zdawał mu się najbardziej dowiedzionym ze wszystkich talentów, jakie różnymi czasy pragnął był w sobie odkryć. Wobec dziecka czuł się panem jego umysłu i serca, i przychodził doń rzadki gość — poczucie swej pożyteczności, a więc wartości społecznej, gość, który omijał podwoje duszy jego podczas namiętnych studyów filozoficznych lub artystycznych.

Wsiadłszy do wagonu drugiej klasy, z którą się bardzo dawno nie widział, i czekając niecierpliwie trzeciego dzwonka, Mirecki snuł błogie marzenia. Uczeń będzie robił ogromne postępy, jak zwykle jego uczniowie, a nawet większe, niż zwykle, a przywiąże się do niego też może jeszcze więcej, niż inni: przecie mieszkać pod tym samym dachem, to nie to, co przychodzić na godzinę dziennie.

Jesiołowscy są podobno inteligentni i dbali o wychowanie jedynaka, ocenią więc rzetelną pracę nauczyciela, talent i życzliwość dla dziecka i odwdzięczą się sami życzliwością i szacunkiem. Będzie mu tam dobrze, bardzo dobrze. W ciągu roku zbierze kilkaset rubli i poleci do wymarzonego centrum wiedzy i sztuki...

Przez chwilę zdawało mu się, że ruszający pociąg wiezie go już do Paryża.

Ale będą go pewno bardzo prosili Jesiołowscy, żeby został jeszcze na rok („można byłoby mieć tysiąc!..."), może nawet do ukończenia edukacyi domowej chłopca. Dobrzeby to było doprowadzić go do lat szesnastu, na ten przykład: to dopiero byłaby robota na moc. Takie marne przeważnie to nasze wielkopaństwo, że byłoby prawdziwą zasługą przed społeczeństwem wychować dobrego sługę wielkich ideałów w tak zwanym wielkim rodzie...

Tak, jakby to już było faktem spełnionym, odezwało się w Mireckim sumienie demokraty. Z niepokojem zadawał sobie pytania: czy tworzenie doskonałości arystokratycznych na schyłku XIX w. nie byłoby anachronizmem? czy nie byłoby przedewszystkiem zdradnem bałamuctwem, skoro społeczeństwo powinnoby właściwie za jednoznaczne uważać wyrazy: arystokrata i nic po nim? czy naprawdę wyrabianie umysłu takiego Jesiołowskiego nie będzie taką samą zdradą obozu swego, a więc i społeczeństwa, jaką byłoby uczenie wroga szermierki? Boć przecie dawać duszy dobrze odszlifowane i hartowne idee — jest to samo, co wkładać do dłoni broń groźną.

I Mirecki musiał zwołać pospolite ruszenie władz swego umysłu, żeby przezwyciężyć te wątpliwości. Wzgląd na to, że wychowany przezeń arystokrata może zostać w przyszłości dobrym panem dla sług i oficyalistów i dobrym ojcem rodziny — okazał się oczywiście bezsilnym, zato myśl, że i przed i po Grakchach członkowie największych rodów bywali nieraz największymi bojownikami za sprawiedliwość społeczną, okazała się skuteczniejszą.

Gdyby tak wychować bohatera anti-arystokratycznego, który ze wzgardą odrzuci swój tytuł i będzie uważał siebie co najwyżej za administratora tylko dóbr własnych?...

Ale to byłoby podejściem względem tych, co mu chłopca po-

wierzają, — może najszlachetniejszem z podejść, ale bądź co bądź podejściem. Chytrość, udawanie — to nad jego siły!... Zresztą byłoby to już urządzaniem przystosowanej do jakiegoś celu maszyny, nie zaś wychowywaniem człowieka swobodnego. Rzetelnemu bóstwu i bez gwałtu duchowego nie może zbraknąć zwycięsko - wiernych wyznawców i natchnionych kapłanów. Chyba nędznik tylko mógłby się rozkoszować miłością, sztucznie nakazaną we śnie; jakżeby więc dobra idea, a więc bóstwo prawdziwe, miała się posługiwać automatami? Szlachetne bóstwa nie pragną też ofiar z ludzi, a czyż nie gorzej, niż zabitym, byłby człowiek, któryby, dajmy na to, dopiero, „rozdawszy wszystko ubogim” pod wpływem nakazu hypnotycznego, przekonał się, że brak mu sił, by „iść za nim”?

I Mirecki postanowił sobie w tym wypadku czynić też tylko to, co instynkt kazał mu czynić wobec duszy dziecka dotychczas. Będę go uczył odróżniać tak dobrze własne uczucia i pobudki do czynów, jak wrażenia, czyli odróżniać wogóle pojęcia równie dokładnie, jak rzeczy; będę go uczył wyprowadzać wnioski z matematyczną ścisłością i bezwzględną względem siebie samego szczerością, przedewszystkiem zaś — kochać bezinteresownie i z zapałem...

Nie, chyba tylko też odróżniać w sobie interesowność od miłości bezinteresownej, owa bowiem roślina nie wyrośnie, jeśli jej sam Bóg nie zasiał. Co najwyżej można pielęgnować zasianą, wystawiając na słońce i polewając, a pieląc zarazem otaczające chwasty...

I z ogólnych zasad oraz ideałów pedagogiczno-społecznych cudzych lub własnych snuły się szczegółowe plany pracy — nie tylko wykładów, lecz nawet wogóle systematycznego kształcenia charakteru i serca, ale wnet powstrzymał on myśl w zapędach na tym torze przypomnieniem, że takie obmyślanie z góry sposobów nigdy mu się na nic nie przydało nawet przy wykładzie określonego przedmiotu, bo, wyczuwszy rodzaj umysłowości, zawsze ostatecznie wypadało improwizować.

Więc, żeby sobie głowy nie zaprzątać śmieciem, jak myślał, z którego wymiataniem potem byłby tylko kłopot, zaczął układać w notesie poprostu rozkład godzin, ale to też rozbiło się o szkopuł: nieznane były godziny zajęć chłopca z innymi, ani też najważniejsze godziny — jedzenia.

Powoli pobudzenie zaczęło słabnąć, notes z kartką zapisaną i przekreśloną wrócił do kieszeni, i oczy się zmrużyły. Otworzywszy je po minucie, Mirecki dostrzegł, że pogoda się zasępiła: z za jednostajnie prawie szarej płachty chmur ani skrawka błękitu nie było widać. Wtedy przypomniał sobie, że zauważył był nieświadomie

oddawna to mroczenie się stopniowe świata i od kilku kwandransów walczył tylko właściwie z przygnębieniem, które zaciągało powoli duszę, jak obłoki niebo. Po oknach wagonu zaczął spływać godny bardziej listopada, niż kwietnia, deszcz, który zdał się Mireckiemu jeszcze rozpaczliwiej smutnym po usłyszeniu na stacyi, poprzedzającej cel podróży, że „tu tak leje od rana".

O zmroku przedwczesnym stanął nareszcie pociąg w Jesiołówce, którą już tylko osiem wiorst dzieliło od Jesiołowa, rezydencyi hrabiów Jesiołowskich.

Wysiadając z wielką pompą, bo powierzywszy dla honoru stanowiska posługaczowi swoje paski podróżne i obwiązany sznurkiem tłómoczek, Mirecki dostrzegł wyskakującego z sąsiedniego wagonu pierwszej klasy pana, który zwrócił był na siebie jego uwagę jeszcze w Warszawie.

Był to młody człowiek o rysach ściągłych niezwykłej prawidłowości, o oczach aksamitnych i taki jasnowłosy, że wyglądające z pod czapeczki granatowej włosy były, jak len; wąsiki, jak dwa kłoski żyta, rosły mu wysoko nad wargą, nastroszone u góry, a ostra bródka nadawała wyraz junacki rozmarzonej niby czy lalkowatej twarzy.

— Czy są konie z Jesiołowa? — zapytał trochę zagłośno Mirecki.

— Są, proszę wielmożnego pana — odrzekł posługacz, a w tej samej chwili Mirecki, wciąż obserwujący pięknego pana, zauważył, że ten zlekka zwrócił się w jego stronę i z ukosa zmierzył go od stóp do głowy spojrzeniem, którego celem rzeczywistym okazało się niby niebo: badał pogodę.

— Może to mój towarzysz podróży — pomyślał jednak Mirecki z radością, że miałby sposobność wystudyowania zblizka tej twarzy. Zrodziła się w nim nawet zgóry walka wewnętrzna: kto komu w takim razie miałby się pierwszy przedstawić? Tymczasem, na wypadek, że nieznajomy spojrzy nań jeszcze raz, mimowoli starał się iść sprężyście, zakrywając sobą ubóstwo swego tłómoczka.

— Konie z Jesiołowa — krzyknął idący przodem posługacz, i wnet stangret z pierwszej w szeregu karety, który, przechyliwszy się w tył, mówił coś właśnie do stangreta stojącej aż za drugą karetą bryczki, — poruszył lejcami.

Przez kilkanaście sekund, podczas których kareta zbliżała się do ganku, dziecinne wzruszenie radości, jak wino, uderzyło do głowy Mireckiemu, a w tym obłoku mignęło mu aż do przykrości wyraźne poczucie zaciągnięcia długu tak niewypłatnego, jakgdyby nawet

uczynienie z młodego Jesiołowskiego choćby mędrca i bohatera było niczem wobec tej delikatności. To też równie szybkie przypomnienie domniemanego towarzysza podróży zdało mu się ulgą.

W chwili, kiedy przez myśl Mireckiego przelatywało z kolei pytanie, czy „oni" wiedzieli o przebytym przez niego ciężkim bronchicie, stangret, rzuciwszy tylko okiem, nie zatrzymując wspaniałej czwórki, zatoczył tylko koło, by wrócić na dawne miejsce.

Mireckiemu, który, wyprzedziwszy tragarza, był już na ostatnim schodku, krew uderzyła do głowy. Od bezmyślnego gniewu na stangreta aż w oczach mu poczerwieniało, a ze wstydu nie śmiał się obejrzeć, pewny, że zobaczyłby uśmiechy... Spostrzegł jednak po chwili, że stoi na deszczu i że mu zimno, i, zawróciwszy nagle, poszedł szybko z powrotem, zaciskając zęby, żeby nie stukały, i myśląc, że będzie tylko dodatkiem w tej karecie, i nie wolno mu wsiadać przed osobą główną, w której odgadywał jasnowłosego pana: prawda, przecie na lokaju, co niósł nad nim parasol, była ta sama liberya...

Niepokój ogarniał Mireckiego coraz więcej: w jaki sposób nastąpi porozumienie się z nieznanym towarzyszem podróży? Czy ten zgłosi się doń sam, czy przyśle lokaja? O przedstawieniu mu się już nawet nie myślał.

W poczekalni jasnowłosy pan rozmawiał z jakimś imponującej powierzchowności starym panem i jego żoną, którzy go traktowali z widoczną deferencyą. Żegnali się właśnie, i niebawem domniemany towarzysz podróży wyminął Mireckiego, kierując się ku wyjściu. Mirecki zrobił za nim kilka kroków, jakby go chciał dogonić i zaczepić, lecz nagle zwolnił kroku i w chwili, kiedy znowu wychodził z sieni na ganek, jasnowłosy pan, podsadzany dla formy przez lokaja, wsiadł do znanej karety. Potem w jednej chwili lokaj wskoczył na kozioł, i konie ruszyły z kopyta. Mirecki chciał zawołać, żeby się zatrzymali i zabrali go, ale głos mu uwiązł w gardle: patrzał więc tylko wślad za znikającą karetą tak uporczywie, że nie dostrzegł nawet bryczki, która zajęła jej miejsce przed gankiem.

— Rzeczy pana już na bryczce — odezwał się doń posługacz.

— A może panu będzie zawadzał ten tłómok — zapytał stangret — to go na furę...

— Nie — ledwo wykrztusił Mirecki, obracając się gwałtownie, żeby znów powrócić do poczekalni.

Uderzył trzeci dzwonek — hasło odejścia pociągu: możnaby jeszcze zdążyć. Dojechać do następnej stacyi, byle precz stąd, tam sprzedać zegarek lub palto i wrócić do Warszawy!...

Na chwilę olśniła go myśl ucieczki, ale inna — o konieczności

w takim razie natychmiastowego zwrotu zaliczki oraz kosztów podróży — przykuła go do miejsca i ścisnęła gardło tak, że, choćby chciał, nie potrafiłby zawołać na posługacza: „zdejm rzeczy z bryczki i napowrót do wagonu!...”

Uciec było nie wolno, ale kiedy pociąg, gwiżdżąc i sapiąc, ruszał w dalszą drogę, Mirecki łzy łykał i drżał, jak liść na wietrze, jakby ten potwór zabierał całe jego szczęście.

Nie, niepodobna wracać do Warszawy w roli marnotrawnego syna, którego honor musiałby ratować ktoś ze znajomych. Życie można bez męki zawdzięczać tylko komuś, kogo się szanuje; szczęście — tylko komuś, kogo się czci lub kocha, ale honoru nie wolno nikomu zawdzięczać, żyjąc.

Zresztą skąd dostać sto pięćdziesiąt rubli? Profesora Kosowskiego żądaniem pożyczki ukarać za uprzejmość, z jaką go z biedy chciał ratować — byłoby tem haniebniejsze, że pomimo największej może trudności nie mógłby odmówić, ponieważ uważałby się za moralnie odpowiedzialnego przed Jesiołowskimi. Doktór Granowski pomimo całej swej niewątpliwej życzliwości wytłómaczyłby mu, że, przed paru miesiącami kupiwszy willę w Zakopanem, a teraz traktując o kupno wsi, czyli mając kapitały uwięzione, mógłby mu co najwyżej od 25% do 33% żądanej sumy użyczyć: znając jego bezwzględną uczciwość, dałby mu chętnie tysiące, gdyby miał do rozporządzenia, ale... Upokorzyć się zaś przed wujem Warzyckim i prosić go depeszą o pieniądze?... Nie, za nic w świecie!

— Trzeba odrobić! trzeba odrobić! — powtarzał sobie Mirecki, dzwoniąc zębami i trzęsąc się w ciepłej poczekalni z tego wilgotnego chłodu, co go przeniknął był nawskroś na ganku.

Brzęk szkła zwrócił jego uwagę na bufet, który uprzątano właśnie. Podszedł i poprosił o kieliszek wódki — byle duży. Potem duszkiem wychylił jeszcze dwa — jeden dla siebie, drugi bardziej dla zadziwienia bufetowej — a przekąsiwszy, wrócił do bryczki, wsiadł i ruszył, żegnany za suty napiwek nizkim ukłonem posługacza.

Stare topole pięknej alei, którą się dojeżdżało do pałacu jesiołowskiego, stały przemokłe, jak sam Mirecki, i smutne i drżące pod wcale nie wiosennym ostrym tchem wiatru. Za zasłoną szarą deszczu widać było w dali ładny dwupiętrowy gmach, mogący rościć słuszne pretensye do stylu odrodzenia nadwiślańskiego. Bryczka zatrzymała się przed bocznym gankiem, co odarta już ze skóry wrażliwość Mireckiego też, jako ukłucie, odczuła — pomimo przypuszczenia, że przez to wejście pewno najbliżej jest do jego pokoju. Na turkot

przez okno wyjrzał wygalonowany lokaj z siwemi bokobrodami, ale zaraz cofnął się powolnie, i po chwili na ganek wybiegł dwudziestoletni wyrostek też w liberyi.

Niebawem Mirecki znalazł się w dużym, bardzo przyzwoicie umeblowanym pokoju na parterze i z oknami na ogród, który wtedy taki był czarny i brzydki, że nie mógł ucieszyć nowego lokatora. Zato firanki, portyery i kotara nad łóżkiem narówni z ogniem na kominku prędko rozgrzewały zziębniętego, który na chwilę zapomniał nawet o przebytej przykrości. Podczas swej tualety od wyrostka Józka dowiedział się, że obok jest klasa, a dalej pokój „młodego pana hrabiego", z którym „stoi pan Francuz", że obiad bywa punkt o pierwszej, kolacya o ósmej, a teraz właśnie „jaśnie państwo" są przy podwieczorku, który on, Józek, wyłączny sługa tych trzech pokojów, zaraz „panu profesorowi" przyniesie.

„Jaśnie państwo podwieczorkują razem, a profesorowi posyłają osobno" — przemknęło przez myśl Mireckiego, aż powiedział głośno:

— Oj, źle! — i przerwał na chwilę czesanie gęstej i upartej czupryny. „Jeżeli we wszystkiem zacznę się dopatrywać obrazy — rozmyślał, wymachując grzebieniem, jak pałeczką dyrektorską, i patrząc w kominek, jakby w nim szukał natchnienia — to będę stąpał po gwoździach i oszaleję, nie odrobiwszy tych 150 rubli. Toż trzeba chyba być głupim, żeby się nie cieszyć z takiej kombinacyi podwieczorkowej, która nastręcza najmniej kłopotu i straty czasu. Skoro chodzi o obronę godności swojej, trzeba się mieć na baczności, ale znów upatrywanie ciosów czy zamachów w rzeczach najprostszych i najzwyklejszych będzie wyglądało na manię prześladowczą, na tchórzostwo moralne, tak, jak tchórzostwem w pospolitem znaczeniu jest takie wytężanie nerwów, aby odczuwały, jako coś groźnego, każdy najobojętniejszy chociażby ruch nieprzyjaciela."

„Zapewne, w tym obozie wrogów chodzi więcej, niż o życie, więc strach mniej hańbi, ale też bądź co bądź nie przynosi honoru. Oto chociażby takie podjechanie do małego ganku, wytłómaczone samą wygodą, ubodło, choć nie mogło przecie nic ująć godności osobistej..."

I Mirecki sam nie wiedział, co go uspakajało powoli, czy te rozumowania, czy też jasny płomień, którego blaski pełzały, niby jaszczurki różnobarwne, po deseniach portyery.

Parę filiżanek gorącej herbaty ogrzały go i orzeźwiły do reszty, to też wiadomość, że pan hrabia pragnie go widzieć i czeka w swoim gabinecie, obudziła w nim przedewszystkiem ciekawość.

Ów siwy kamerdyner, którego twarz na wstępie wyjrzała nań

z okna, poszedł przed nim, wskazując drogę. Kurytarzem, trochę zaniedbanym, który w stronę przeciwną przedłużał się ku owemu gankowi małemu, dostali się do sali bilardowej, potem do wielkiej z podłogą mozajkową sieni, zdobnej w piękne i stare zbroje, bronie i herby, a wreszcie weszli znów do kurytarza, krótszego, niż poprzedni i elegancko czystego. Kamerdyner otworzył drugie drzwi na prawo, i pierwszą rzeczą, którą zauważył Mirecki w ogromnym, z wytworną powagą urządzonym pokoju—była stojąca przed panem domu niedopita filiżanka herbaty, rodzona siostra tej, z której sam on pił przed chwilą. Ta równość wobec filiżanek i podwieczorkowania osobno nasunęła mu ni z tego, ni z owego myśl, że owa bryczka mogła być tylko nieporozumieniem. To też, choć znów ukłuło go, że pan Jesiołowski nie wstał na powitanie i przyjmował go w szlafroku, ale wnet nad przykrością tą zapanowało uczucie szacunku dla siwizny i poczucie, że bądź co bądź owa hypoteza nieporozumienia karetowo-bryczkowego jest do rozwinięcia.

Jesiołowski, sam źle widny, bo na twarz jego padał cień od olbrzymiego motyla ciemno-zielonego, zawieszonego na kloszu dużej lampy, obrzucił Mireckiego okiem badawczem.

— Już się pan u siebie rozgościł? — zaczął, wyciągając do niego rękę z odcieniem łaskawej poufałości: — bo proszę pamiętać, że pan jest u siebie — dodał, robiąc ręką ruch okrągły, zakończony wskazaniem krzesła oraz słowami: — i niech pan siada, a jak tylko panu czego braknie, niech pan się zwraca do Jurzyckiego, którego tu służba tytułuje pompatycznie marszałkiem dworu. Ucznia swego pan jeszcze nie widział: zaraz go panu pokażemy. Pan rozumie, że dla rodziców nikt nie może być milszym od tych, komu dziecko ma zawdzięczać wiedzę, dobre zasady i...

— Janie —odezwał się do kamerdynera, który wyrósł u drzwi na dzwonek — poproś tu pana hrabiego Juliusza z panem Francuzem... Bo to tu, proszę pana, uczenie służby nazwiska pana Savigny dało takie opłakane rezultaty, że „pan Francuz" stało się mianem urzędowem. Gdzie pan kończył uniwersytet?

— Czyż profesor Kosowski nie pisał panu, że nie posiadam żadnych dyplomów?... — zaczął Mirecki nieco zająkliwie: chociaż mu pochlebiało trochę takie pytanie, jako uznanie jego jeśli nie inteligencyi jeszcze, to wyglądu nad lata poważnego, lecz krew uderzyła mu do głowy na myśl, że to nieporozumienie, że tu chciano kogoś z urzędowo wyższem wykształceniem.

— Ach tak, tak, pamiętam, przepraszam, tylko widzi pan — dorzucił, widząc pomieszanie Mireckiego — zacny profesor tak wiele

mówił o wyższem wykształceniu pańskiem, że, utożsamiając je, najniesłuszniej zresztą, z uniwersyteckiem, zapytałem... Ale niech mi pan wierzy (tu brzmiał odcień przygniatającej dyskretnie wspaniałomyślności), iż świadectwo profesora Kosowskiego więcej dla mnie znaczy, niż dyplom jakiegoś nieznanego uniwersytetu... Niedawno w któreḿś z pism angielskich wyczytałem, iż najwybitniejsi uczeni angielscy ostatniego pół-stulecia byli czy są samoukami. Kto się umie poznać na winie, drwi z etykiety na butelce. Pan się podobno poświęca szczególnie filozofii?

— Tak panie...

— *Tout passe, tout lasse, tout casse*, — rzekł Jesiołowski nie bez smętku, znów niesłychanie dyskretnego, — i to jest nowożytne *memento mori*. Jeżeli jednak jest pod słońcem coś godnego wysiłków, to niewątpliwie myślenie oderwane i służba krajowi...

— *Tout passe, tout lasse, tout casse* — powtórzył Mirecki, nagle obudzony z uczucia przymusu po raz pierwszy usłyszaną sentencyą. Jak to ładnie brzmi i jakie to trafne. To cała filozofia pesymistyczna w transpozycyi salonowej...

— A otóż i Julek — przerwał Jesiołowski, jakby nie słysząc uwagi Mireckiego, podczas gdy ten, oparłszy łokieć na stole, by wygodniej zasłonić dłonią oczy od jaskrawego światła lampy, aż przechylił się nieco, by się wpatrzyć w nieregularne rysy jego twarzy, która zdałaby się bardzo brzydką, gdyby nie była tak utrzymana: mocno siwiejący zarost zręcznie poprawiał wystające kości policzkowe, nos mniej raził nad wytwornie zaczesanymi wąsami; oczy patrzały bystro i mocno, nadając twarzy wyraz rozumny.

Do pokoju wszedł i, jakby umyślnie na Mireckiego nie spojrzawszy, zbliżył się do ojca chłopak mały i chudy o nerwowych ruchach. Za nim wkroczył „pan Francuz” i, ukłoniwszy się raz ode drzwi, zatrzymał się o parę kroków za swym pupilem, kłaniając się powtórnie Jesiołowskiemu, który, zaledwo kiwnąwszy głową, mówił tymczasem:

— Julku, oto twój nowy nauczyciel... *Bonjour, monsieur Savigny, prenez place! Voilà votre nouveau camarade.* Masz go słuchać i kochać — kończył, podczas gdy Francuz z nowymi ukłonami mówił: „*merci, monsieur le comte*” i „*charmé de faire votre connaissance, monsieur*”, a pupil z twarzy ojca przeniósł powoli na twarz przyszłego nauczyciela spojrzenie niby obojętne, a niby wyzywająco wzgardliwe: nie skłonił mu się nawet, tylko kiwnął głową.

„To gorzej, niż z bryczką” — pomyślał Mirecki, ale poczucie komizmu tej powagi, imponującej w malcu niewiele może więcej, niż

dziewięcioletnim, na tle nieuświadomionej nawet w tym momencie wiary w zdolność swoją porywania dusz dziecięcych wywołało wnet uśmiech na jego twarz, budząc zarazem pytanie: „kogo on naśladuje?”

„Rysy wytworne i subtelne, oczy wyraziste — mknęła myśl za myślą w głowie Mireckiego — więc ani idyota, ani pozbawiony uczuć moralnych, a wrażliwy: jakoś to będzie”.

Tymczasem Jesiołowski mówił:

— Poznajomi się pan z nim bliżéj potem... Mam nadzieję, że pan Mirecki będzie z ciebie zadowolony... *Et maintenant vous pouvez aller... Bonjour, monsieur Savigny...*

— Dobre to z kościami Francuzisko — ciągnął po ich wyjściu, ale bez cienia talentu pedagogicznego. Złego nie doradzi, ale na dobre nie naprowadzi. Więc właśnie chodziło nam o kogoś, na kim można byłoby polegać w zupełności, to też panu powierzam swego syna całkowicie.

— Ale panu pisał zapewne profesor Kosowski — przerwał żywo Mirecki — że ja żadną miarą guwernerstwa podjąćbym się nie mógł: umówiliśmy się też, że dwie godziny...

— Tak, tak, pisał — przerwał znów z odcieniem niedbałej niechęci Jesiołowski — ale pisał też, iż słyszał o pańskiej osobliwej zdolności... wpływu na dzieci, że tak powiem. Wreszcie ułożycie się panowie z panem Savigny, byleby tylko godzina angielskiego została ta sama, ponieważ ta najbardziej dogadza miss Clark, Angielce...

— Dobrze, proszę pana.

— Nie będę pana zatrzymywał dłużej—zakończył audyencyę Jesiołowski tonem niby łaskawej, niby zimnej uprzejmości.

Mirecki wyszedł, oszołomiony swobodą, pewnością siebie, a nawet wykształceniem Jesiołowskiego. „*Tout passe, tout lasse, tout casse*” — powtarzał sobie, idąc. — Jakby to było po polsku?

Przy wejściu do sieni doleciały go głosy: Julek sprzeczał się o coś bardzo impertynencko z Francuzem. Mirecki zatrzymał się: wtrącić się już teraz — znaczyłoby to narazić odrazu na szwank swoją powagę, przejść zaś mimo bez zwrócenia uwagi — byłoby fatalnym dla przyszłości precedensem...

A co wspaniały przedpokój! I głosy się oddaliły i ścichły, a Mirecki, przyglądając się herbom, broniom, tarczom i zbrojom starożytnym, snuł myśli...

Brzmiały mu w uszach niby życzliwe i szlachetne, a niby zimne i zdawkowe słowa Jesiołowskiego: „Dla rodziców nikt nie może

być milszym od tych, komu dziecko ma zawdzięczać wiedzę, dobre zasady i..."

Co miało być po tem „*i*"?

Profesor Kosowski „słyszał" o jego zdolnościach pedagogicznych: zapewne, ale od niego samego. I za co ten człowiek ma dlań tyle życzliwości? Gdyby to był powtórzył z cudzych słów, a tak teraz odpowiedzialność cięży na nim, Mireckim, potrójna...

I nauczyciel odetchnął głęboko, jakby się gotując do wielkiego wysiłku.

A z bryczką mogło być tak: może jeszcze z wieczora, za pogody, wydano rozkaz wysłania po niego koni, a furmani sami wybrali ekwipaż, kiedy zaś bryczka już poszła, przyszła depesza o gościu i...

W tym momencie rozmyślań doleciał go z ganku młody i dźwięczny, choć dyskretny śmiech kobiecy z akompaniamentem tupania drobnych, nóżek, i, zanim Mirecki zdążył zoryentować się, w której stronie jego pokój, ciężkie drzwi od wejścia się otworzyły i wpuściły jednocześnie: młodziutką, drobną i pełną wdzięku jasną blondynę i dziwnie dźwięcznym męskim głosem wymawiane wyrazy :

— Choć to niewątpliwie zgorszy księcia, którego miłość musiałaby mieć temperaturę tak stałą, że jej nie ujęłaby nic zima jakucka, aniby dodało lato egipskie, ale ci się przyznam, kuzynko, że na taką pogodę nawet ciebie mniej kocham.

— Poskarżę się o to twojej żonie, kuzynku — odrzekł głos osoby niewidnej jeszcze Mireckiemu, ale taki miękki i głęboki, że przeleciało mu przez myśl, że takiego duetu, niezależnie od treści słów, możnaby słuchać, jak muzyki.

— Nie czyń tego, kuzynko, bo gotowa do reszty stracić wiarę w mój dobry gust...

Mirecki miał czas zaledwo zanotować wyrazy „do reszty": na progu stanęła ciemna szatynka i wpółzwrócona ku gankowi, ukazując na tle otwartych drzwi sylwetkę kibici i profil, odpowiadała towarzyszowi, który, jak było słychać, wycierał nogi:

— Ulituję się więc nad tobą, kuzynku, a to tem bardziej, że niebo się przeciera, i słońce niebawem znów ogrzeje twoje serce i oświeci.

— Chodźcie już — zawołała blondynka — dość tego flirtu na przeciągu: papa może być w bibliotece.

Mirecki jednocześnie przypomniał sobie, że przez uchylone drzwi naprawo widział z gabinetu Jesiołowskiego szafę z książkami

i zadał sobie pytanie, czy po owem „oświeci” powinienby stać grzeczny punkt, czy też złośliwy wielokropek?

— Maniusiu, ja ci nie przeszkadzałem bałamucić księcia— już znacznie przyciszonym głosem ozwał się też, wchodząc, znany Mireckiemu jasnowłosy pan —więc mi nie przeszkadzaj też powiedzieć swojej imienniczce, że gdyby jej oczy, które są zawsze tylko dwoma czarnymi dyamentami, zechciały być choć na chwilę jednem słońcem, nawet śnieżna zawieja...

Urwał, dostrzegłszy obcego, który stał, wpatrzony we właścicielkę „czarnych dyamentów”. Mirecki uczuł, że wszystkie spojrzenia pobiegły ku niemu, jakby z pytaniem: „co tu robisz?” Skłonił się niezgrabnie całemu towarzystwu, za co otrzymał lekkie ruchy główek panieńskich i jakby trochę za grzeczny ukłon jasnowłosego pana, a jednocześnie doleciało go parę słów angielskich, w których rozróżnił imię swego ucznia. Spuściwszy głowę, ruszył ku sali bilardowej, zupełnie, jak obcy pies, co skurczony cofa się powolnie przed pewną siebie wesołą zgrają współplemieńców, kiedy ostatni z tego grona, niedostrzeżony jeszcze przez Mireckiego, a zwany księciem, zbliżył się do niego i, wyciągając rękę, przedstawił się:

— Płoniński.

Mirecki tak się zmieszał, że, zapomniawszy nawet wymówić swoje nazwisko, niezręcznie uścisnął podaną sobie rękę, kłaniając się jeszcze niezręczniej. Potem nagle, zgarbiwszy się, jakby się chciał w ziemię zapaść, pośpiesznie znowu się skłonił wszystkim i wyszedł— aż do łez pełny obrzydzenia dla samego siebie. Zaciskając zęby, przypominał sobie i wszystkie swoje niezgrabstwa, i brylantowy blask czarnych dyamentów, i nerwowość ledwo uchwytną w odpowiedziach tej panny, i śmiech zbiorowy, który go dogonił w ucieczce.

— Tak żyć niepodobna! — mówił sobie. — Byle błahostka pozbawia mnie równowagi i czyni śmiesznym i nędznym. Czyż ci ludzie nie wyglądają wobec mnie naprawdę na półbogów??

Przez kilka kwadransów, chodząc dużymi krokami po swoim pokoju, przeżywał on wciąż nanowo wszystkie wrażenia tej sceny z najdrobniejszymi szczegółami, uświadamiając sobie coraz nowe.

Książe Płoniński nie wtrącał się do flirtu: smutny czy poważny?... Blondynka o włos uprzejmiej się ukłoniła, niż szatynka... Tu wszyscy w domu drżeć muszą przed starym Jesiołowskim — prócz Julka... Te panny są pewno bardzo mało naiwne... Książę, zdaje się, chciał go przedstawić z kolei jasnowłosemu panu, ale, nie usłyszawszy nazwiska... Było coś namiętnego w owych żartobliwych

oświadczynach, i owo „do reszty” daje do myślenia: „jasnowłosopanowa” jest brzydka... Książę musi być bardzo dobry i poważny, a on się tak przed nim zagapił...

Wtem ozwał się dzwonek na kolacyę. Mireckiemu serce zabiło tak, jak tchórzliwemu żołnierzowi na larum, i szybko poszedł do sali jadalnej, do której na pierwsze piętro prowadziły schody z owej sieni.

W sali jadalnej nie było jeszcze nikogo prócz służby, dochodziły tylko z dalszych pokojów przytłumione zamkniętemi drzwiami głosy. Mirecki, myśląc, że wszyscy idą już może, zaczął się rozglądać po starych sztychach, zdobiących ściany, ale minuta zdała mu się tak długą, tak mu wstyd było przed służbą, że oto czekać musi tu, nie śmiejąc iść dalej, że nagle, pomacawszy po kieszeniach, jakby czegoś zapomniał, jeszcze szybciej wyszedł, niż wszedł. Sam nie wiedział dlaczego przejmowała go wielkim niepokojem myśl, że właśnie natychmiast po jego wyjściu całe towarzystwo weszło, pomimo to jednak przez jakąś dziecinną lojalność względem udania, że czegoś zapomniał, dotarł aż do swego pokoju, by w nim ani chwili nawet się nie zatrzymać: usłyszał drugi dzwonek i zrozumiał, że niepotrzebnie się śpieszył. W chwili, kiedy wrócił jednemi drzwiami, przez przeciwległe, naoścież otwarte, wchodziły pary: Jesiołowski prowadził wysoką i chudą, bladą i nieładną damę, książę — panią domu, jasnowłosy pan — pannę z czarnymi dymentami, a nazwana Maniusią blondynka szła z nizkim brunetem o pospolitych rysach. Zamykała pochód miss Clark.

— Nineczko — zwrócił się Jesiołowski do żony, do której przyskoczył jednym susem czekający już na sali Julek — pozwól sobie przedstawić pana Mireckiego — i wszyscy tu obecni państwo...

— Bardzo mi miło, i mam nadzieję, że pan będzie zadowolony z Julka— nie wysuwając ręki z pod ramienia swego towarzysza, trochę rozwlekłym głosem powiedziała hrabina, siadając.

Panny skinęły głowami, a książę wyciągnąwszy rękę, rzekł:

— My się już znamy.

— Tem lepiej, możemy więc siadać — rzekł Jesiołowski właśnie w chwili, kiedy Mirecki, jakby naprawiając zapomnienie poprzednie, ściskając dłoń Płonińskiego wymawiał: Mirecki Stefan.

Nizki brunet, posadziwszy swoją damę, podszedł też do Mireckiego, tylko jasnowłosy pan poprzestaał na ukłonie zdaleka.

Wszyscy usiedli, i Mirecki zobaczył jedno miejsce puste obok Julka, który po prawej ręce miał pana Savigny. Czuł się dziwnie

rozdraźnionym i obcym. Pierwszą rozmowę z Julkiem wolał odłożyć do spotkania się z nim sam na sam na gruncie urzędowym, podczas lekcyi. Słuchał więc opowiadań Jesiołowskiego o tem, jak go w Neapolu właściciel hotelu oszukał, rozmyślając jednocześnie z wysiłkiem nad tem, czy właściwie prawo dam niepodawania rąk mężczyznom rozciąga się na gospodynią domu, bo oto nie boli go wcale, że mu ta blada pani jej nie podała, czuje on jednak zachowanie się pani Jesiołowskiej, jako upokorzenie. Przedewszystkiem zaś gryzło go to, że bez potrzeby wymówił swoje nazwisko przed Płonińskim, a nawet imię. Gdybyż choć był powiedział: Stefan Mirecki, ale ten mimowolny nacisk na imieniu wyglądał na bezmyślną pretensyonalność; nikt tu może przedtem nazwiska tego nie słyszał, a ten oto jakby się domagał odróżnienia od wszystkich innych Mireckich.

Tymczasem rozmowa ogólna podróżowała po Europie żwawo i łatwo, każdy bowiem z tego grona mógł być pewnym, że, mówiąc o jakiejś miejscowości, będzie dokładnie zrozumiany, ponieważ wszyscy znają i wiedzą o niej wszystko to, co i on sam. Anegdotki mniej lub więcej zabawne sypały się, jak z rękawa, aż wreszcie rozmowa wpłynęła na wody Renu: Jesiołowski przytoczył przykład uczciwości wieśniaka tamtejszego.

— To im tak dobrze robi woda rzeki niemieckiej, uszlachetnionej w myśl poezyi Mussetowskiej—wtrącił jasnowłosy pan. Gdyby tak ich przenieść do nas, a naszych posłać tam na wody moralne, jeśli nie mineralne...

Tu nizki brunet opowiadał fakt niesumienności naszego chłopa, Jesiołowski wspomniał o jego lenistwie, pani Jesiołowska o brudzie, który widziała, odwiedzając kiedyś chorego. — W całej Słowiańszczyźnie wschodniej mniej więcej to samo — dorzucił książę. —Jeden z magnatów podolskich, chłopoman wielki, chcąc podnieść dobrobyt i estetyczność chat, nie tylko ogłosił, że będzie darmo wydawał szczepy z ogromnej na ten cel założonej szkółki, lecz sam, kogo mógł, zachęcał i namawiał. Wszystko było na nic: nikt nie dał się złapać na to, jak mniemano, podejście. Wtedy ów pan wziął się na sposób: rozgłosił, że więcej szczepów dawać ani sprzedawać nie będzie, i postawił stróża do pilnowania szkółki. W ciągu paru lat nie było chaty bez ogródka, stróż bowiem miał nakazane, żeby nie przeszkadzał kraść...

— Widzisz książę —odezwał się Jesiołowski—w tym wypadku grał rolę obok nieuczciwości i nieufności jeszcze przesąd niewinny że kradzione drzewko lepiej się przyjmie.

— Mój ojciec — rzekła blada pani — ogromną miał słabość do ludu ukraińskiego.

— Ojciec pani miał słuszność — sam nie wiedząc jak powiedział Mirecki.

Blada pani przeniosła swoje wyblakłe oczy z twarzy pięknej szatynki, synowicy Jesiołowskiego, ku końcowi stołu mniej więcej z takim wyrazem ledwo uchwytnym zdziwienia, jakby się tam stłukła szklanka lub nóż zgrzytnął po talerzu. Krew uderzyła do głowy Mireckiemu tak, że narazie nie widział, czy i jak patrzą na niego inni. Zdawało mu się, że trzeba się koniecznie wytłómaczyć, bo frazes ten, chociaż nie raziłby tu w niczyich innych ustach, budzi teraz we wszystkich myśl: „właśnie brakło przyświadczenia pana... jakże go tam...”

Zaczął więc szybko mówić, słuchając, jak mu się zdawało, myśli tej lub owej osoby z tego grona.

— Jestem Litwinem (to ogromnie ciekawe, że pan... jakże go tam?... nie jest Zulusem ani Hotentotem), ale mam na Ukrainie kuzyna dzierżawcę (pan... jakże go tam? Mirecki S t e f a n ma kuzyna dzierżawcę: *c'est trouvé!*), który od chwili uwolnienia włościan po całej Ukrainie chodzi dzierżawami (na Ukrainie — po Ukrainie! dzierżawca — dzierżawami!) Otóż ten kuzyn (co za styl!) opowiadał mi (co kogo może obchodzić ta konfidencya?), że w niektórych okolicach i wsiach pieniądze, dane na odrobek, są prawie zawsze stracone (czyżby o składkę na „kuzyna” chodziło?), kiedy w innych grosz nie przepadnie...

Oczy bladej pani, zwróconej prawie *en trois quarts* do Mireckiego, które cały czas patrzały bardziej na Julka, niż na niego, przeniosły się całkiem z szarego końca stołu na twarz jasnowłosego pana, potem na jego piękną sąsiadkę. Mireckiemu słowa zamarły w gardle i z rozpaczą spojrzał po wszystkich, żeby się uchwycić jakiegoś zwróconego ku sobie spojrzenia tak, jak tonący deski się chwyta. Jesiołowski patrzał nań nie bez pobłażliwości i oczywiście dla uratowania go rzekł sentencyonalnie:

— To się zdarza.

Mirecki czuł, że powinien był uważać to za wyczerpanie kwestyi, ale bezmyślna inercya logiki nie dała mu pozostawić swojej myśli niedokończoną, chociaż czuł, że nikomu o nią nie chodziło.

— Otóż (znów „otóż!”) starał się on zbadać przyczyny tego...

Jesiołowski zwrócił się do żony, która coś do niego powiedziała, potem spojrzał szybko na Mireckiego, jakby go przepraszając w ten sposób za nieuwagę, i zaczął odpowiadać żonie.

— ...starał się dowiedzieć... — jąkał się Mirecki do jedynych oczu, które nań jeszcze patrzały — księcia Płonińskiego... — starał się zbadać (znów „zbadać!") historyę tych wiosek... tych wsi... i przekonał się...

Tu prześlizgnął się po nim, jak mu się zdało, śmiejący się wzrok pięknej szatynki, rozmawiającej z jasnowłosym panem.

— ...że wioski... wsie (znów! znów!) nieuczciwe miały za panów rodziny nieszlachetne i niemoralne, wszędzie zaś, gdzie panowie byli tradycyjnie sprawiedliwi i nieokrutni...

Wzrok księcia mu uciekał: osunął się na stojący przed nim talerz, i Mireckiego nagle porwała jakaś złość nieprzytomna, więc szybko i podniesionym głosem dorzucił:

— Co się zaś tycze przesądów, o których mówił pan Jesiołowski, to słyszałem o księciu, który wierzył, że mu ukradziona moneta przynieść musi szczęście w grze...

— *Cher prince...* — odezwała się pani Jesiołowska — *mille pardons... Vous nous montrerez bien vos photographies de types espangnols...*

Wstała i przyjęła znów jego ramię.

Mirecki zerwał się machinalnie, niby podrzucony sprężyną, i stanął pochylony naprzód, z pięściami zaciśniętemi, jakby gotowy rzucić się na wrogów, których nie widział nawet za obłokiem swego gniewu. Pokój wirował mu w oczach. Sam nie wiedział, kiedy spostrzegł, że całe towarzystwo już wyszło, kiedy się znalazł w kurytarzu. Przestąpiwszy próg swego pokoju, oparł się plecami o drzwi, jakby udając przed samym sobą, że nie ma sił iść dalej...

Pierwszą myślą, która się dla świadomości jego mglisto wyłoniła z huczącego w głowie chaosu, było pytanie, czy owo „mille pardons" było dla „cher prince'a", czy dla niego.

Wciąż jeszcze prawie nieprzytomny poszedł do łóżka i padł twarzą do poduszki. Po godzinie zupełnej niby bezmyślności zauważył, że czuje wszystkie mięśnie pleców i piersi jakby po jakiemś wytężeniu nadmiernem. Było to niby hasłem dla innych myśli, które zaczęły napływać coraz gwałtowniejszą falą. Zerwał się i zaczął szybko chodzić po pokoju — aż do znużenia. Upadł na kanapkę, ale co chwila jeszcze znów się z niej zrywał do chodzenia. Położywszy się wreszcie do łóżka, chociaż nocy poprzedniej nie spał prawie wcale, długo nie mógł usnąć. Powoli myśli jego się uspakajały i przypomniał sobie wyraz przykrości i przymusu na twarzy księcia Płonińskiego podczas ostatnich swych do niego słów, i to, że Jesiołowski ani spojrzał w jego stronę w chwili, kiedy usłyszał z takim

naciskiem wymówiony przy swojem nazwisku wyraz „p a n” i potem swój gniew, w którym wszystko się zmieszało... I zaczął się zastanawiać, jakby umyślnie siebie hypnotyzując, nad błahością wszystkich domowych przykrości wobec kontroli i panowania nad swojemi wrażeniami, skoro te błahostki wprawiają go w szał, gotowy na wszelkie szaleństwo, i wreszcie nad pytaniem, czem się to dzieje, że chociaż ci ludzie tacy są wytworni, swobodni, dobrze wychowani — on w ich towarzystwie został jednak skopany. Po chwili zerwał się i zapalił świecę, żeby zapisać w notesie to pytanie w takiej postaci:

„Czy wychowanie w sferach wyższych, które jest głównie towarzyskiem, nie polega na traktowaniu formy, jako treści, dzięki czemu byle w formie wytwornej można być swobodnie brutalnym?...” Poczucie głębokości tego spostrzeżenia sprawiło mu zadowolenie, które dostrzegłszy w sobie, zaczął wnet z niepokojem analizować jego podstawy. Po chwili był już przekonany, że niechybnie tysiące ludzi wiedziało o tem przed nim, i, bojąc się, że w razie nagłej śmierci te słowa w notesie obudzą w kimś politowanie dla jego ograniczoności i zarozumiałości, — znów zapalił świecę, by znaleźć i spalić kartę kompromitującą.

Zaledwo zasnął wreszcie, przyszła zmora, co przywiązała go do uwierającej sękami deski, żeby wytworne towarzystwo jesiołowskie mogło się zeń bez przeszkody naśmiewać. Najwzgardliwiej i najbardziej złowrogo śmiała się piękna szatynka, której sylwetka na tle błękitnego nieba w ramach okna przykuwała do siebie jego oczy.

(*d. c. n.*) *Józefat Nowiński.*



# Wspólna własność ziemska

## W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ *).

### CZĘŚC IV.

**Teorye miru i rzeczywistość. — Formy podziałów. — Ewolucya tych form i czynniki ewolucyi.**

I.

Już siedemnaście lat temu prof. Czuprow twierdził [1]), że dzięki pracom statystycznym ziemstw „na polu zbadania i opisania różnych stron bytu narodowego i godnych uwagi zjawisk ekonomicznych" Rosya wyprzedziła wszystkie inne kraje europejskie. Od tego czasu badania statystyczne nad stosunkami rolnymi w Rosyi postępowały bez przerwy, i w pracach tych na fakty, dotyczące własności ziemskiej włościańskiej zwracano baczną uwagę.

Woroncow (W. W.), wydając w 1892 roku swą znaną pracę p. t. „Gmina włościańska", powoływał się na 450 tomów drukowanych materyałów, w których znajdowały się szczegółowe opisy 50,429 wsi

---

*) Ob. „Ateneum", styczeń—marzec, lipiec—sierpień, październik — grudzień, 1900 r.

[1]) Na posiedzeniu Towarzystwa Prawników w Moskwie — d. 20 października 1883 r.

w 48 powiatach — dotyczące 3,309,000 osad włościańskich i $19^{1}/_{2}$ milionów ludności.

Najnowsza praca o gminie rosyjskiej Kaczorowskiego [1]) opiera się na jeszcze bogatszym materyale statystycznym, dotyczącym 205 powiatów — położonych w 26 guberniach. Materyały te obejmują surowe dane statystyczne, dotyczące władania ziemią w 193 powiatach i 141 monografii o formach władania ziemią, opracowanych przez 68 autorów.

Poza tym materyałem statystyk ziemskich istnieje jeszcze cała biblioteka prac różnych komisyi rządowych — poczynając od prac komisyi t. zw. Wałujewskiej z 1872 r., a kończąc pracami komisyi gubernialnych w latach $189^{5}/_{6}$, w celu orzeczenia: czy i jakie reformy są pożądane w sferze prawodawstwa o włościanach. Władze najwyższe starały się o materyał faktyczny zawsze, ile razy żądano od nich nowego prawa, dotyczącego włościan, i —czy to chodziło o zniesienie instytucyi pośredników mirowych, czy o zaprowadzenie naczelników ziemskich, czy o reformę sądów włości, czy o ograniczenie działów rodzinnych lub podziałów gruntu w gminie — zbierały najstaranniej materyały, których część ogłoszoną została drukiem w całości, część zaś pozostała posłużyła za podstawę do prac, ogłoszonych drukiem, obejmujących rezultaty i ogólne wnioski, z materyałów tych wyprowadzone [2]).

Zdawałoby się zatem, że przy takim ogromie pracy, włożonej w zbadanie kwestyi: jakie są w rzeczywistości formy władania ziemią w Rosyi, kwestya ta powinna być już dziś w literaturze zbadaną i wyjaśnioną dostatecznie; tymczasem rzecz ma się zupełnie przeciwnie. Jak pytanie o powstaniu wspólnego władania ziemią, tak samo i pytanie, w jaki sposób w gminie rosyjskiej urzeczywistniają się prawa członka gminy do wspólnych gruntów, jest pytaniem, dotąd nie wyjaśnionem, w literaturze spornem, a przyczyna takiego stanu kwestyi tkwi po części w samych rozporządzeniach prawa z 1861 r., po części w naturze rzeczy, po części zaś i w sposobie, w jaki cała ta sprawa traktuje się w literaturze naukowej.

Obojętną dla nas na razie jest rzeczą, czy prawodawca 1861 r. wierzył w długowieczność miru, czy też sądził, że mir, jako jedno-

---

[1]) K. R. Kaczorowski: „Gmina Rosyjska", t. I, St. Ptbg, 1900.

[2]) M. Brzeski—w Rosyjskim przeglądzie ekonomicznym—artykuły: Wiejska gmina włościańska ($1897/_{8}$), Gmina i ekonomiczne położenie włościan (1898), Najnowsze dane o dziedzicznem posiadaniu ziemi włościan (1899), Prawo obyczajowe dziedziczenia u włościan (1899), Włościańskie podziały rodzinne (1900).

stka ekonomiczna, sam się wkrótce rozpadnie; obojętnem też jest, czy czuł do wspólnego władania ziemią sympatyę czy antypatyę; jest jednak prawdopodobnem, że wierzył w jego starożytność — i był jak najmocniej przekonany, że peryodyczne podziały gruntów są głęboko zakorzenionym narodowym obyczajem. Stąd wynikło, że, zamiast określić bliżej w prawie, w jaki sposób gmina ma grunty wspólne między swych członków dzielić? kto ma prawo do tego udziału? i jaką ma być zasada podziału? prawodawca pozostawił rozstrzygnięcie tych kwestyi „obyczajom miejscowym". Paragraf 113 „Przepisów miejscowych dla gubernii Wielko-, Nowo-, i Białoruskich" powiada: „Pola gminne (rola, łąki kośne i inne grunty użytkowe) pozostają w gminnem użytkowaniu tych włościan, którym były oddane" — a w uwadze dodano: „użytkowaniem gminnem nazywa się to użytkowanie, oparte na obyczaju, przy którem grunty na podstawie postanowień zebrania gminnego dzielą się i rozdzielają nanowo między włościanami na ilość dusz, osad lub w inny sposób, a powinności, ciążące na ziemi, wypełniają się pod solidarną odpowiedzialnością wszystkich członków gminy, użytkujących z gruntu[1]). O tem, co się uważa za obyczaj miejscowy, decyduje w ostatniej instancyi zebranie gminne, złożone ze wszystkich gospodarzy gminy. Stąd wynikło, że de facto prawo do udziału w ziemi i sposób podziału, a przez długie lata (do wydania prawa z 1893 r.) i terminy podziału, zależały bezwzględnie od każdorazowego postanowienia gminy. Prawo obyczajowe zmieniało się z roku na rok i od wsi do wsi.

„Trudno jest", mówi Kaczorowski, „znaleźć formę społeczną „bardziej płynną, chronicznie zmienną i przechodzącą z jednego sta„nu równowagi niestałej w drugi takiż sam stan — od jednej kom„binacyi zasad indywidualnych i gminnych do drugiej ich kombina„cyi — jak ziemska gmina włościańska w Rosyi; mamy tu (mówi on „dalej) wszystkie odmiany wszystkich systemów podziałów ziemi, „jakie tylko są logicznie możliwe"[2]). Wskutek tego statystyczny materyał, prawdziwy lat temu 10, dziś może nie być ścisłym — gminy, dzielące się dwa lata temu na „dusze rewizyjne", mogą się dziś dzielić ziemią na „dusze obecne" lub „wedle zamożności."

Przytem zauważyć musimy, że 205 powiatów to jeszcze nie całe państwo — i nawet nie cały rajon, zaludniony przez element

---

1) Patrz: Część I, „Ateneum" r. 1900, t. I, str. 80 i 81.
2) Kaczorowski l. c. t. I, str. 61 i 258.

wielkorosyjski. Materyały statystyk ziemskich nie obejmują całości kwestyi i, co do danych o istniejących sposobach podziałów, starzeją się szybciej, niż jakikolwiek inny materyał statystyczny. Materyał, ostatecznie decydujący — o ileby był z prawdą zgodnym — mógłby być zebranym tylko drogą szeregu jednodniowych spisów sposobów wykonania ostatnich podziałów gruntów w gminach na przestrzeni całego państwa. Bez takich danych wnioski ostateczne będą zawsze miały charakter prawd częściowych i czasowych — ważnych dla pewnego powiatu w pewnej niedługiej epoce czasu — i takie też znaczenie możnaby nadać wnioskom, jakie dotąd na materyałach tych oparto, gdyby nie jeszcze jedna okoliczność, która zmusza do zakwestyonowania nawet samej podstawy, na której te wnioski są oparte. Okolicznością tą jest fakt, że cała ta statystyczna robota nosi na sobie ślady subjektywnych tendencyi, zamiaru obrony lub potępienia „miru", pracuje z wyraźnym celem dowiedzenia możliwości urzeczywistnienia się pewnych ideałów socyalnych i rzadko kiedy zdobywa się na objektywne zaregestrowanie lub zsumowanie danych.

Cytowany przez nas niejednokrotnie w drugiej części tej pracy Kojałowicz twierdził, że historya bez subjektywnych poglądów obejść się nie może — że wychwalany „objektywizm naukowy niemiecki" jest tylko pokrywką najskrajniejszego germańskiego subjektywizmu [1]). Subjektywizmu, zdaniem jego, nie należy się wstydzić i nie należy go też ukrywać.

To przekonanie Kojałowicza co do roli subjektywizmu w historyi, którego ślady mogliśmy zauważyć w literaturze, dotyczącej historyi miru, przedostało się i do „historyi zatrzymanej w biegu", do prac statystycznych nad „mirem". Do prac tych, a jeszcze więcej do prac, grupujących dane statystyczne w pewien systematyczny obraz, dążący do zsumowania faktów — wykazania „rezultatów" — wprowadzono tyle osobistych poglądów, tyle specyalnych punktów widzenia i z góry powziętych teoryi, że wszystko to, co w tėj mierze napisano i zebrano, musi być z wielką ostrożnością powtórzone.

Po pełnych idyllicznego uniesienia teoryach ludowców o „mirze", po epoce wiary, nadziei i miłości do chłopa (mużyka), zjawił się w najnowszej literaturze prąd przeciwny, niemniej od tamtego stronny,—gniewu i irytacyi (ozłoblenia) na tegoż chłopa [2]). „Tylko

---

[1]) Kojałowicz: „Historya świadomości rosyjskiej". Wstęp, str. XLII.
[2]) Kaczorowski: Gmina Rosyjska, str. 44 i nast.

nie poświęcaj swego czasu tej bladze (maniłowszczyna)" — mówi do bohaterki najnowszej powieści Boborykina jej przyjaciółka — „nie zajmuj się balsamowaniem tej mumii — *„rassijskiej gminy."* Niech gnije sobie i rozkłada się — a im prędzej, tem lepiej" [1]). Bohaterka należy jeszcze do „ludowców" — przyjaciółka bohaterki jest zwolenniczką teoryi Struvego. Gmina rozpaść się musi, bo teorya ewolucyi kapitalistycznej tego wymaga. A fakty i dane statystyczne?

Fakty i dane, dotyczące obecnie praktykowanych sposobów podziału gruntów gminnych są trudne do uchwycenia — jeszcze trudniejsze do systematycznego uklasyfikowania — wnioski zaś, jakie się z nich wyciągnąć dadzą, niepewne. Dość porównać to, co piszą, opierając się na jednych i tych samych źródłach: Struve, Simchowicz, Kaczorowski i Woroncow (W. W.), aby się przekonać, że żadnych ostatecznych wniosków na nich opierać nie można.

Jeden z najsumienniejszych badaczów stosunków ekonomicznych w Rosyi, A. A. Rusow, w opisie gub. Czernihowskiej, mówiąc o własności ziemskiej włościan w tej gubernii, powiada wprost: „jakie formy gminnego czyli gromadzkiego władania ziemią wyrobiły się śród włościan gub. Czernihowskiej po otrzymaniu przez nich aktów własności i aktów nadawczych (t. j. po reformie 1861 r.), o tem mówić trudno bez badań specyalnych, których w tej materyi nie przeprowadziły ani urzędy ziemstw, ani istniejące specyalne urzędy do spraw włościańskich". W opisie więc gubernii Rusow kwestyę tę pominął zupełnie. Strata to tem większa, że badania nad formami własności ziemskiej włościańskiej w gub. Czernihowskiej mogły być bardzo pouczające. W gubernii tej mieszają się ze sobą żywioły wielkorosyjskie z małorosyjskimi, własność gminna z własnością dziedziczną; 1,400,000 dziesięcin ziemi gminnej leży obok 1,000,000 dziesięcin ziemi kozackiej, posiadanej na prawie dziedzicznem. Zbadanie równoległe form władania ziemią i stanu kultury rolnej na tych przestrzeniach byłoby przyczyniło się do wyjaśnienia względnej wartości ekonomicznej obu tych form własności ziemi.

## II.

Typowych, zasadniczych form podziału ogólnego gruntami w gminie rosyjskiej jest 5; a mianowicie:

---

[1]) Boborykin: „Jednej rasy" (Odnoj porody), „Goniec Europy" r. 1900, luty, str. 522.

*a)* na tiagła (dwory — rodziny),
*b)* na dusze rewizyjne,
*c)* na dusze męskie żyjące (obecne),
*d)* na dusze żyjące bez różnicy płci,
*e)* wedle zamożności.

Podział na tiagła (osady — dwory — rodziny) praktykowany był do 1861 r. w dobrach prywatnych. W umysłach włościańskich pojęcie tiagła było tak silnie związane z pojęciem poddaństwa, podział na tiagła był dla nich tak wstrętny, że zaraz po reformie formę tę podziałów porzucono, przechodząc do podziału na dusze rewizyjne. W niewielu tylko miejscowościach utrzymał się on do dziś dnia — przeważnie tam, gdzie gruntów jest tak mało, albo ziemia tak licha, że zmiana w ilości posiadanego gruntu ma mały bardzo wpływ na dobrobyt włościanina. Każda osada, rodzina dostaje przy tej formie podziału równą ilość gruntu, bez względu na ilość dusz męskich i żeńskich, składających rodzinę. Ilość jednostek, uczestniczących w podziale, zwiększa się tylko przy zakładaniu nowej rodziny—osady — przy podziałach rodzinnych.

Przy zasadzie „duszy rewizyjnej" każda rodzina dostaje tyle działów równych gruntu, ile „dusz rewizyjnych", t. j. dorosłych robotników męskich było w niej zapisanych przy ostatniej rewizyi w 1858 r. Zasada „duszy rewizyjnej" była, że tak powiemy, „uświęcona" samymi aktami nadawczymi, w których ilość oddanych gminie gruntów była normowaną ilością dusz rewizyjnych; była ona jednocześnie zgodna na ogół z ilością żyjących obecnych męskich dorosłych robotników; odpowiadała więc sile ekonomicznej osad i dlatego w pierwszych latach po reformie była prawie ogólnie (na całej przestrzeni, na której obowiązywały przepisy miejscowe Wielko-, Nowo- i Białorosyjskie) w użyciu. Jasną jest rzeczą, że utrzymanie tej zasady na stałe prowadzi za sobą stanowcze określenia raz na zawsze ilości gruntów, posiadanej przez pewną rodzinę — ze zmianami tylko co do miejsca, w którem grunt jest jej wydzielony przez losowanie; prowadzi do posiadania quasi-dziedzicznego, quasi-wspólnego [1]), którego typ spotkaliśmy w XVI, XVII i XVIII w. w Rosyi północnej i południowej pod nazwą „siabry." Z biegiem czasu pomiędzy ilością rzeczywistych żyjących robotników męskich w rodzinie a ilością dusz rewizyjnych powstają coraz większe różnice — ilość gruntów, przypadająca z podziału na osady, często nie odpo-

---

1) Simchowitsch, l. c. str. 112.

wiada jej sile ekonomicznej — a tem samem często (jeśli powinności i podatki, leżące na gruncie, są równe dochodowi z ziemi albo większe od nich) jest dla niej ciężarem, a nie prawem. Jako forma własności wspólnej w r. 1900, podział na dusze rewizyjne 1858 r. jest anomalią, powstałą na gruncie przekonania włościan, że rewizye peryodyczne powtarzać się będą, jak poprzednio, co lat 15—18, przekonania, usprawiedliwionego tem, że podatek poduszny trwał do roku 1886, a sfery prawodawcze w 1861 r., chociaż przewidywały zniesienie tego podatku, nie przewidziały jednak, że rewizya 1858 r. będzie już ostatnią.

Poszanowanie dla duszy rewizyjnej śród włościan jest tak wielkie, że potomkowie dusz rewizyjnych po 20 latach nieobecności w gminie przy pomocy miru lub z polecenia władzy odbierają grunt tym, którzy na nim 20 lat pracowali i ciężary z niego ponosili. W gminach, w których ciężary, t. j. podatki z ziemi przewyższają dochód z ziemi, przy podziałach częściowych (t. zw. zwałce — nawałce) „dusze młode", „nierewizyjni" nie chcą brać ziemi, opierając się na tym fakcie, że oni nie są „rewizyjni" i nie mają obowiązku brać ziemi i płacić podatków, bo ziemię „cesarz darował rewizyjnym". Często też w gminach, w których de jure grunty dzielą się na „dusze rewizyjne", de facto grunty te uważają się za własność osobistą, którą można darować, sprzedać lub zapisać testamentem; czasami warunkiem takiego prawa jest 25-letnie posiadanie i ponoszenie z ziemi ciężarów. W wielu razach włościanin sądzi, że podział na dusze rewizyjne, jako ustanowiony ukazem, ukazem też może być zniesiony, a nawet będzie zniesiony przy nowej rewizyi, na którą dotąd niektórzy czekają. Dlatego też Kaczorowski sądzi, że w gminach tych przeważają pojęcia anti-repartycyjne, ale nie anti-gminne; i pojęcia te zmienić się mogą, bo nie są w zasadniczej sprzeczności z ideą miru.

Zasada duszy rewizyjnej mało gdzie stosowaną jest w zupełnej czystości; w wielu gminach dla ulżenia ciężarów podatkowych ogółowi na miejsce zbiegłych i zmarłych dusz rewizyjnych przyjmowano nowe albo dodawano gruntu rodzinom liczniejszym i zamożniejszym; w wielu gminach wielkość udziałów od 1861 r. żadnej lub małej uległa zmianie, ale wskutek losowań żaden gospodarz nie uprawia tego kawałka gruntu, który mu oddano przy reformie. Gdzie ziemia nie przynosiła strat dużych, lub gdzie środków do życia dostarczały członkom gminy zarobki nierolne, tam dusza rewizyjna jest dotąd zasadą podziału. Woroncow uważa tę formę podziału za najmniej interesującą, bo przy niej gmina musi albo przejść do innej zasady, albo przestać istnieć (t. j. przejść do własności dzie-

dzicznej ziemi); sam jednak dostarcza dowodów na to, że ze wszystkich typów podziałów ziemią — jak to zobaczymy niżej — ten typ jest najsilniej rozpowszechniony [1]). W gruncie rzeczy jest to typ, pod którym ukrywa się posiadanie i prawie dziedziczne, i prawie komunistyczne, przy którym częściowo—do pól, opuszczonych przez zbiegłych i odebranych za niepłacenie podatków — stosowane są zwykle inne zasady podziału, jak „dusza rewizyjna". „Królestwem duszy rewizyjnej" dla Kaczorowskiego są gminy b. włościan prywatnych, w których idea gminna istnieje w letargu — a może zwolna zamiera [2]). Królestwo to miejscami objęło całe powiaty.

Zasada podziału na dusze męskie rzeczywiste, żyjące lub obecne (nalicznyja) ma zdaniem wielu autorów rosyjskich być realizacyą „p r a w a c z ł o w i e k a d o p r a c y". Przy tej zasadzie każdy robotnik męski w gminie ma prawo dostać od gminy równą część gruntów, i na każdy dwór, rodzinę przypada tyle tych części, ilu robotników męskich ona liczy. W urzeczywistnieniu tej zasady zachodzą różnice, wynikające z różnego pojmowania rzeczywistego żyjącego robotnika i określenia jego wieku. Mimo wszystkich przepisów prawa, tamujących wypisanie się z gminy i wydawanie paszportów, nie wszyscy członkowie gminy żyjący są w niej obecni; wielu przepada bez wieści na cały szereg lat, a prawo nie wskazało terminu przedawnienia praw gminnych — nie określiło, po ilu latach nieobecności członek gminy traci prawo żądania udziału w gruntach gminnych. Dzieci i wnuki prawe członka gminy mają zawsze prawo żądać zapisania ich do gminy i wydzielenia im gruntu. Oznaczenie wieku, od którego robotnik męski ma prawo żądać gruntu, zależy też od postanowienia zebrania gminnego; ono też może postanowić i często stanowi, że obok udziału pełnego, dawanego dorosłym, wydzielane będą udziały mniejsze dla dorastających, rosnące w miarę ich wieku. Bardzo często typ ten podziału ma zastosowanie w gminie tylko co do tych gruntów, które przez wymarcie lub ustąpienie z gminy „dusz rewizyjnych" stały się „bezdziedzicznymi," „upadłymi" i „swobodnymi". Tylko te swobodne grunty dzielą się między „nierewizyjnych" członków gminy i podział gruntów w gminie opiera się częściowo na zasadzie „duszy rewizyjnej" — a częściowo na zasadzie „duszy obecnej". W typie więc podziałów na dusze obecne mamy cały szereg form różnych, tak rozmaitych, że prawie co wieś — to zasada.

---

1) Rezultaty, t. I, str. 226.

2) Kaczorowski, l. c. str. 399.

Podział gruntów na dusze rzeczywiste — bez różnicy płci — pospolicie zwany podziałem na „gęby" — na jedzących („po jedokam") — jest zdaniem specyalistów wyrazem „p r a w a c z ł o w i e k a d o ż y c i a." Kobiety dostają w nim udział w gruntach — zwykle mniejszy od robotnika męskiego — często zastosowany do ich wieku. Zarodkiem takiego podziału jest wydzielanie wdowom i sierotom — dziewczętom, nie mającym w rodzinie żadnego robotnika męskiego, gruntu „na wyżywienie." Są miejscowości, w których dzięki „babskim buntom" zasada ta zastosowaną została do wszystkich kobiet w gminie tak, że przy oznaczeniu ilości gruntu, oddawanego każdej rodzinie, uwzględnia się ilość męskiej i żeńskiej ludności, sumę p o t r z e b r o d z i n y.

Wspólna własność gminna jest ściśle związana prawem z odpowiedzialnością solidarną członków gminy za podatki, powinności i sumy wykupowe. Tylko na tym gruncie zrozumieć można następną formę podziałów, w której podstawą jest nie prawo do pracy, nie prawo do życia, ale obowiązek płacenia podatków „wedle zamożności." Tam, gdzie suma ciężarów, leżących na gruncie, stale przewyższa dochód z ziemi, gdzie podatkowa niewypłacalność pojedyńczych gospodarzy jest objawem chronicznym, grożącym ruiną wsi całej, tam powstać musi podział, w którym repartycya podatków jest rzeczą główną, do której już przystosowywuje się podział gruntów proporcyonalny do rozłożenia podatków, jako rzecz drugorzędna. Taką właśnie jest zasada podziału „wedle zamożności." Gmina przedewszystkiem zajmuje się repartycyą całości ciężarów, podatków i wykupu na pojedyńcze osady — rodziny i, uwzględniając przy tem całość ich stosunków majątkowych, dzieli je „po żiwotam i promysłam", jak w XVII i XVIII wieku. Wykonanie takiego podziału wymaga targu z każdym prawie z osobna gospodarzem i najczęściej jego dobrowolnej zgody na proponowany mu udział w gruntach i ciężarach; dlatego też ta forma podziałów nosi często nazwę podziału wedle umowy — podług zgody — sumienia — albo z miłości („po sostojaniju, po sogłasiju, sowiesti, lubwi"). Podstawą jej jest i ilość robotnika męskiego w rodzinie, i ilość inwentarza, i poboczne zarobki w rodzinie, i posiadany poza gminą majątek. W braku zgody gmina posiada dość środków do złamania uporu członków przy wyznaczaniu powinności osobistych, zezwoleniu na podziały rodzinne, wydawaniu paszportów, wyznaczeniu gruntów w najgorszych i najdalszych miejscach i t. p. Bardzo często zasada ta stosuje się dodatkowo, częściowo w gminie, w której podział ogólny oparty jest na zasadzie duszy rewizyjnej lub duszy męskiej

obecnej, do gruntów swobodnych, gdy ich nikt nie chce brać z obowiązkiem płacenia przypadających na te grunty ciężarów. O tej zasadzie podziału powiedzieć można, że jest bardzo często brakiem wszelkiej zasady, że przy jej zastosowaniu ilość oddanego gruntu i ilość nałożonych podatków zależy od usposobienia zebrania gminnego dla danego gospodarza i jest środkiem ucisku i zemsty osobistej.

Ścisłe oznaczenie, w jakim stosunku ilościowym do siebie zostają wyżej wymienione formy podziału w całem państwie, jest rzeczą niemożliwą. Przy rozwiązaniu tego pytania opuszcza nas najsumienniejszy i najpełniejszy materyał,—praca Kaczorowskiego, który obiecuje w tomach następnych zrobić odpowiednie zestawienie, i zmuszeni jesteśmy grupować cyfry na podstawie danych, zawartych u Woroncowa [1]), bardzo ułamkowych i bardzo co do samej klasyfikacyi różnorodnych. Podług niego dzielą się na

| | tiagła | dusze rewizyjne | dusze męskie obecne | głowy ludności bez różnicy płci | wedle zamożności | w inny sposób (mieszany) |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | | | g m | i n | | |
| w gub. Chersońskiej . . . . . | — | 1602 | 42 | 1 | 12 | 7 |
| „ „ Taurydzkej (bez Krymu) . | — | 131 | 99 | — | — | 33 |
| Pt. Bachmucki (gub. Ekaterinosławska) | — | 194 | 8 | — | 13 | 13 |
| „ Słowianoserbski (gub. Ekaterinosławska) | — | 66 | — | — | 10 | 60 |
| „ Chwałyński (gub. Saratowska) | — | 117 | 74 | — | — | — |
| „ Jelecki (gub. Orłowska). . . | 15 | 339 | 122 | 4 | 37 | — |
| „ Trubczewski „ „ . . | 1 | 188 | 46 | — | 29 | — |
| „ Michajłowski (gub. Riazańska) | — | 224 | 160 | — | — | — |
| „ Jegorjewski „ „ | 5 | 371 | 218 | — | — | — |
| Gubernia Kazańska . . . . . . . | 32 | 845 | 1058 | — | — | — |
| Pt. Kolaziński (gub. Twerska) . . | 4 | 190 | 256 | 2 | 87 | 134 |

O ile więc z tych danych wnioski wyciągać wolno, najszerzej praktykowany jest podział na dusze rewizyjne (4,267 wypadków), potem z kolei podział na robotników męskich obecnych lub żyjących (2,083), różne systemy nieokreślone, mieszane (247), wedle zamożności (188), dalej na dwory (tiagła — 57), w końcu na głowy bez różnicy płci (7 wypadków). Woroncow przytacza jeszcze bez ści-

[1]) l. c. str. 260—296.

słych zestawień kilkadziesiąt powiatów [1]) i stosownie do opinii statystyków powiatowych opowiada o zasadach, według jakich dzielą się włościanie gruntami. Z opisów tych wnosić należy, że z małymi wyjątkami wszędzie przeważa podział na dusze rewizyjne, z częściowem zastosowaniem dusz obecnych lub zasady zamożności co do gruntów opuszczonych, tak, że już z zupełną pewnością twierdzić można, że w epoce zbierania tych danych (lata 1880—1890) na całej przestrzeni państwa, objętej badaniem statystyk ziemskich, podział na dusze rewizyjne był zasadą najbardziej rozpowszechnioną.

## III.

Oprócz podziałów ogólnych, przy których przestrzeń gruntu, wydzielonego rodzinie, zmienia się czy to wskutek przyjęcia przez gminę nowej zasady podziału, czy też wskutek tego, że w rodzinie ilość dusz, na które dzielono grunt, lub zamożność rodzin, do której podział stosowano, uległy zmianie, praktyka gmin wielkorosyjskich zna jeszcze podziały częściowe i losowanie. Przy podziałach częściowych zmienia się wielkość gruntu, wydzielonego niektórym członkom gminy, najczęściej wskutek opuszczenia gruntu przez niektórych gospodarzy albo wskutek ich ruiny i finansowej niewypłacalności; jest to „narzucanie i zrzucanie" (swałka — nawałka) gruntu w gminach, przeciążonych finansowo, i często początek przejścia do podziału ogólnego według innej zasady. Przy t. zw. losowaniu (żerebjewka) ilość gruntu oddanego na użytkowanie pojedyńczym rodzinom, zmianie nie ulega, zmieniają się tylko miejsca, na których im ziemię wydzielono. Taka zmiana ma na celu wyrównanie szans różnego urodzaju, wynikających z powodu takich różnic w urodzajności gruntu, których nawet bardzo dużym drobieniem pól i wydzielaniem każdej rodzinie części gruntu w każdem polu usunąć się nie da. W tych wypadkach ścisłe wyrównanie tylko właśnie częstemi zmianami wydzielanych gruntów może być osiągniętem.

Nie ulega wątpliwości, że podziały gruntu zaczęto przeprowa-

---

[1]) Powiaty: Rostowski (ziemia wojska dońskiego), Saratowski, Caricyński (gub. Saratowska), wszystkie 7 powiatów gub. Samarskiej, pow. Bogoduchowski (gub. Charkowska), pow. Suraski (gub. Czernihowska), pow. Woroneski, pow. Ostrogski (gub. Woroneska), gub. Kurska, pow. Mceński (gub. Orłowska), pow. Dankowski i Ranenburgski (gub. Riazańskiej), gub. Tambowska.

dzać dopiero po roku 1875 wskutek przyczyn, o których wspomnieliśmy wyżej, i że w tym ruchu gminy byłych włościan skarbowych dawały zwykle początek. Gminy byłych poddanych prywatnych szły za ich przykładem. Z zestawień Woroncowa wynika także, że ilość i częstość podziałów wzrasta w gminach, finansowo przeciążonych, a zmniejsza się tam, gdzie ziemia czysty dochód daje. Biorąc wszystkie gminy powiatów Riazańskiego, Saratowskiego i Carycyńskiego i dzieląc je na takie, w których ziemia I-o daje dochód, II-o nie daje dochodu, ale jest jeszcze przez włościanina poszukiwaną, i III-o takie nakoniec, w których ziemia daje straty, bo dochód z niej jest stanowczo niższym od ciężarów,—obliczył on, że podziałów ogólnych dokonano w powiatach

| | Riazańskim | Smoleńskim | Caricyńskim |
|---|---|---|---|
| w gminach, gdzie ziemia daje dochód | 7.5% | 48,6% | 50% |
| nie daje dochodu | 18, | 84, | 92,3 |
| daje straty | 86, | 93, | 83,3 |

ogólnej ilości gmin każdej kategoryi. Ścisłość tych danych i ich doniosłość zależy jednak przedewszystkiem od ścisłości podziału na wzmiankowane wyżej kategorye, które ścisłemi być nie mogą i które z biegiem czasu wskutek obniżenia ciężarów i zwiększenia się dochodu z ziemi są w ciągłej zmianie.

Niemniej trudnem jest określenie czasu, na jaki podziału dokonano. Jest to tem trudniejsze, że gminy postanowienia swoje często zmieniają, i termin nowego podziału, wyznaczony w postanowieniu gminy, w praktyce bywa zapomniany. Są wypadki, że gmina, przeprowadzając nowy podział, zapisuje w protokule, że robi go „na zawsze", „na wieczne czasy", i w kilka lat potem, do nowego podziału przystępuje; są też wypadki przeciwne, że w terminie, wyznaczonym na nowy podział, podział ten nie następuje, bo w zgromadzeniu gminnem nie można zebrać przepisanej przez prawo większości $^2/_3$ głosów. Zdaje się, że najczęstszymi dla podziałów ogólnych są terminy 6, 9, 10 i 12-letnie. Simkowicz z danych szczegółowych, odnoszących się do 23 powiatów, ułożył tablicę, w której na 1601 podziałów dokonanych przypada na podziały 6-letnie 375 — 10-letnie 354 — 12-letnie 354. Trzyletnie stanowią 97 — dziewięcioletnie — 91 wypadków. Bezterminowe 97. Średnie okresy trwania podziału różnią się też wielce między sobą. Wynoszą one w powiecie Cywilskim (gub. Kazańskiej) od 6-ciu do 11, średnio koło 8 lat; w pow. Tietiuszskim (tejże gubernii) od 3,8 do 7 lat, średnio około 5,5. W różnych guberniach wahają się od 3 — 6 i 9, —od 6 — 15.

Podziały coroczne i podziały, trwające dłużej, niż lat 12, należą do rzadkich, z wyjątkiem gmin, które wogóle podziałów zaniechały. Są gminy, w których część pól dzieli się co roku, a druga część mniejsza—raz na lat 20. W powiecie Riazańskim, w którym ciężary podatkowe znacznie dochód przewyższały, podziały na 1 do 3 lat przeważają, z wyjątkiem gmin, nawożących ziemię, gdzie znów przeważają podziały 10-cio letnie. W gub. Tulskiej prawie całkiem niema podziałów. W powiecie Orłowskim zwyczajnie dzielą się gminy polami co roku; w powiecie Bołochowskim dzielono się dawniej co roku, dwa lub trzy lata, w ostatnich czasach podziałów zaprzestano i podzielono ziemię ostatecznie między dwory. W gubernii Ekaterinosławskiej w 2-ch powiatach (Bachmuckim i Słowianoserbskim) gminy dzielą się gruntami zwykle co 1– 3 lat, w 2 innych (Rostowskim i Taganrogskim) co lat 3 do 15, w pozostałych 4-ch (Pawłogrodzkim, Aleksandrowskim, Nowomoskowskim i Mariupolskim) podziały zdarzają się tylko wyjątkowo. Statystyczne dane co do podziałów w gubernii Moskiewskiej zbierał jeden z najlepszych statystyków ziemskich, W. I. Orłow. Obliczył on, że z około 5,500 gmin tej gubernii od 1858 do 1878 dokonało podziałów 4,449 gmin, a dzieliło się 9,427 razy, zatem przecięciowo 2 razy, t. j. co każde 10 lat. Co warta taka przecięciowa? tem więcej, gdy wiemy, że Orłow pomieszał podziały ogólne z podziałami częściowymi? Trzecia część gmin podzieliła grunty między 1858 a 1862, t. j. zaraz po X rewizyi lub po uwłaszczeniu i od tej pory gruntów nie dzieliła; około 43% gmin dzieliło się dwa razy, a 20,5% gmin więcej niż dwa razy. Podziały były najczęstsze w powiatach najbiedniejszych [1]).

Nakoniec musimy zrobić jeszcze jedną uwagę: bardzo często mówi się, że gmina dzieli się ziemią co roku, ale tylko ugorem, co przy przeważającem gospodarstwie trójpolowem równa się podziałowi ogólnemu 3-letniemu.

Co do samej techniki podziału, to w szczegóły bawić się nie możemy. Zwykle gminy, złożone z kilku wsi (czasem kilkunastu), dzielą najprzód grunty na wsie. Dalej wsie wielkie dzielą członków gminy na grupy mniej więcej równe sobie pod względem ilości jednostek podziału (dusz, tiagł, osad) i ziemię między te grupy rozdzielają, a dalszy podział—między jednostki w grupie—dokonywają sami członkowie grupy. Przy podziale wielką trudność stanowi konieczność wydzielenia każdej wsi, grupie i jednostce jednakowej ilości

[1]) Simkhowitsch l. c. str. 127 — 132.

jednakowej dobroci ziemi w jednakowej od osady odległości. Trudność tę najczęściej usuwa się podziałem „in natura" każdej jednostki (każdego pola) między wszystkie jednostki, do podziału wchodzące, co prowadzi za sobą parcelacyę i szachownice, nie mniej zawikłane, jak przy czysto osobistej własności. Różnica między obydwoma systemami polega głównie na tem, że szachownice i parcele gminne co pewien okres lat (tam. gdzie podziały wykonywają się de facto) są coraz to innej wielkości i coraz to w innem miejscu. Rzadko gdzie podział dokonywa się całemi dziesięcinami, w każdem polu, a jeszcze rzadziej na podstawie oszacowania dobroci gruntu, ustanawianego dobrowolnie między gminą a członkiem jej lub grupą członków, biorącą grunt w użytkowanie, przyczem następuje rodzaj licytacyi in plus — duszami: za ile dusz dana grupa lub rodzina weźmie daną cząstkę gruntu. Drobne nierówności w gatunku gruntu gmina wyrównywa często dodatkiem klinów w innem miejscu, zmniejszeniem ciężarów lub dogodnościami drobnemi w używalności łąk, lasu, pastwiska etc.

Co się tycze podziału ziemi, nie będącej polem ornem, to podział łąk kośnych dokonywa się zwykle razem z podziałem pól i na tych samych zasadach, stosownie do ilości, dobroci i odległości łąki od osady. Nie dające się podzielić kliny i resztki gmina wydzierżawia za pieniądze lub wódkę. W niektórych wsiach zachował się zwyczaj wspólnego koszenia i dzielenia się sianem. Do użytkowania pastwisk wspólnych gmina stosunkowo miesza się rzadko. W centralnych guberniach, w których pastwisk jest mało, i to lichych, a ludność hodowlą bydła się nie zajmuje, każdy posyła na pastwisko tyle bydła, ile chce. Na południu, w stepach, gdzie pastwisk więcej i są lepsze, hodowla bydła jeszcze się utrzymuje: gmina określa ilość bydła na duszę i pobiera opłatę od gospodarzy, trzymających go więcej, a wynagrodzenie to roździela między tych, którzy albo bydła nie mają, albo mają go mniej, niż na duszę wypada. W wielu gminach regulowanie rachunku odbywa się wprost między zainteresowanymi: bogatsi, zamożniejsi wydzierżawiają od biednych ich prawo pasania bydła na wspólnem pastwisku.

Byli poddani prywatni lasu prawie całkiem nie dostali; włościanie skarbowi najczęściej, otrzymawszy go, podzielili się odrazu na zawsze i wycięli. Tam, gdzie się lasem ostatecznie nie podzielono, użytkowanie z lasu jest też najrozmaitsze. Czasem włościanie ścinają drzewo razem i dzielą się już gotowym materyałem na dusze, czasem każdemu służy prawo wywiezienia z lasu pewnej ilości pni. W ostatnich czasach wiele gmin wstrzymało zupełnie wyrąb drzewa

w lasach wspólnych, niektóre nawet sztucznie zadrzewiają zniszczone lasy lub stepy.

Nie można też pominąć milczeniem, że przepis prawa (§ 110 Przep. Wielkor.), iż dwór i ogród z osadą są w dziedzicznej używalności rodzin uwłaszczonych, nie jest ściśle zachowany. W niektórych gminach grunt ten ulega też wyrównaniu, odcinaniu i przykrawaniu stosownie do tego, czy potrzeba jest ziemi pod nowe osady, czy też pozostały się dwory opuszczone. Po pożarach, które rzadkimi nie są, często następuje zupełnie nowy podział gruntu we wsi, i rodziny dostają zupełnie inne place, jak te, na których mieszkały. Osady z ogrodem i obejściem sprzedają się często i członkom gminy i nie członkom: kupcom, mieszczanom, żydom i szlachcie, bez wiedzy i za wiedzą gminy, często nawet za jej protokularnem zezwoleniem. W okolicach, gdzie są winnice, lub gdzie kwitnie sadownictwo i ogrodnictwo, gdzie zatem uprawa gruntu przy domu jest intensywniejsza, gmina nie próbuje nawet ograniczać rozporządzeń swych członków. W powiecie Elizawetgradzkim gub. Chersońskiej, osady (dwór z ogrodem) sprzedają się, zastawiają i zapisują testamentem. W gubernii Samarskiej znane są wypadki nowego podziału ziemi pod wsią — ze znoszeniem i przenoszeniem zabudowań.

## IV.

W drugiej części swej pracy wykazaliśmy, jak z biegiem czasu w badaniach naukowych zrobiono z „miru” nie tyle zabytek narodowej przeszłości, ile raczej zadatek przyszłej organizacyi produkcyi rolnej, jak środek ciężkości tych badań od historyi miru przeniósł się na jego przyszłość. Przyszłość tę starano się wywnioskować z obserwacyi zmian, jakim ulegały zasady podziałów po r. 1861 — z ewolucyi form podziałów po reformie. — Kaczorowski mówi wyraźnie: pytanie, dokąd idzie gmina, jest ważniejszem od pytania, skąd pochodzi [1]).

Wspomnieliśmy już, że formy podziałów są zmienne, wykazaliśmy, że najczęstszą z nich jest podział na dusze rewizyjne, z kolei zastanowić się musimy nad tem, jak zmieniają się te formy, t. j. zasady podziałów, co w zmianach tych dostrzegają najnowsi

---

[1]) Kaczorowski, l. c. str. 2.

badacze miru i jakie czynniki wpływają na zmiany w zasadach podziału gruntami w gminie wielkorosyjskiej.

Po porzuceniu prawie powszechnem śród włościan byłych prywatnych podziału na tiagła, punktem wyjścia dla ewolucyi form podziałów były podziały na dusze rewizyjne, które zaraz po r. 1861 stały się podstawą posiadania na całej przestrzeni państwa.

Kaczorowski sądzi, że przywiązanie włościanina rosyjskiego do podziału gruntów na dusze rewizyjne ma w sobie coś, przypominającego cześć dla fetysza. Co do nas, sądzimy, że przywiązanie to tłómaczy się i tem, że ilość oddawanych przy uwłaszczeniu gruntów była do ilości dusz rewizyjnych ściśle zastosowaną, jak i tem, że ilość tych dusz w 1861 r. była dość blizką ilości dusz, przy rewizyi 1858 r. zapisanych. Reforma 1861 r., nie znosząc podatku podusznego, kazała przypuszczać, że w swoim czasie rewizye będą powtarzane, a przy nich prawdopodobnie nastąpią nowe podziały gruntu. Nie przewidywano, że rewizya 1858 r. będzie ostatnią, a tem samem nie zastanawiano się nad tem, jak urządzić podziały, kiedy spisów rewizyjnych zabraknie. W kwestyi, dotyczącej najżywotniejszych jego interesów, pozostawiono mir bez odpowiedniej wskazówki, sądząc, że „mir" sprawę tę załatwi sam, na drodze autonomicznych postanowień zgromadzeń gminnych, kierując się wskazówkami pośredników mirowych. Wkrótce jednak po 1861 r. odebrano mirowi tych kierowników i oddano pod opiekę—najprzód urzędów do spraw włościańskich, a potem naczelników ziemskich przy coraz to silniejszem ograniczeniu autonomii gminy.

Z biegiem czasu pomiędzy ilością dusz męskich w rodzinie rzeczywistą a ilością dusz męskich rewizyjnych musiał powstać rozłam, który postawił na porządku dziennym kwestyę nowego podziału ogólnego gruntów na innej już, jak dusze rewizyjne, zasadzie, zmuszał gminę do ustanowienia nowej zasady i praktycznego jej zastosowania, wywoływał ewolucyę form podziałów, ewolucyę, która zaczęła się koło 1870 r. i trwa dotąd. Wiele zapału i pracy poświęcono badaniu tej ewolucyi, jej kierunku, motywów i jej idei, t. j. myśli przewodniej narodu, leżącej na dnie ewolucyi. W poszukiwaniach tych mimowolnie podstawiono własne ideały społeczne za ideały narodowe, pomieszano osobiste życzenia z „Volksgeistem" słowianofilów. „Volksgeist"—duch narodu, odegrał tu, jak zwykle, rolę miękkiej gliny, z której każdy badacz tego ducha nową ulepił formę.

Jeszcze dla prof. Iwaniukowa istniejąca forma władania ziemią jest prastarym obyczajem, o ewolucyi jej niema mowy; poprawio-

na w szczegółach, przedewszystkiem co do długości terminów podziału i wynagrodzenia za melioracyę, trwać może wieki. Źródłem błędów w tej kwestyi podług p. Iwaniukowa jest przekonanie, że forma gminnego władania ziemią w Rosyi wyczerpuje w zupełności treść gminnego władania ziemią.—Nie widzi on, że niema tu jednej formy, ale cały szereg form, płynnych i niestałych, idących od własności prawie indywidualnej do posiadania prawie komunistycznego. W przekonaniu ludu ziemia należy do Boga, praca jest głównym źródłem wartości, każdy robotnik ma prawo do ziemi.

Już u Woroncowa (W. W.) różniczkują się formy władania i tendencye ewolucyi. — Gwiazdą kierowniczą ewolucyi są uczucia altruistyczne narodu, idea gminna, idea równości (urawnienija), rozwój uczuć socyalnych, gotowość włościanina do poniesienia ofiary z interesu osobistego na rzecz korzyści ogólnych, przekonanie, że forma gminna władania ziemią najlepiej odpowiada obecnym i przyszłym potrzebom włościanina.—Idea gminna dla Woroncwa realizuje się najlepiej przy podziale ziemi „według potrzeb rodziny”, a więc przy podziale na dusze żyjące płci obojej.—Podział na tiagła, podług Woroncowa, był podziałem podług siły ekonomicznej, podział na dusze rewizyjne — podziałem według potrzeb (?).

Ewolucya zasad podziałów w gminach włościan byłych skarbowych szła podług Woroncowa innemi drogami, jak w gminach b. włościan prywatnych, którzy z początku niewiedzieli o swem prawie autonomicznego dzielenia się ziemią i w epoce poddaństwa od wykonywania tego prawa odwykli. U włościan b. skarbowych ewolucya polega na wydoskonaleniu systemu podziału, coraz lepszem przystosowaniu go do rzeczywistych potrzeb rodziny, na coraz doskonalszem zrównaniu udziałów rodzin, usunięciu dużych różnic w posiadaniu wewnątrz gminy. Śród włościan b. prywatnych ewolucya polega na rozwoju zeznania swego prawa do podziałów ziemią, wyboru między osobistą a gminną własnością i wyborze zasady, zabezpieczającej najlepiej potrzeby rodziny, całkowite uiszczenia podatków i sum wykupowych (str. 57).—Obok tych tendencyi zasadniczych istnieją i tendencye drugorzędne, hamujące lub odwracające kierunek tej ewolucyi. Są tendencye indywidualistyczne, które nazywa regresyjnemi i ujemnemi, dążące do własności osobistej dziedzicznej. Są to kierunki, które wynikają z przeciążenia ziemi podatkami i sumami wykupowemi, przez co podziały gruntów mają czasem na celu uniknięcie niedoboru podatkowego, a odjęcie gruntów biednym ma na celu polepszenie ich położenia.—Idea gminna, idea równości majątkowej właściwie dopiero obecnie się rozwija, ale, podług najgłębszego prze-

konania Woroncowa, z biegiem czasu zapanuje we wszystkich gminach i doprowadzi do podziału równego, na ilość dusz bez różnicy płci. — Gdzie ziemia dawała dochód wyższy od ciążących na nich powinności, gdzie podziały peryodyczne ziemi były zaniechane (u włościan b. prywatnych), tam włościanie chętnie zajmowali się rolnictwem, udziały przechodziły dziedzicznie na synów lub braci, a pozostawione bez spadkobierców gmina brała na siebie, wydzierżawiała, zamieniała na pastwiska lub oddawała gospodarzom niemającym ziemi lub mającym jej mało. Ten stan rzeczy nie sprzyjał rozwojowi instynktów gminnych, włościanin rozporządzał się swym gruntem, jak swoją prywatną własnością, a gmina, jeśli nie sankcyonowała swą powagą tego postępowania, to patrzała na nie obojętnie. W gminach takich podziały peryodyczne gruntami istnieją tylko na papierze; faktycznie ziemia jest własnością dziedziczną (Gub. Kurska, Chersońska). Ale i w tych gminach z biegiem czasu budzi się idea gminna. Krytyka istniejącego porządku nie zatrzymuje się nawet przed prawem formalnem (str. 65), i zawiązuje się walka między zwolennikami prawa własności prywatnej a idei gminnej (str. 63—5), dążąca do zaprowadzenia proporcyonalności między wielkością gruntu a potrzebami pożywienia rodziny. W gminach, gdzie ciężary były wyższe od dochodu z ziemi, podziały gruntów miały znaczenie przedewszystkiem rozkładu tych ciężarów i dokonywały się na zasadzie siły produkcyjnej, t. j. wedle ilości robotników (124). W walce między zasadami duszy rewizyjnej a duszy obecnej wyraża się walka młodego pokolenia ze starem, dążącem do utrzymania ziemi dla siebie (127). Podziały ogólne, twierdzi Woroncow, jako akty samowiedzy, nie mogą być objaśnione wyłącznie wpływami zewnętrznymi, rozpatrywane, jako rezultat procesów elementarnych.—Są one w wysokim stopniu rezultatem motywów ideowych i etycznych (133), nie egoistycznych, ale altruistycznych.—Ziemia dla włościanina jest źródłem dochodu i przyczyną podatków. Jeśli przeważają ciężary, przyczyną podziałów jest chęć udzielenia pomocy członkom gminy, przeciążonym podatkami, jeśli przeważają dochody, chęć pomocy mającym mało ziemi.—Przyczyny rolne gospodarcze grają w podziałach małą rolę (144 i 5). Włościanin uważa ziemię za własność niczyją, Boską, panującego, a wiedząc, że od ilości posiadanej ziemi zależy dobrobyt rodziny, wpada „naturalnie" na myśl o roździale tego Bożego daru między wszystkich proporcyonalnie do potrzeb każdego. (250). Rewizye na pewien czas wstrzymały proces rozwoju tej idei; z ich usunięciem proces ten zaczął się na nowo, i obok duszy rewizyjnej zjawiają się nowe zasady podziału, le-

piej odpowiadające idealnym podstawom natury ludzkiej i socyalnemu znaczeniu własności wspólnej. W życiu gminy rosyjskiej zaczyna się nowy peryod,rozwija się dalej ewolucya, przerwana zaprowadzeniem poddaństwa (str. 252).

Dla najnowszego badacza kwestyi „miru", Kaczorowskiego, przyszłość gminy jest ważniejszą od jej przeszłości. Pytaniem głównem jest: czy gmina „ma być lub nie być."—Chce on zbadać „formułę praw, rządzących w gminie", choć rozumie, że gmina włościańska nie może być tem samem w Archangielskiej, Irkuckiej, Taurydzkiej i Smoleńskiej gubernii i sądzi, że, choćby gmina nie była produktem ducha narodowego, choćby była zaszczepiona z zewnątrz, jak to twierdzi Czyczeryn i szkoła „zachodników," to jeszcze nie dowodziłoby to konieczności jej usunięcia, bo mogła ona już teraz zapuścić korzenie i zrosnąć się z interesami i obyczajami większości włościan rosyjskich. Klasyfikacya gminy, podług Kaczorowskiego, musi się przedewszystkiem oprzeć na podstawach ewolucyi najważniejszej cechy miru, t. j. podziałów peryodycznych ziemi. Gmina powstaje, trwa i rozpada się, a jeśli przeprowadzimy linię prostą od wschodniej Syberyi do gubernii zachodnich, to zauważymy, że w kierunku tej linii zmienia się ilość zaludnienia, wielkość włościańskiego nadziału i organizacya gminy. Od wschodu ku zachodowi zaludnienie wzrasta, rozmiar gruntów włościańskich zmniejsza się, gmina (podziały ziemi) powstaje, trwa i upada. Wzrost ludności jest i tu zasadniczem źródłem ewolucyi, jest nicią, której należy się trzymać, aby nie zgubić się w labiryncie skomplikowanych i sprzecznych wpływów, określających stan obecny i decydujących o stanie przyszłym „miru." (str. 91). Przy wielkiej obfitości ziemi podziały ogólne peryodyczne są jeszcze niepotrzebne: tu gmina istnieje in potentia; przy wielkim braku ziemi podziały są niemożliwe i gmina już jest w impotencyi; dlatego to w Rosyi, w miarę wzrastania ludności, zmniejszania się ilości gruntów i intensyfikacyi rolnictwa, gmina przechodzi przez stadya wzrostu, dojrzałości i upadku (str. 429.) Gmina na wschodzie (Syberya) jest „im Werden." Z posiadania „zaimkowego", mającego wiele cech prywatnej własności, a będącego właściwie warunkowem dziedzicznem posiadaniem, gmina przechodzi powoli do posiadania mirskiego, do podziałów. Interwencya miru zaczyna się od oddawania pól wolnych w posiadanie pewnych gospodarzy, a czasem „gospodarzy i ich potomków"; w sporach między członkami gminy mir sądzi i przyznaje grunt jednemu z nich; potem oddaje grunty opuszczone życzącym sobie je uprawiać; a w końcu życzącym sobie zająć się rolą, a nie mającym jej, daje grunty, ode-

brane tym, którzy mają ich najwięcej. Ten ostatni objaw interwencyi miru, mówi Kaczorowski, choć prawnie wielce się różni od poprzednich objawów interwencyi, mimo to dzięki pewnym specyalnym warunkom wchodzi w obyczaj „łatwo i miękko”, a specyalnie łatwo zjawia się wtedy, gdy chodzi o odebranie gruntu gospodarzom, zalegającym w podatkach. Odebranie gruntów dla tej przyczyny jest jakby niezależne od woli miru, wskazane prawem formalnym i zarządzeniami władz administracyjnych, a także jest zgodne z życzeniami zalegającego w opłacie podatków gospodarza.—Dla Kaczorowskiego treścią ewolucyi różnych form gminy i zasad podziału jest walka dwu zasad: 1-o prawa pracy, t. j. prawa robotnika do rezultatu pracy, 2-o prawa do pracy (droit au travail) i związanego z tem prawem prawa do życia, t. j. prawa do odpowiedniej ilości środków utrzymania (229). Prawo do owoców pracy, t. j. prawo tego, kto pierwszy rolę uprawił, wyraża się w prawie „zaimki“, i ono musi ustąpić przed zasadami „prawa do pracy i prawa do życia“, dlatego, że niecałą wartość ziemi wytwarza praca.—Własność ziemi nie może mieć charakteru wieczności, nie może mieć charakteru wiecznego zakazu „tabu“, bo praca, włożona w ziemię, amortyzuje się, a to tem prędzej, im ekstensywniejszem jest gospodarstwo rolne. W gospodarstwach pierwotnych, koczujących, nie znających nawozu, opartych na długoletnim ugorze, amortyzacya ta dokonywa się w lat parę i dla tego nie może być podstawą długoletniej, wiecznej, dziedzicznej własności. W miarę, jak system rolny staje się bardziej intensywnym, prawo do owoców pracy, prawo własności dziedzicznej staje się najsilniejszem. Faktyczne i prawne wyjęcie z pod mirskich rozdziałów gruntów pod osadą, sadów i ogrodów jest tego najwyższym dowodem.—Oprócz tej ewolucyi zasadniczej, tej walki prawa pracy z prawem do pracy, w której decyduje się istnienie gminy, t. j. wykonywanie peryodycznych podziałów tam, gdzie już istnieją podziały peryodyczne, toczy się jeszcze walka o to, czy zasadą podziału mają być potrzeby rodziny, czy jej ekonomiczna siła, czy podział ma się odbywać na gęby czy na ręce. Zasady te czasem się z sobą kombinują, czasem z sobą walczą i, zdaniem Kaczorowskiego, są prawie równej doniosłości etycznej. Trudno jest, mówi, powiedzieć, która z tych zasad jest wyższa, a jeśli zasada: każdemu według potrzeb—jest wyższą etycznie, to druga: każdemu według jego pracy[1])—jest bliższą, łatwiejszą do zrealizowania. Wogóle zaś

---

[1]) W ustępie tym Kaczorowski nie jest ścisły, „według pracy“ jest tu użyte zamiast „według jego zdolności do pracy“. Wyrażenie „według pracy“ („po jewo trudu“) każe się fałszywie domyślać „według pracy, już dokonanej—str. 279.„

sądzi on, że podział według potrzeb jest najczystszym wyrazem gminnych zasad (290) i, że, jeśli dziś przeważa podział na dusze męskie, a więc podział według prawa do pracy, to widać w tem wpływ praw państwowych, tak przeszłych (rewizye i poduszne), jak i obecnych (powinność wojskowa i powinności gminne). W każdym razie podział według potrzeb daje *maximum* równości (urawnitielnosti). Systemy podziału, oparte na tej zasadzie, są rezultatem świadomego przystosowania się gminy do celów gminnego władania ziemią, przejawiają się w najróżnorodniejszych formach, i ta właśnie zasada przetworzyła martwą, fiskalną duszę rewizyjną na duszę żyjącą, ogólnie ludzką.

Ewolucya regresyjna gminy, dążenie do własności indywidualnej, dziedzicznej rozwija się dla K. pod wpływem zasadniczym braku ziemi. Sprzyja jej płacenie wykupu, przy którem włościanin uważa ziemię za „kupioną". Pod wpływem coraz to większego braku ziemi i coraz to bliższego terminu wykupienia gruntów, wiele gmin zamarło, zaprzestało podziałów, szczególniej tam, gdzie wykup był wysoki, a więc u włościan byłych prywatnych. Gminy te są do dziś dnia „państwem duszy rewizyjnej". Do ocenienia, jaka ilość gmin zaprzestała podziałów, brak materyałów, brak statystycznych danych. Ale, zdaniem Kaczorowskiego, jeśli gminy pojedyńcze zamarły, to duch gminny nie zamarł i obudzić się może. Intensyfikcya pracy, prowadząca za sobą wzmocnienia prawa pracy (własności indualnej) może znaleźć kompromis z własnością wspólną na drodze korporacyjnej uprawy obszarów gminnych; wzrost ludności, wywołujący coraz większe zmniejszanie się nadziałów i osłabienie ducha gminnego, znajduje swą poprawkę w naturalnem zmniejszaniu się udziału w ziemi, i dlatego Kaczorowski wierzy w to, że gmina przeżyje w Rosyi aż do czasów, w których „społeczna produkcya" będzie podstawową formą wszelkiej produkcyi, zarówno rolnej, jak i przemysłowej.

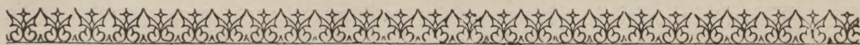
Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad poglądami na organizacyę miru podług Woroncowa i Kaczorowskiego dlatego, aby wykazać, jak gruntownej zmianie uległy te poglądy w czasie ostatnich lat 20, jak mało w literaturze specyalnej ustalone są poglądy na ewolucyę miru nawet wtedy, gdy oparte są na jednych i tych samych faktach i materyałach.

Zawcześnie jest, mówi Kaczorowski, aby sporządzić bilans tej ewolucyi, aby na pewnych podstawach wskazać, jakiemi pójdzie drogami, a choć przyznaje, że zmniejszanie się stałe udziału grun-

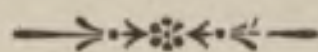
tów prowadzi za sobą upadek własności wspólnej, wierzy w to, że, nim ten upadek nastąpi, zmienią się zasadnicze warunki organizacyi produkcyi tak, że wspólne władanie ziemią będzie najodpowiedniejszą formą prawną dla tej „produkcyi przyszłości". Nim pójdziemy za nim w sferę przyszłości gminy, musimy zastanowić się nad warunkami ekonomicznymi, w których dokonano w roku 1861 uwłaszczenia włościan i nad temi przyczynami, które pomiędzy latami 1860 a 1900 wywołały ewolucyę form władania ziemią w Rosyi. Dopiero po poznaniu tych warunków i tych przyczyn będziemy mogli zdać sobie sprawę z teoryi Woroncowa i Kaczorowskiego o ewolucyi form podziałów gruntami w gminie wielkorosyjskiej.

*d. c. n.* *St. Piotrowski.*





# WSZECHWŁADZTWO
# POWIEŚCI NOWOCZESNEJ.



Od lat kilkudziesięciu w rozległem i wielonarodowem państwie literatury europejskiej powieść nowoczesna wszechwładnie nieomal panuje.

Wyniesienie jej dziwnie szybko się dokonało. Przed niedawnym stosunkowo czasem tak podrzędne zajmowała stanowisko! Na schyłku zeszłego wieku była istnym kopciuszkiem, wiodącym cichy i skromny żywot w ustronnym zakątku literatury; wyjątkowo chyba w dziełach najznakomitszych swych mistrzów zdobywała sobie jakieś widniejsze miejsce, ale nigdy nie mogła współzawodniczyć z drugorzędnymi nawet wytworami poezyi. Od początku obecnego wieku rosła stopniowo w powagę i znaczenie, około jego połowy stała się już prawdziwą potęgą literacką, a obecnie zajęła naczelne miejsce w świecie literatury pięknej.

Rozejrzyjmy się po szerokich jego obszarach. Cóż w nim widzimy? Oto wszędzie, we wszystkich krajach i u wszystkich ludów, królują prawie niepodzielnie jakieś znakomitości powieściopisarskie, otoczone nieprzeliczonym tłumem czytelników i wielbicieli.

Każde ich dzieło, rzucone w wir ruchliwej masy społecznej, staje się odrazu wielkim wypadkiem dnia, wywołuje tysiące rozpraw, sporów i komentarzy, skupia na sobie chwilowo całą nieomal uwagę inteligentnego ogółu. A poza wspaniałem gronem tych bogów powieściopisarstwa jakiż liczny zastęp przeróżnych bożków i półbożków! Świątynia powieści tak jest obszerna i tak licznie nawiedzana, że każdy, kto zdobędzie sobie miejsce choćby na najpodrzędniejszym z jej ołtarzyków, znajdzie zawsze pewną ilość bijących mu czołem czcicieli.

Natomiast świątynia poezyi ogromną świeci pustką. Wprawdzie płoną w niej ognie ofiarne na cześć bóstw dawnych i rozbrzmiewają hymny, głoszące ich chwałę. Ale ten kult starożytny, uprawiany przez nieliczne gromadki wiernych wyznawców, jakże mało wśród ogółu znajduje uznania! Bo ogół lubi nadewszystko zmiany i nowości, a te niełatwo teraz znaleźć w dziedzinie poezyi. Gleba jej zjałowiała bardzo za dni naszych, nader niewiele świeżych wydaje kwiatów, a te, które się na niej pojawiają, wątłe i blade, nie mogą iść w porównanie z bujnymi płodami minionych czasów.

Fale prozy powieściowej, zalewające cały obszar współczesnej literatury pięknej, wchłaniają w siebie wszystkie nieomal żywotniejsze jej pierwiastki. Prawie każdy wybitny talent twórczy zużywa swe siły wyłącznie lub przeważnie w zakresie powieściopisarstwa, w niem znajdują ujście główne prądy życiowe obecnej doby, rozliczne jej zagadnienia, dążności i aspiracye osiągają w nim mniej lub więcej jasne oświetlenie. Powieść stała się pewnego rodzaju omnibusem literackim, w którym najrozmaitsze idee, uczucia i wyobrażenia z niezmierną szybkością rozwożone są po świecie. Wiek elektryczności i pary w sferze umysłowej zdobył sobie też nader udogodnione środki komunikacyi. Skrzydlaty Pegaz, przewodnik natchnień wieszczych, poszedł na chleb łaskawy: jego lot nadto górny i fantastyczny niełatwo dawał się uregulować wedle potrzeb chwili i zniżyć do poziomu wymagań ogólnych. To też zastąpiony został w znacznej części przez potężne motory twórczości powieściowej, które daleko lepiej służą celom i zadaniom literatury bieżącej. Niezliczone szeregi powieści, niby pociągi kolei żelaznej, przebiegają we wszystkich kierunkach cały obszar Europy, dostarczając najdalszym jej zakątkom świeżych wyrobów umysłowych. A chociaż te aż nadto często wątpliwej są wartości, niemniej przeto dzięki popularnej formie, w jakiej zostają podane, zawsze chętnych znajdują nabywców, tak, że mimo wzrastającej ciągle podaży, popyt na nie wcale się nie zmniejsza.

Ale czy ten bujny rozwój literatury powieściowej dokonywa się istotnie ze szkodą poezyi? czy te dwie dziedziny twórczości w koniecznem między sobą pozostają przeciwieństwie? Bliższe rozważenie wzajemnego ich stosunku zdaje się temu zaprzeczać. Toż powieść, wzięta w obszerniejszem swem znaczeniu, blizką jest krewniaczką poezyi, można nawet powiedzieć, że jest pierworodnem jej dziecięciem. Czemże bowiem są wszystkie podania, baśni i myty, otaczające kolebkę duchowego życia ludzkości? Oczywiście są to powieści wysnute z prastarych, przeddziejowych wspomnień, a rozwinięte i ukształtowane przez swobodną grę fantazyi. Stanowią one niejako surową materyą poetycką, która przez wieki całe krąży w duchowym świecie ludów pierwotnych, czasem rozprasza się i ginie w przestworzu, czasem znów, przy sprzyjających warunkach, skupia się w pięknych i niespożytych kryształach poezyi.

Drogą takiej krystalizacyi powstały pieśni epickie różnych ludów, a najwspanialszym jej objawem jest klasyczny epos starogrecki.

Wiadomo, jak wielkie znaczenie posiadają takie płody poetyckie w rozwoju wszech-ludzkiej twórczości. Są to skarbnice tradycyi narodowej, wiecznotrwałe pomniki tej wieści gminnej, którą poeta nasz zowie arką przymierza między dawnemi i nowemi laty. Niezliczone pokolenia czcią je otaczały i czerpały z nich obfite zasoby mądrości starodawnej; dla poetów późniejszej doby były one zawsze żywem źródłem natchnień twórczych, myślicielom dostarczały mnóstwa idei i pomysłów: dramat ateński wysnuty został całkowicie nieomal z podań mytycznych i bohaterskich, a wielcy mędrcy Grecyi co chwila przytaczają słowa Homera.

A obok tych wiekopomnych arcydzieł opowieści ludowej i inne mniej wybitne jej płody jakże bujnie zakwitły i jak szerokie pozyskały uznanie w różnych stronach świata! Niema i nie było pono takiego ludu na ziemi, któryby nie posiadał swoich podań i baśni; a wszędzie, gdziekolwiek się pojawiły, od brzegów Gangesu aż do posępnych skał Islandyi znajdowały zawsze licznych i chętnych słuchaczy.

Ognisty wojownik arabski, odpoczywając wśród głuchej pustyni przy ognisku obozowem, upajał się cudowną opowieścią, rozkwitającą tysiącem barw wschodniej fantazyi. Skandynawski król morza z niemniejszem zajęciem wsłuchiwał się przy odgłosach głuchych szumów oceanu w ponurą i dziką osnowę sagi północnej. Średniowieczny pan feodalny oczekiwał z upragnieniem w swym ustronnym zamku na menestrela, przynoszącego powieści o dalekich

krajach i nadzwyczajnych przygodach. I nasz brat szlachcic jakże lubił posłuchać przy lampce miodu zajmujących opowiadań i dykteryjek o różnych sprawach ludzkich; a w naszych chatach wiejskich wieleż to przemknęło w ciągu wieków przypowiastek, baśni i gadek, słuchanych zawsze z jednaką ciekawością i z jednakiem przejęciem! Możnaby przytoczyć jeszcze mnóstwo podobnych przykładów, świadczących o wielkiem zamiłowaniu w płodach twórczości powieściowej u ludów różnych epok i krajów. Po wszystkie czasy budziły one zachwyt tłumów i dostarczały im tysiące żywych i silnych wrażeń, przybierając przytem najrozmaitsze postaci, odpowiednio do nastroju i usposobienia tego narodu lub tych warstw społecznych, wśród których powstały i rozwinęły się.

Powieść nowoczesna nie jest niczem innem, jak jedną z tych rozlicznych postaci, w jakie wątek poetyckiego opowiadania wcielał się w ciągu wieków. Jeżeli więc chodzi o starożytność i świetność rodu, nie ustępuje ona żadnemu rodzajowi literatury pięknej, a pono nawet przewyższa je wszystkie. Sięgając swem pochodzeniem najpierwszych nieomal zaczątków umysłowego życia na ziemi, spokrewniona z eposem klasycznym i z wielu innymi wytworami poezyi wszechludzkiej, należy ona niewątpliwie do najznakomitszej arystokracyi we współczesnym świecie literackim, a przeto zupełnie słusznie zdaje się zajmować w niem to uprzywilejowane stanowisko, jakie od niedawna sobie zdobyła.

Ale potomkowie wielkich rodów wyradzają się często i tracą zupełnie cechy typowe, będące dowodem szlachetnego ich pochodzenia. Owóż zachodzi podejrzenie, że obecna nasza powieść podobnemu uległa losowi.

Przedewszystkiem, jak każdemu wiadomo, pospolituje się ona haniebnie w najgminniejszych sferach piśmiennictwa: wyciera kąty po przeróżnych dziennikach i dzienniczkach, zniża się do wszelkich upodobań czytającego motłochu, schlebia jego gustom prostackim i dostarcza mu codziennej, zdawkowej lektury: wogóle wydaje tak znaczną ilość miernych płodów, jak żaden inny rodzaj twórczości literackiej. A oczywiście wszystkie podobne utwory nie mają najmniejszego związku z poezyą i należą do dziedziny najzwyklejszej i najpospolitszej prozy. Co gorzej, należą do niej również niektóre arcydzieła powieściopisarstwa, utwory talentów znakomitych, ale z bardzo słabem poetyckiem natchnieniem lub nawet całkiem go pozbawionych.

Wobec tego nastręcza się nawet zasadnicze pytanie: czy wo-

góle powieść nowoczesna może być poczytywana za prawego potomka poezyi?

Sama jej postać zewnętrzna, pozbawiona wyrazistych zarysów mowy rytmicznej, pozwala o tem powątpiewać. Ale ten wzgląd nie rozstrzyga jeszcze kwestyi. Istota poezyi tkwi nie w odziewającej ją szacie słownej, lecz w treści obrazów i uczuć, które ją wypełniają. Wszelako i pod tym względem powieść nowoczesna przedstawia się, jako bardzo niepoetyczna. Niektóre tylko z jej utworów mogą być poczytywane za prawdziwe poematy w prozie; w ogromnej większości żywioł prozaiczny przemaga stanowczo nie tylko w formie słownej, lecz i w treści wewnętrznej. W szerokich i luźnych ramach współczesnych utworów powieściowych spotykamy mnóstwo przedmiotów, żadnego prawie nie mających związku z poezyą. Obok mniej lub więcej żywo odtworzonych obrazów i scen z życia znajdują się tam refleksye filozoficzne, opinie społeczne, doktryny moralne, nawet teoretyczne wywody naukowe.

Oczywiście podobna osnowa poetycką nie jest, stanowi ona zbiór rozmaitych wiadomości arcyprozaicznej treści, między któremi jedyną a bardzo słabą spójnią jest ogólny wątek opowiadania. Zresztą zauważyć należy, że i czysto poetycka strona powieści zawiera też mieszaninę różnorodnych żywiołów. Dyalogi dramatyczne ukazują się w niej naprzemian z opowieścią epicką, przedmiotowe obrazowanie życia co chwila ustępuje miejsca podmiotowym wylewom uczucia, a te ostatnie podlegają często subtelnemu rozbiorowi, wykluczającemu wszelkie świeże i bezpośrednie odczuwanie. Jednem słowem powieść, tak, jak przedstawia się obecnie w ogromnej większości swych płodów, daleką jest niezmiernie od czystej typowej formy epickiego rodzaju poezyi, a nieraz wykracza zgoła poza najdalsze granice twórczości poetyckiej wogóle. Wobec tego jasnem jest, że podstaw dzisiejszego jej wszechwładztwa trzeba szukać nie w starożytnej tradycyi, lecz raczej poza jej obrębem, w zwrocie do pozytywnej i trzeźwej prozaiczności, jaki za naszych czasów we wszystkich dziedzinach życia bardzo wyraźnie daje się zauważyć. W dalszej konsekwencyi należy też przypuścić, iż obecny wzrost powieściopisarstwa pozostaje istotnie w pewnym związku przyczynowym z upadkiem twórczości pootyckiej, a raczej, że oba te zjawiska muszą być wynikiem wspólnych przyczyn, tkwiących w nastroju i usposobieniu obecnej epoki.

Ażeby te przyczyny należycie wyświetlić, należy sobie uprzytomnić pokrótce główne warunki, od których zależy rozkwit lub upadek twórczości poetyckiej.

Dwa między nimi najbardziej są zasadnicze: pewna suma idei i uczuć, dążących do zewnętrznego wyrażenia się z bezpośrednią, żywiołową, że tak powiem, siłą, oraz wyższe poczucie artystyczne, przyoblekające natchnienie twórcze w kształt piękny i harmonijny. Gdzie te dwa czynniki osiągną wysoki stopień siły i zrównoważą się zupełnie, tam powstaje doskonała poezya, natchniona zarazem i artystyczna, jaką była klasyczna poezya grecka za czasów homerycznych lub w wieku Peryklesa. W epokach, w których jeden ze wspomnianych czynników posiada znaczną przewagę, twórczość poetycka rozwija się bujnie, ale jednostronnie. I tak, za czasów klasycyzmu francuskiego, gdy kultura estetyczna osiągnęła tak doskonałe wyrobienie, poezya stała się wysoce artystyczną, ale pozbawiona była świeżych, bezpośrednich natchnień, które nie mogły się rozwijać w dusznej atmosferze dworskiego bytu. Przeciwnie w okresie następnym, wobec olbrzymich wstrząśnień i przewrotów rewolucyjnych, potężne parcie idei i uczuć rozsadziło wytworne, ale zbyt ciasne formy artystyczne, w jakie gust dawniejszy odziewał kreacye poetyckie. Wtedy pojawiła się wielka, tytaniczna poezya Faustów, Manfredów i Konradów, poezya prometeuszowskich porywów i ikarowych wzlotów, pełna kolosalnej siły natchnienia, niezgłębionej prawdy uczucia, ale nie mająca w sobie miary i równowagi wewnętrznej, fragmentaryczna, niekiedy bezkształtna, z natury swojej niezdolna do wytworzenia harmonijnych kompozycyi artystycznych.

Obecnie oba te kierunki poetyckie należą już do przeszłości. Wicher dziejowy połamał wypieszczone kwiaty dawnej kultury arystokratycznej, uniósł i rozwiał w przestworzu wzniosłe ideały epoki porewolucyjnej, a natomiast wyrzucił na powierzchnię życia żywioły społeczne, ukryte dotąd w głębi, mało wyrobione cywilizacyjnie, ale pełne świeżej, żywotnej siły. Skoro około połowy obecnego wieku uspokoiły się potężne burze polityczne i świat europejski doszedł do pewnej równowagi wewnętrznej, szerokie jego obszary nowy przedstawiały widok. Wszędzie, jak okiem zasięgnąć, rozpostarł się na nich szary tłum demokratyczno-mieszczański, który począł teraz nadawać główny ton wszystkim objawom życia. Wiadomo, jak potężny rozwój cywilizacyjny towarzyszył temu przewrotowi. Nigdzie w historyi nie widziano tak nagłego wzrostu pracy społecznej i wiedzy pozytywnej, takiego rozkwitu sztuk technicznych, przemysłu i handlu; wogóle tak olbrzymich zdobyczy na polu kultury umysłowej i materyalnej, jakimi może się poszczycić obecne stulecie.

Ale kultura estetyczna nie postąpiła w równej mierze, a bodaj nawet czy nie wstecz się cofnęła. Nowe pokolenia umiały wprawdzie wyciągnąć dla siebie obfite korzyści z arcydzieł poezyi i sztuki, odziedziczonych po przodkach, i na nich oparły swe wykształcenie artystyczne, ale samoistnie nic wielkiego nie zdołały wytworzyć w tej dziedzinie. Sztuki plastyczne, choć gorliwie uprawiane w naszych miastach, przeważnie naśladują tylko dawne style i wzory; poezya, tak mizerny wiodąca dzisiaj żywot, jest słabem echem natchnionych pieśni przeszłości. Dźwięki jej głuszone są przez rozgwar powszedniego życia, przez turkot maszyn, zgiełk handlowy i wrzawę zaciętej walki o byt. Gdzież tu miejsce na twórczość poetycką! Zakwita ona bujnie tam tylko, gdzie jest pewien nadmiar uczuć, pragnień i dążeń, które, nie znajdując ujścia w świecie rzeczywistym, szukają go w podniebnej dziedzinie ideału. Czyż duch obecnej epoki zdolny jest do podobnych wzlotów? Nie posiada on w sobie żadnego prawie nadmiaru sił, bo wszystkie zużyte zostają w niesłychanie natężonej działalności praktycznej; nie może żywić nadziemskich pragnień, bo ziemskie dążności aż nadto go pochłaniają. Więc czemże żyć będzie geniusz poezyi dzisiejszej? skąd ma wysnuć wątek swych natchnień wieszczych?

A jednak to życie współczesne, choć tak niepoetyczne i mało dostarczające karmi dla uczucia i fantazyi, niemniej przeto zajmujące jest bardzo i pełne treści. Prawda, niewiele znaleźć w niem można uczuć silnych i wzniosłych i charakterów o bohaterskim pokroju, ale zato jakież mnóstwo zjawisk i faktów, sprzecznych prądów i dziwnych powikłań, jaka rozmaitość stosunków i dążności! Tyle się w niem dzieje i dokonywa, tyle powstaje coraz to nowych i coraz zawilszych zadań!

A na tle tych wszystkich objawów jakaż mnogość przeróżnych typów natury ludzkiej, wieleż zmian i przeobrażeń w jej wewnętrznym ustroju! Każdy, kto umie patrzeć jasnem okiem na świat zewnętrzny i posiada dar oddania swych wrażeń w żywem i barwnem słowie, będzie miał zawsze dużo do powiedzenia o życiu współczesnem i różnych jego objawach. Oto jest istotna i główna przyczyna rozkwitu powieściopisarstwa w obecnej dobie. Wszakże elementarnym warunkiem wszelkiego opowiadania jest bogata i urozmaicona jego osnowa, obfitość w niem zajmujących i charakterystycznych zdarzeń. A kiedyż byt ludzki zawierał ich więcej, niż w naszych czasach?

Wszędzie, gdzie czyn realny posiada przewagę nad myśleniem i czuciem, poezya opowiadająca wyjątkowe osiąga znaczenie.

W tym względzie, jak w wielu innych, ostateczności stykają się ze sobą. Epoka obecna, stojąca u szczytu rozwoju cywilizacyjnego, zbliża się do czasów prastarych, w których ludzkość pierwsze zaledwie stawiała kroki na drodze, wiodącej do cywilizacyi. Wówczas działanie pochłaniało nieomal wszystkie siły duszy; za jego pośrednictwem ludy pierwotne musiały wywalczyć sobie prawo do bytu i zdobyć realne warunki wyższego rozwoju. Dopiero, kiedy te w pewnej mierze zostały osiągnięte, a samo istnienie społeczeństwa dostatecznie zabezpieczone, wtedy dopiero życie jego zwraca się bardziej na wewnątrz i znajduje wyraz bądź w melodyjnych pieśniach lirycznych, bądź też w akcyi dramatycznej, wynikającej z indywidualnych uczuć i pragnień.

Podobna kolej rozwoju w różnych swych stopniach widoczna jest u wszystkich narodów i powtarza się wielokrotnie w życiu całej ludzkości.

Są epoki, w których społeczeństwo ludzkie zdaje się nanowo rozpoczynać swoje istnienie i z nadzwyczajną energią pracuje nad zbudowaniem materyalnej jego podstawy. W takich czasach żyje ono przeważnie życiem zewnętrznem, jest wielkiem zbiorowiskiem pracowników, skupiających swe siły około wspólnego dzieła. Literatura piękna zostaje mu również podporządkowana: uświadomienie dróg i celów społecznego rozwoju staje się głównem jej zadaniem, wierny a rozległy obraz działalności zewnętrznej naczelne w niej otrzymuje miejsce.

W tym kierunku zwraca się też przeważnie cała twórczość literacka obecnej doby. Niewątpliwie od lat kilkudziesięciu społeczeństwo europejskie żyje przeważnie nazewnątrz. W zakresie umysłowym dąży do poznania i zgłębienia świata zewnętrznego za pośrednictwem nauki oraz do uprzytomnienia sobie różnych jego objawów za pomocą sztuki. Wiedza dzisiejsza nie zatapia się w tajemniczych otchłaniach wewnętrznego samopoznania, sztuka nie dąży do plastycznego odtworzenia wysnutych stąd ideałów. Jedna i druga przedewszystkiem mają na widoku otaczające nas zjawiska życia i przyrody: poznać je, zbadać, uprzytomnić sobie żywo i ukształtować plastycznie: oto istotne ich zadanie i cel nieomal jedyny. Nie dziw przeto, że i w literaturze liryczne wylewy uczucia oraz dramatyczne jego kolizye ustępują miejsca epickiemu obrazowaniu świata zewnętrznego, które powieść nowoczesna w tak szerokich zarysach i w tak różnorodnych zabarwieniach przed wzrokiem naszej wyobraźni roztacza.

Ale zachodzi tu pewna wątpliwość. Czy słusznem jest uzna-

wać w obecnym wieku tak znaczną przewagę życia zewnętrznego? Przecież dzisiaj nie tylko działamy, ale też myślimy i odczuwamy wiele, więcej może, niż w jakiejkolwiek epoce przeszłości. Czyż wobec tego można mówić o zaniku lub osłabieniu wewnętrznego życia duszy?

Aby wyjaśnić sobie tę wątpliwość, zważmy przedewszystkiem, że tu nie chodzi o bezwzględną ilość naszych czynów z jednej strony, a idei i uczuć z drugiej, ale o wzajemny stosunek tych dwustronnych objawów naszej psychicznej istoty. Suma życia wogóle wzrasta z postępem kultury i niewątpliwie większą jest dziś, niż przed wiekami w obu wspomnianych sferach, ale czyż może być wątpliwem, która z nich posiada przewagę?

Prawda, myślimy dzisiaj i odczuwamy dużo, bardzo dużo, aż nadto może na wyczerpane nasze organizacye duchowe, ale ku czemuż zwracają się przeważnie nasze myśli i uczucia? jaki cel mają przed sobą? Czyż w większej części wypadków nie leży on nazewnątrz nas? Ludzie naszego wieku pragną przedewszystkiem żyć i używać życia. Jedni przez pracę starają się środki zdobyć po temu, inni, posiadając je w dostatecznej ilości, szukają tylko dróg i sposobów jak najpełniejszego ich zastosowania.

Wewnętrzne skupienie się w sobie — jakież to rzadkie dzisiaj zjawisko! Średnie wieki miały swoich mnichów i anachoretów; starożytność klasyczna posiadała swych mędrców, oddanych samotnym rozmyślaniom, dziewicze lasy indyjskie pełne były ascetycznych pustelników. Gdzież dziś napotkać przykłady podobnego odosobnienia się od świata? A w samym wirze jego zdarzeń gdzież możność zagłębienia się w jakiemś wyłącznem uczuciu lub zachowania samoistności w działaniu? Potok życia unosi nas na bystrych swych falach, a wydoskonalona organizacya społeczna zamyka nas zawsze w jakiejś wyłącznej sferze dążeń i nie dopuszcza pełnego rozwoju naszej indywidualności ludzkiej. Niedarmo dzisiejsi uczeni tak wiele prawią o organizmie społecznym.

Istotnie za naszych czasów łączność i zależność wzajemna jego cząstek coraz wyraźniej się zaznacza. Jednostka staje się niby komórką organiczną, która coraz mniej zdolna jest żyć życiem własnem, a coraz bardziej zależną jest od życia zbiorowego. Pełno wśród nas typów, wyobrażających rozliczne sfery społeczne i towarzyskie, ale jakże mało samorodnych a potężnych poruszeń serca lub charakterów wybitnie indywidualnych! Oczywiście, o ile taki stan rzeczy znajduje odbicie w literaturze pięknej, nie może ona roz-

winąć się w kierunku głębokiej liryki, ani dramatu w wielkim stylu, a zakwita jedynie bujną twórczością epicką.

Ale ta epika dzisiejsza nieskończenie różnić się musi od pierwotnych klasycznych swych wzorów; między jedną a drugą dziedziną leży cała otchłań wieków, cały świat rozwoju cywilizacyjnego. Życie współczesne, tak niezmiernie zróżniczkowane, pełne tylu zawiłych i sprzecznych prądów, żadną miarą nie może być zawarte w szerokich i prostych liniach eposu klasycznego; ono potrzebuje raczej linii krzywych i łamanych, plączących się z sobą w niezliczonych zwrotach i zdolnych przystosować się do wszelkich zagięć i nierówności naszego gruntu społecznego. Taką właśnie plątaninę i bezmierną rozmaitość zarysów przedstawia nam powieść nowoczesna i dzięki temu nadaje się doskonale do odtworzenia współczesnego naszego bytu.

Niezależnie jednak od tych przyczyn, tkwiących w samej naturze odtwarzanych przedmiotów, charakter jej specyficzny ma swe uzasadnienie i w podmiotowym nastroju umysłów twórczych naszego wieku. Jasną jest rzeczą, że opowiadacz nowoczesny nie może patrzeć na życie tem samem okiem, co naiwny epik ludowy. Tamten spoglądał na nie przez pryzmat wyobraźni i wszystkie jego objawy widział w jaskrawym blasku barw fantastycznych. Jak dziecko, cieszył się życiem, cieszył się samą pełnią jego zjawisk i, nie zaglądając do ich wnętrza, nie zatrzymując się nad oceną ich wartości moralnej lub społecznej, odtwarzał je w jasnych i wyrazistych kształtach, o ile nasunęły się mu przed oczy. Dlatego opowieść jego była szczerą poezyą, bo poezya jest dzieckiem natchnienia, t. j. samorodnego porywu twórczości, zakwita wszędzie, gdzie umysł twórczy pociągnięty jest z nieprzepartą siłą ku swemu przedmiotowi, zmuszony niejako do przyswojenia go sobie i wydania nazewnątrz w żywych, plastycznych kształtach. Z tego powodu musi być w niej zawsze pewna idealizacya, pewne zabarwienie fantazyjne i uczuciowe, stanowiące główny jej urok i tak silnie uwydatniające się we wszystkich starodawnych opowieściach — w podaniach, baśniach i eposach ludowych.

Jakże odmiennie przedstawia się nowożytna twórczość powieściopisarska! Oczywiście i w niej jest pewna ilość samorodnego natchnienia, pewne upodobanie w pełni i różnorodności zjawisk życiowych; ale te pobudki nie są wcale jedyne i ustępują pierwszego miejsca innym, zupełnie odmiennym co do swej natury i pochodzenia. Nowoczesny powieściopisarz jest synem społeczeństwa, które dawno już pozostawiło za sobą wiek dziecinny i młodzieńczy, a zbliża

się nieomal do czasu swej zgrzybiałości. Podobnie, jak niegdyś, za młodych swych lat, lubi ono wprawdzie uprzytomniać sobie różne zjawiska życiowe, ale jak odmienne względem nich zajmuje stanowisko, o ile głębiej pragnie je odczuć i zrozumieć! Ono nie umie cieszyć się życiem naiwną radością dziecka lub uniesieniem młodzieńca, lecz interesuje się niezmiernie jego objawami, pragnie je poznać do głębi, wniknąć w treść ich wewnętrzną, wyrobić sobie sąd krytyczny o ich znaczeniu i wartości. Oczywiście twórczość powieściowa, wynikająca z takich pobudek, daleką będzie od bezpośrednich porywów natchnienia: refleksya i zamiar świadomy przeważną w niej odegrają rolę i wycisną swe znamię na wszelkich jej płodach. Nie będą to więc płody czysto poetyckie, lecz staną się mieszaniną poezyi i prozy, w której to jeden, to drugi z tych żywiołów osiągnie przewagę, zależnie od usposobienia poszczególnych twórców.

Między tymi ostatnimi znajdują się niewątpliwie wyjątkowe jednostki, które zachowały świeżą i bezpośrednią wrażliwość na działania życia. Są to prawdziwi poeci-epicy, zabłąkani przypadkiem w tłumie prozaicznych opowiadaczy, zdających sprawę nie ze swych wrażeń żywych, lecz raczej z badań racyonalnych, wspartych darem bystrej obserwacyi i talentem mniej lub więcej dosadnego wyrażenia jej wyników. Z takich badaczy-narratorów składa się w znacznej części zastęp naszych znakomitości powieściopisarskich: wywierają oni przeważny wpływ w nowoczesnej literaturze nadobnej i nadają jej głównie odrębny ton i charakter. Ale obok tych posiada ona też przedstawicieli odmiennego rodzaju, zawdzięczających swoje stanowisko innym, bardziej zewnętrznym warunkom współczesnej twórczości literackiej.

Wiadomo, jak olbrzymio i jak szybko wzrosło zapotrzebowanie jej wytworów w ciągu obecnego wieku. Wskutek rozpowszechnienia się oświaty czytelnictwo ogromnie się pomnożyło, handel księgarski coraz bujniej się rozwijał. A jaki rodzaj literatury najłatwiej mógł zaspokoić rosnącą potrzebę czytania? Oczywiście nie poezya prawdziwa, bo ta nie umie tworzyć na żądanie, ani mnożyć dowolnie swych płodów; poważne piśmiennictwo naukowe niewielu liczy zwolenników i wymaga mozolnej pracy tak ze strony autorów, jak i czytelników. A tu chodziło właśnie o taką literaturę, którąby dostarczyła jak najwięcej nowości, mogących służyć za lekką rozrywkę nie tylko poważnym, wykształconym umysłom, lecz także pospolitym i pozbawionym wyższej kultury. Temu zadaniu tylko powieść prozaiczna w zupełności zdolną była sprostać. Jej forma swobodna,

osiągająca taką doskonałość artystyczną w dziełach prawdziwych mistrzów, dostępną jest również wszelkim nieudolnym i miernym talentom. Cóż się to bowiem nie mieści pod szeroką i luźną szatą prozy powieściowej? niedorzeczność lub płytkość myśli, pospolitość uczuć, ubóstwo fantazyi — wszelkie te i tym podobne ułomności umysłowe jakże wygodne pod nią znajdują ukrycie! To też od chwili, gdy potok powieściopisarstwa roztoczył swe fale w dziedzinie nowożytnego piśmiennictwa, wieleż to miernoty i banalności spłynęło doń ze wszystkich pochyłości świata literackiego? Zbytecznem jest rozwodzić się nad tą stroną naszego przedmiotu, znana ona jest powszechnie i omawiana była wielokrotnie; chodzi tylko o to, jaki ona wpływ wywarła na rozwój nowożytnego powieściopisarstwa. Owóż niewątpliwą jest rzeczą, iż przyczyniła się niemało do spopularyzowania go pośród ogółu czytelników, a tem samem posłużyła skutecznie do ugruntowania jego wszechwładztwa.

Ogół ludzki zawsze lgnie do wszelkiej pospolitości; za jej pośrednictwem najłatwiej i najprędzej pozyskać można wziętość powszechną. Rzeczy wyborowe powoli i stopniowo zdobywają sobie uznanie, miernoty, jeśli tylko zręcznie schlebiają panującym opiniom i gustom, natychmiast pociągają masy. To też w epokach, w których te ostatnie przeważny wpływ wywierają na rozwój kultury, twórczość literacka z konieczności musi się spospolitować i stać się polem popisu dla miernych talentów. Tak się też dzieje za naszych czasów. Szeroka, demokratyczna publiczność zastąpiła dzisiaj miejsce dawnych monarszych i arystokratycznych protektorów literatury. Niewątpliwie ta ostatnia zyskała wiele na takiej zamianie, ale czy nie poniosła i strat pewnych? Dawniej miała wielu panów, obecnie ma tylko jednego w postaci czytającej publiki — ale czyż ten mniej jest kapryśny i mniej despotyczny od tamtych? a czy dorównywa im poziomem kultury? Zapewne, władza jego nie tak bezpośrednio daje się uczuć. Osobiście każdy pisarz więcej ma dziś swobody i wolny jest od obowiązkowych pochlebstw; jeśli posiada wielki talent, może nawet opanować umysły tłumu, narzucić mu swe przekonania, podniecić go i uszlachetnić swym wpływem. Tylko, że ta królowa publiczność tak niewybredna jest w wyborze sług swoich, tylu niegodnych obdarza swymi względami. Jej ministrowie nadworni, księgarze i nakładcy, chcąc zapewnić sobie stałe względy wszechwładnej pani, pociągają do jej usług osobistości, gotowe schlebiać wszelkim jej kaprysom, najpospolitszym gustom i najniższym instynktom. A co najgorsza nawet, prawdziwe i wybitne talenty dają się użyć do podobnych celów. Wieleż to szkód

przemysł literacki przyniósł nowożytnej kulturze umysłowej! Wieluż znamienitych pisarzy nadzieją łatwego zysku i rozgłosu skusił do służenia nieczystej sprawie. Rozwija on swą działalność wyłącznie prawie na polu powieściopisarstwa i tutaj osiąga główne swe zdobycze, starając się jednocześnie we własnym interesie o jak największe rozszerzenie zakresu twórczości powieściowej i zapewnienie jej jak najdonioślejszych wpływów na umysły ogółu.

Wszystkie wymienione wyżej czynniki, powodujące rozwój powieściopisarstwa nowożytnego, działały w Europie od początku obecnego stulecia, t. j. od czasu przewrotów rewolucyjnych, przekazanych nam przez wiek ubiegły; ale oczywiście działanie ich nie zawsze w jednakiej objawiało się mierze i nie odrazu dało się uczuć w pełnych swych skutkach. Bezpośrednio po wielkiej rewolucyi, gdy grunt społeczny drżał jeszcze od ponawiających się wstrząśnień, kwitło na niem bujne życie wewnętrzne w postaci nader wygórowanych pragnień i aspiracyi. Były one odgłosem tych podniosłych dążeń humanitarnych, które daremnie szukały urzeczywistnienia w działalności praktycznej. Spotkawszy się tam z dzikiem wyuzdaniem instynktów zwierzęcych, cofnęły się do wnętrza dusz ludzkich, gdzie żyły w postaci jasnych i czystych ideałów, znajdujących zewnętrzny swój wyraz we wspaniałej twórczości poetyckiej, jednej z najbogatszych i najżywotniejszych we wszechludzkiem życiu umysłowem. Atoli obok niej proza opowiadająca coraz więcej poczęła zyskiwać na znaczeniu, pozostając zresztą w bardzo blizkim stosunku do poezyi i nawskroś przesiąknięta jej żywiołami. Jednym z najpierwszych objawów tej nowej literatury prozaicznej była, jak wiadomo, historyczna powieść Walter Scotta i jego naśladowców. Stanowiła ona nader znamienny objaw ówczesnego nastroju umysłów i wynikła ze zwrotu ku średniowieczczyźnie, tak bezwzględnie zaprzeczanej poprzednio w teoryach racyonalizmu zeszłowiecznego, a tępionej przez praktykę dążeń rewolucyjnych.

Natężona działalność, zwrócona w jednym kierunku, wzbudziła potężną reakcyę, która w sferze umysłowej objawiła się pod postacią tęsknoty do przeszłości średniowiecznej, a niekiedy uniesienia i zapału dla wzniosłych jej ideałów. Wielka poezya romantyczna naszego wieku niemało soków żywotnych zaczerpnęła z tego zwrotu reakcyjnego, ale mogła go jedynie odbijać w sferze liryzmu — w uczuciach i tęsknych pragnieniach, rwących się ku średnim wiekom. Odtworzenie treści ich przedmiotowej w poetyckiem obrazowaniu niemożliwem było już z tego względu, że wątek żywej ich

tradycyi przerwany został przez burze rewolucyjne. A z takiego wątku snuje swe natchnienie wszelka prawdziwa poetycka epika; skoro go zbraknie, wtedy na podstawie umiejętnego zbadania przeszłości powstaje bądź sztuczny jej obraz w poezyi, bądź też prozaiczna o niej opowieść, mogąca zawierać wiele poetyckiego odczucia, ale pozbawiona wyraźnych poetyckich zarysów i kształtów. Do pierwszego rodzaju należą liczne epopee w stylu pseudo-klasycznym, do drugiego nowoczesna powieść historyczna, zapoczątkowana tak świetnie przez Walter Scotta.

Przez długie lata panowała ona przeważnie w literaturze europejskiej. I obecnie nie brak jej zwolenników, ale pierwszego miejsca musiała ustąpić oddawna innym rodzajom twórczości powieściowej. Bystry prąd życia współczesnego nie pozwalał zamykać się we wspomnieniach przeszłości. Przeróżne fakta i zjawiska, idee i aspiracye bieżącej chwili z nieprzepartą siłą cisnęły się pod pióro powieściopisarza i narzucały się jego myśli, uczuciu i fantazyi. Francya, będąca głównym punktem wyjścia wszystkich nieomal prądów cywilizacyjnych naszego wieku, i w dziedzinie odbijającego je powieściopisarstwa naczelne zajęła miejsce. Tam najprzód powstały i wyrobiły się najważniejsze jego rodzaje: powieść obyczajowu, społeczna, psychologiczna w różnych swych odmianach i kształtach. W pierwszej połowie obecnego stulecia francuscy jej mistrze posiadali prawie nieograniczone panowanie nad całą literaturą europejską. George Sand, Balzac znaleźli czytelników i naśladowców od wybrzeży Renu aż do gór Uralskich.

Genialna kobieta, nosząca pierwsze z tych imion, przeniknięta nawskroś, duchem romantyzmu, ukazuje się jeszcze jako prawdziwa poetka, pełna natchnienia i świeżej wrażliwości uczuciowej. Ale nie była to bezpośrednia wrażliwość prawdziwego epika. Autorka francuska zwracała się z upodobaniem nie tyle do samych zjawisk życiowych, ile do unoszących się nad niemi idealnych aspiracyi, do rozlicznych doktryn społecznych i zapędów reformatorskich współczesnej epoki. Wierzyła niezłomnie w możność ich urzeczywistnienia i oparta na tej wierze snuła piękne i wzniosłe marzenia, obłócząc je w tęczowe barwy swej bujnej fantazyi. Utwory, wynikające z podobnego nastroju, miały w sobie niewątpliwie wiele poezyi, ale nie tej czystej, kryształowej poezyi, co tryska z duszy ludzkiej jak źródło wodne z łona ziemi, lecz poezyi, zmieszanej z licznymi pierwiastkami refleksyi, zamąconej zwątpieniem i zwracanej przez doktrynę w kierunku oderwanych zasad i dążności.

Wielki współzawodnik autorki „Indiany", głębokomyśl-

ny Balzac, zupełnie inny zwrot nadał rozwojowi powieści nowoczesnej. On pierwszy ściągnął ją stanowczo z wyżyn idealnych, po ziemi kazał jej chodzić i śledzić pilnie różne zakątki życia. W swoich licznych utworach pozostawił pewnego rodzaju zoologię człowieczeństwa, w której przeróżne odmiany gatunku „homo sapiens" starannie zostały rozklasyfikowane i ukazane w dosadnych a ścisłych opisach. Od niego datuje się rozkwit powieści czysto prozaicznej, w której dokładna obserwacya zajęła miejsce wrażliwości poetyckiej, a natchnienie twórcze zastąpione zostało przez umiejętną i systematyczną pracę.

W następnych czasach aż do obecnej doby ten rodzaj powieści coraz większe zdobywał sobie znaczenie i wpływ coraz donioślejszy. Głównem polem jej rozwoju była i nadal Francya. Znakomici jej pisarze, jak Flaubert i bracia Goncourt'owie, z właściwą umysłowi francuskiemu konsekwencyą i jasnością myśli oraz z olbrzymim nakładem pracy rozwinęli dalej tę powieść prozaiczną, wydoskonalili do najwyższego stopnia jej metody i formy artystyczne i dali Europie naszych czasów całkiem nowy rodzaj literatury powieściowej, nie mający żadnych prawie wzorów w przeszłości, a odpowiadający doskonale usposobieniu i potrzebom nowoczesnego społeczeństwa.

Równoczesny postęp kultury materyalnej, wzrost przemysłu, rozkwit nauk przyrodniczych oraz wiedzy i filozofii pozytywnej współdziałały temu rozwojowi. Powieść zbliżała się coraz bardziej do rzeczywistości życiowej i szukała oparcia w dokładnej obserwacyi i naukowem nieomal badaniu rozlicznych jej zjawisk. Postępując ciągle w tym kierunku przechodziła różne fazy kolejne, w których oddalała się coraz bardziej od wszelkiej idealizacyi poetyckiej, stawiając sobie za cel jedyny zdobycie ścisłej prawdy rzeczywistego bytu. Takim sposobem powieść realistyczna przeobraziła się stopniowo w naturalistyczną, a ta ostatnia w twórczości Emila Zoli wystąpiła z pretensyą do miana doświadczalnej. Ta osobliwa nazwa, w sposób tak sztuczny i wcale nieścisły przyczepiona do literatury powieściowej, daje poznać dążności głównego jej prądu, wypierającego się wszelkiego pokrewieństwa z natchnieniem poetyckiem, a natomiast pragnącego uchodzić za pewien rodzaj nauki o życiu, za zbiór dokumentów życiowych, nagromadzonych przez umysł badawczy, uporządkowanych wedle ścisłej metody naukowej, a ukształtowanych przez działalność fantazyi twórczej. Królowa fantazya, tak wyłącznie niegdyś panująca nad umysłami ludzkimi, następnie czczona, jako potężna, samoistna władza w wieszczych natchnieniach poetów — za naszych dni zniżona została do roli pomo-

cniczego środka w pracy literackiej i uznana za pokorną służkę trzeźwej refleksyi i ścisłej obserwacyi.

Oczywiście, literatura powieściowa, wsparta na takich wyobrażeniach, z konieczności musiała się znaleźć w antagonizmie z poezyą, a nawet dojść do kategorycznego zaprzeczenia jej racyi bytu. Zaparłszy się swego pochodzenia poetyckiego i wyrzekłszy się dobro wolnie swobody i praw, jakie ono jej zapewniało, tem mniej mogła być skłonną do przyznania ich innym potomkom wspólnej matki poezyi. Jakoż najznakomitszy przedstawiciel powieści naturalistycznej, wspomniany poprzednio Zola, uznaje ją za jedynie uprawniony rodzaj literatury pięknej: wszelką poezyę poczytuje za niepotrzebną, a nawet szkodliwą, co najwyżej zaś naznacza jej podrzędną rolę orkiestry, przygrywającej przy zajęciach i trudach poważnej pracy społecznej.

Taki pogląd jest stwierdzeniem i ulegalizowaniem wszechwładztwa literatury powieściowej, która pojęta tu została, jako wytwór umiejętnej pracy, pozostającej w zasadniczem sprzeciwieństwie z wszelką twórczością, wynikającą z porywów natchnienia lub swobodnej gry fantazyi. Jest to w zakresie literatury ostateczny wyraz dążeń współczesnego mieszczaństwa, które, wzrósłszy wytrwałą pozytywną pracą — w niej widzi jedyny czynnik życia ludzkiego godny uznania i szacunku. Obok tego można tu dostrzedz krańcową reakcyę przeciw dwu poprzednim kierunkom duchowego życia Europy: przeciw wygórowanemu kultowi piękna epoki klasycyzmu francuskiego oraz wzniosłym porywom natchnień romantycznych. Powieść współczesna w teoryi i praktyce zaprzecza obu tym wielkim prądom przeszłości i przeciw wymaganiom ich wytwornym lub górnym wzlotom stawia praktyczne i utylitarne zadania współczesnej epoki.

Wszelako może tu ktoś zauważyć, że realizm Flaubert'a i Zoli nie stanowią jeszcze wszystkiego w powieści współczesnej. Poza granicami tych nowożytnych doktryn estetycznych i niezawiśle od nich rozwijają się różne rodzaje twórczości powieściowej, cieszące się uznaniem powszechnem. Jest to niewątpliwą prawdą, ale, z drugiej strony, któż zdoła zaprzeczyć, że oba wspomniane kierunki stanowią najbardziej charakterystyczne objawy naszego powieściopisarstwa i najdobitniej wyrażają jego wewnętrzną naturę i dążności zasadnicze? Wogóle objawy krańcowe w jakimkolwiek zakresie działalności ludzkiej dają najlepiej poznać to, co stanowi najistotniejszą jej treść i istnieje we wszystkich jej zjawiskach, tylko bardziej w nich ukryte i pomieszane z żywiołami odmiennej natury.

Cała nasza powieść nowoczesna realistyczna jest przeważnie nieskłonna do idealizacyi poetyckiej, wysnuta raczej z rozmyślnej pracy, aniżeli z samorodnego natchnienia.

Oto weźmy np. powieść psychologiczną, która wprowadzona na początku obecnego wieku przez Stendhal'a, następnie zapoznana w ciągu lat kilkudziesięciu, za naszych dni doczekała się pełnego rozkwitu i coraz większe budzi zajęcie. Jest ona przeważnie płodem refleksyi i analizy. Niektórzy tylko jej przedstawiciele: mianowicie znakomici powieściopisarze rosyjscy — Dostojewskij, Tołstoj, a poniekąd i Turgieniew — odtwarzali psychiczne stany swych bohaterów na podstawie bezpośredniego, a nader żywego ich odczucia; dla innych stanowiło ono tylko punkt wyjścia niezmiernie zawiłych i subtelnych badań analitycznych.

Cały niepokój wewnętrzny dusz współczesnych, ich nadczułość nerwowa, gorączkowy sceptycyzm i wynikające stąd nieustannie poszukiwanie nowych dróg życia jakże wiernie odzwierciedlają się w tym rodzaju powiościowym. Czysta, prawdziwa poezya nigdy nie mogłaby ich wyrazić. Ów chaotyczny zamęt uczuć, myśli i wrażeń nie daje się ująć w harmonijny całokształt artystyczny, a żaden z tych żywiołów nie posiada dość siły, aby wybuchnąć nazewnątrz porywem twórczego natchnienia; tylko refleksyjna a baczna niezmiernie obserwacya zdolna jest uchwycić te bezładne, często tak drobne, niedostrzegalne prawie poruszenia duszy, a jedynie w luźnej i dowolnej formie powieściowej wszystkie powikłane ich zwroty i zagięcia mogą znaleźć wierne odbicie. Powieść psychologiczna służy niejako za uzupełnienie realistyczno-obyczajowej, obie są znamiennym objawem nowożytnej twórczości literackiej i dążą do przedstawienia z możliwą ścisłością całej rzeczywistej prawdy życia, zarówno z wewnętrznej, jak i z zewnętrznej jego strony. A obok tych specyficznych typów nowożytnego powieściopisarstwa jakaż w nim nieskończona mnogość przeróżnych form, odziedziczonych po przeszłości! Wszelkie rodzaje opowiadania prozaicznego, jakie kiedykolwiek były uprawiane, dzisiaj znajdują swych przedstawicieli. To też powieść ogarnęła i, można powiedzieć, wyczerpała do dna cały ogół zjawisk życiowych. Znaleźć w niej można wszystkie te, które niegdyś odźwierciedlały się w opowiadaniach i pieśniach poetyckich, a obok tego mnóstwo innych zupełnie im obcych. Wszelkie drobiazgi życia, cała jego banalność i pospolitość, z obojętnością lub wstrętem pomijane przez prawego syna Apollina, dla adepta kunsztu powieściowego posiadają swoje znaczenie. Powieść dzisiejsza, podobnie jak sztuka fotograficzna, odbija nieomal wszy-

stko, co tylko istnieje, a najczęściej, tak samo, jak fotografia, daje nam tylko bezbarwne, szare odbicie najpospolitszej powszedniości życiowej.

Jakie jest jej znaczenie dla dzisiejszego społeczeństwa? jakie wpływy dodatnie i ujemne? Są to kwestye, o których wiele już powiedziano i wiele jeszcze powiedziećby się dało, tutaj zlekka tylko zostały one dotknięte, gdyż zakres niniejszego szkicu nie pozwala na wyczerpujące ich rozpatrzenie. Chodziło mi głównie o wyjaśnienie przyczyn wszechwładnego panowania literatury powieściowej w naszych czasach. Z uwag powyższych wynika, iż, jakakolwiek ona jest i bez względu na wszelkie możliwe jej zasługi i grzechy, musi być poczytywana za naturalny i konieczny objaw współczesnego rozwoju literackiego. Jak wzniosła liryka hebrajska wpłynęła z głębi religijnych uczuć ludu wybranego, a klasyczny epos był objawem heroicznej energii dawnych Hellenów, jak tragedya grecka lub dramat Szekspira ukazują pełne wyrobienie indywidualne dwu wielkich narodów: podobnie nasza powieść prozaiczna odbija w sobie wiernie cały różnolity byt społeczny nowoczesnej Europy, na którego wytworzenie złożyły się niezliczone zmiany i wstrząśnienia dziejowe oraz wywołany przez nie wyjątkowo szybki i wszechstronny rozwój cywilizacyjny.

Starożytna epika podobna była do rzeki, toczącej majestatycznie swe fale przez obszary wieków: do niej spływały wszystkie źródła i strumienie natchnienia twórczego, jej wody dostarczały ożywczego napoju niezliczonym pokoleniom ludzkim. Nasza nowożytna epika jest, jako niezmiernie skomplikowany system sztucznych kanałów, tylko gdzieniegdzie zasilanych świeżą wodą źródlaną. Napój, w ten sposób otrzymywany, może zaspakajać właściwe obecnym pokoleniom nieustanne pragnienie wrażeń i rozrywek umysłowych, ale rzadko kiedy zdoła orzeźwić ich serca i dusze.

Czyż społeczeństwo europejskie i w przyszłości ma zadawalać się jedynie takim napojem? Czy nigdy nie trysną mu świeże zdroje poezyi? Próżne to obawy! Zdroje poezyi niewyczerpane są w łonie ludzkości, jak zdroje wodne w łonie ziemi. Te ostatnie powstają z cząsteczek wody, rozproszonych w przestworzu powietrznym — tamte z pierwiastków duchowych, unoszących się w atmosferze moralnej życia, jedne i drugie wtedy tylko mogą trysnąć świeżym i przejrzystym strumieniem, gdy przenikną do głębi i, sącząc się przez różne pokłady ziemskie lub życiowe, oczyszczone zostaną z wszelkich zewnętrznych przymieszek. Owóż żywioły ducha nowoczesnego nie zdołały dotąd przedostać się do głębin życia;

płyną po jego powierzchni, zmieszane chaotycznie z prądami realnych dążeń ludzkich. Daremnieby szukać stałych i jasnych ideałów życiowych; są tylko jakieś chwilowe cele i przemijające zadania, spowite w mgły zwątpienia i rozjaśnione tylko bladem światłem oportunizmu praktycznego.

Dopóki taki stan rzeczy wszechwładnie panować będzie, czyste zdroje poezyi nie wytrysną na niwie literatury pięknej, a twórczość jej szukać musi ujścia w niezliczonych kanałach prozy powieściowej, często tak płytkich i mętnych. Ale przecież ten nastrój umysłów nie może trwać wiecznie. Dzieje nas uczą, że epoki sceptyczne były tylko przejściem do nowych wierzeń i nowych ideałów. Doba obecna posiada wszystkie znamiona okresu przejściowego. Tyle w niej zaszło zmian i przeobrażeń, że społeczeństwo europejskie nie jest w stanie wchłonąć odrazu naniesionej przez nie masy nowych żywiołów. Więc waha się i wątpi, szuka dróg i kierunków właściwych, a tymczasem wytrwałą pracą i działalnością przygotowuje sobie grunt do dalszego rozwoju.

Powieść nowoczesna ukazuje nam wierny obraz tej tymczasowości naszego życia, tego zamętu wewnętrznego w duszach dzisiejszych ludzi i natężonej ich energii, zwróconej nazewnątrz. Jej obecne wszechwładztwo, jako oparte na przejściowym stanie cywilizacyjnym, nie może być wiecznotrwałe i skończy się z chwilą, w której społeczeństwo europejskie osiągnie pełniejsze wyrobienie umysłowe, moralne i estetyczne na gruncie nowożytnej kultury. Gdy na horyzoncie życia zabłysną światła pozytywnych ideałów, uczucia osiągną skupienie wewnętrzne, a zmysł artystyczny rozwinie się w masach społecznych, wtedy na nowo zbudzić się musi czysto natchniona poezya i odzyskać panowanie nad umysłami, które w obecnej dobie całkiem prawie utraciła na rzecz wszechwładnej prozy powieściowej.

Kiedy to nastąpi, nikt dzisiaj nie zdoła przewidzieć. Sądzę jednak, że mamy wszelkie prawo żywić podobne nadzieje, jeśli tylko wierzymy w postęp i udoskonalenie wewnętrzne ludzkości europejskiej. W przeciwnym razie należałoby przypuścić, że czeka ją los Chińczyków, którzy, od wieków trwając w stanie bezdusznego i skostniałego filisterstwa, w trzeźwej prozaicznej literaturze powieściowej znajdują pono jedyne odbicie swego bytu, swych obyczajów, pragnień i dążności.

Jeżeli jednak słusznem jest oczekiwać i pragnąć ograniczenia wszechwładzy powieściopisarstwa nowoczesnego, to oczywiście odnosi się to jedynie do efemerycznych i nieudolnych jego utworów,

zalewających obecnie niwę literatury nadobnej. Atoli obok tych wydaje ono dziś, jak i po wszystkie czasy, dzieła trwałe, niespożytej wartości, zrodzone nie z ciasnej doktryny, ani z wyrachowań przemysłu literackiego, lecz z natchnień prawdziwego talentu, z tej tajemnej mocy twórczej, która, wedle wyrażenia Słowackiego, szepce do ucha nigdy niesłyszane wyrazy i ukazuje oczom niewidziane nigdy postaci. Takie dzieła zachowają zawsze swoje znaczenie, niezależnie od zmiennych prądów mody lub czasowych gustów i upodobań czytającej publiczności. One tylko przejdą do potomności i roztoczą przed nią rozległy a barwny obraz obecnego naszego bytu, podczas gdy wszelkie blade, fotograficzne jego odbicia, nagromadzone w płodach różnych miernot dzisiejszych, legną w zapomnieniu, podobnie jak zapomniane zostały liczne wytwory niedawno jeszcze tak głośnych, a dzisiaj całkiem już przebrzmiałych kierunków twórczości powieściowej.

*Walery Gostomski.*



# Z NIEZNANYCH AUTOGRAFÓW
# ADAMA MICKIEWICZA.

## I.

## LISTY DO RÓŻNYCH OSÓB.

Pomimo kilkakrotnych wydań i starannego poszukiwania listów wieszcza, korespondencya jego nie jest zupełną i w całości ogółowi znaną. Wiemy o listach, będących w ukryciu, lecz dla wielu względów nie nadających się jeszcze do druku. Wiele też być musi rozproszonych po świecie takich, które może nigdy nie ujrzą światła dziennego. Nie sądzimy, ażeby to były dokumenty pierwszorzędnego znaczenia, owszem, mogą to być kartki pisane w rzeczach małej wagi, nie jedna z nich przecież wyjaśnićby zdołała jakiś fakt nieznany, ustalić datę wątpliwą lub uzupełnić jakikolwiek brak w życiorysie poety. Za przykład służyć może kilka poniższych listów, zebranych różnymi czasy, w różnych miejscach i u różnych ludzi. Napozór są one może zbyt błahe i niegodne zwrócenia na nie szczególniejszej uwagi, w rzeczywistości jednak ciekawe są i zajmujące, tak, jak ciekawym jest każdy szczegół najdrobniejszy z życia wielkiego człowieka; pochodzą one z różnych epok i zaznaczają różne chwile jego działalności.

1. Najwcześniejszym z tych, które mamy pod ręką, jest pisany na skrawku zwyczajnego papieru, z czasów pobytu Mickiewicza w Wilnie:

„Monsieur.

Napróżno czekałem wczora dzień cały, dziś sambym poszedł, ale mie chrypka od rana w domu trzyma. Jeżeli możesz (a zapewne możesz), zabież do mnie na chwilek kilka.

A. Mickiewicz.

Na drugiej stronie adres:

„A. Monsieur Balbiani
Docteur en Médicine".

Konstanty Balbiani był potomkiem rodziny włoskiej, oddawna na Litwie osiadłej. Urodził się w Wilnie, gdzie też uczęszczał do szkół i uniwersytetu. W roku 1819 otrzymał stopień doktora medycyny. Jako stypendysta rządowy, dosłużył się stopnia vice-dyrektora departamentu lekarskiego w Petersburgu [1]).

2. Drugi list sięga czasów petersburskich i zaznacza troskę oraz starania poety o rozprzedaż tylko co wyszłych dwu tomów jego poezyi.

„St. Petersburg, 7 Marca [1829] [2]).

Wielmożny Mości Dobrodzieju.

Udaję się znowu do znanej mi i nieraz doświadczanej życzliwości W. Pana Dobr. i bez dalszych przedmów lub groźb i przeproszeń posyłam W. Panu Dobrodz. exemplarze nowo wyszłego dzieła mego do rozprzedania. W pace znajduje się exemplarzy czterdzieści, każdy w dwóch tomach. Dwa tomy kosztują rubli srebrem cztery lub assyg. piętnaście. Jeden exemplarz racz W. Pan Dobrodz. na pamiątkę zatrzymać. Wkrótce jeszcze prześlę exemplarzy sześćdziesiąt dla dopełnienia liczby stu. Niech się u Pana powoli rozprzedają, pieniądze odeślesz, kiedy się kilkaset rubli zbierze.

Racz W. Pan Dobrodziej donieść w kilku słowach o odebraniu exemplarzy. Listy adresować: Marijanu Stanisławowiczu Piaseckomu na Galernoj w domie Cariewicza Gruzinskago.

Przyjmij zapewnienie szacunku, z którym zostaję sługą najniższym

Adam Mickiewicz

W. Szybińskiemu".

---

1) Wielka Encyklopedya Powszechna illustrowana. T. V, str. 763.
2) Wyrazy w klamry ujęte dodane są przeze mnie.

Wydanie petersburskie ukazało się w pierwszych dniach lutego roku 1829; na ten więc rok przypada list powyższy. O liście zaś tym i o wysłanych Szybińskiemu książkach znajdujemy wzmiankę w „Rachunkach kosztów i przychodów drugiego wydania poezyi Adama Mickiewicza". Pod dn. „24 maja t. r. podano wiadomość: „Do Szybińskiego pisałem"; w „Rozchodzie pod d. 8 marca: „przez Strumińskiego do Szybińskiego do Kijowa posłał z listem Rybczyński egzemplarzy 40, Szybińskiemu prócz tego 1 (egz.). Następnie pod d. 17 maja t. r.: „Do Szybińskiego 50 (egzemplarzy) [1]).

Oryginały obu tych listów znajdują się w bibliotece ordynacyi hr. Krasińskich w Warszawie.

Petersburskich czasów sięga również urywek z listu do Odyńca, będący własnością p. Zygmunta Wolskiego w Warszawie. Na skrawku papieru znajdujemy z jednej strony zakończenie listu pisanego, ile mi się zdaje, do Jana Kazimierza Ordyńca w Warszawie tej treści:

„. . . . . płacze ogromnie, że tu strasznie grasuje niemiecka (Szelinga) filozofia, więc w tym artykule trzebaby dać do zrozumienia, że jej rezultata nie są nieznane. Toby przydało wiele wziętości pisarzowi. Walerjan [2]) nie dobry, nie przysłał mi portretu Adama". Wkrótce do niego napiszę. Mój ukłon szanownemu Edwardowi [3]).

Dominik Chodźko" [4]).

3. Na drugiej stronie pomienionego skrawka pismo Mickiewicza:

„Jeśli możesz wziąć bilet na loteryę klassyczną na wszystkie klassy z góry numer 1181, tysiąc sto ośmdziesiąt pierwszy— proszono o to mnie, miałbym tu wrócone pieniądze, a ty byś albo z dochodów xięgarza odebrał, albo miał odesłane.

N.N. Jeśli teraz nie ma tego numeru, weź na drugą lub trzecią klasę".

U dołu ręką Odyńca dopisek następujący:

„Pismo własnoręczne Adama Mickiewicza, odcinek z listu jego do mnie pisanego z Petersburga do Warszawy w r. 1828. A. E. Odyniec".

Jeżeli data powyższa, postawiona przez Odyńca, jest dokładną, w takim razie byłby to jedyny list z tego czasu. W koresponden-

---

[1]) Władysław Mickiewicz: „Żywot Adama Mickiewicza". Tom I. Dodatek XXXI.

[2]) Krasiński. [3]) Antoni Edward Odyniec. [4]) Biograf i wydawca, rówieśnik i kolega Mickiewicza w uniwersytecie wileńskim.

cyi bowiem wieszcza nie znajdujemy żadnego z listów do Odyńca z roku 1828. Szkoda zatem wielka, że nie doszedł nas list ten w całości, lecz tylko kilkowierszowy odcinek.

4. Do tego czasu odnieść należy jeszcze jeden urywek listu; pisany on bowiem, jak wnieść można z dopisku, pod świeżem zapewne wrażeniem wzięcia Warny i Szumli przez Rosyan:

„..... odbierania od nas Don Juana. Jeżeliś Pani jeszcze nie przepisała duetu *la ci darem la mano*, albo jeśli inne przepisać życzysz, za dni kilka będziesz je mieć Pani. Tymczasem trzeba oddać właścicielce [1]).

Zasyłam Pani dzień dobry chociaż dżdżysty. Oświadczyć proszę moie ukłony Mamie i P. Bagińskiej.

Najniższy sługa
Adam Mickiewicz.

P. S. Byłem w niedzielę u drzwi Państwa, znalazłem dom zaparty (!), jak Warna albo Szumla i po długim stukaniu odstąpić musiałem".

Na drugiej stronie:

„Wielmożnej JPannie
Klementynie Zaleskiej
WWPan. Dobrodz.".

Panna Klementyna Zaleska, do której list ten adresowany, przebywała w owym czasie w Petersburgu wraz z matką swą i siostrą, Anną Bagińską, żoną oficera artyleryi wojska polskiego, poległego następnie w r. 1831. A celem pobytu tych pań w stolicy były starania o uwolnienie z więzienia męża i ojca, Leona Zaleskiego, obywatela z gubernii wołyńskiej, obwinionego o przestępstwo polityczne.

W domu pani Zaleskiej bywali Juliusz Korsak, Aleksander Chodźko, dr. Stanisław Morawski i inni przyjaciele, otaczający wieszcza. Listy zaś poety z Paryża i Lozanny do rodziny tej pisane przepadły w zawierusze roku 1863. Przechował się tylko w Warszawie ten urywek listu u p. Miłobędzkiego, syna pani Klementyny z Zaleskich Miłobędzkiej.

5. Z pobytu zagranicą najwcześniejszy z nieznanych listów znajduje się od niedawna w zbiorze moim:

---

[1]) Zapewne p. Marya Szymanowska, znakomita pianistka, z której córką, Celiną, ożenił się później Mickiewicz.

„Domont 18 [Juillet 1836].

Le convoi est arrivé à temps et en bon état. L'Escorte, c'est à dire M. Olivier a eu avec les belliqueux habitants de notre endroit une rencontre, dont il vous faira lui même le rapport. Nous continuons à nous porter bien et à être de belle humeur. Nous espérons toujours, que vous viendrez un bon matin nous voir, ne se soit-ce que pour prouver, que vous n'êtes pas faché de tous ces embarras, dont nous nous sommes rendus coupables envers vous.

Marie me charge de dire ou plutôt de crier mille choses à M. Robert.

Mickiewicz".

Adres:

„A Monsieur
Monsieur
David".

Liścik ten, niedatowany, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa z daty 18 lipca r. 1836, pisany był z Domont (dep. Seine et Oise) do Davida d'Angers, słynnego rzeźbiarza, z którym Mickiewicz pozostawał w bardzo przyjaznych stosunkach. Znajomość ta sięgała dawniejszych czasów, bo Mickiewicz poznał Davida jeszcze w roku 1829 u Goethego w Weimarze. David wykonał wówczas piękny medalion Mickiewicza, znany z licznych odtwarzań, a następnie w Paryżu klasyczny biust poety, znajdujący się obecnie w muzeum Ossolińskich we Lwowie.

W domu Davida d'Angers przebywał też Mickiewicz w roku 1836.

„Mieszkam teraz — pisze do Odyńca d. 18 lipca t. r. — w Domont, blizko Paryża (o pięć *lieus*) w domu naszego znajomego David, podobno i na zimę tu zostanę, bo trochę taniej niż w Paryżu. Adres mój: par Paris à Domont, maison de M. David" [1]),

Olivier w tym liście wspomniany, to zapewne krytyk francuski, który pisał o poezyach Mickiewicza w czasopiśmie *L'Europe littéraire, journal de la littérature nationale et etrangère* (Nr. 55 z dnia 5 lipca 1833 r. [2]).

Marya, to dziesięciomiesięczna córeczka poety, dzisiejsza pani Gorecka, a Robert — najstarszy syn rzeźbiarza.

---

[1]) Korespondencya Adama Mickiewicza. Paryż, 1875. T. I, str. 158.

[2]) Władysław Mickiewicz: „Żywot A. Mickiewicza. T. II, str. 217.

6. Jeszcze jeden nieznany liścik do Davida d'Angers posiada panna Marya Dynowska w Warszawie:

„Je vous attends à 9 heures, très heureux . . . connaissance de M. Nodier, dont je connais plusieurs ouvrages. Je n'ai de papier que pour vous dire ce mot et vous remercier. Tout à vous

Mickiewicz".

Na drugiej stronie adres:

„Monsieur David".

Bilecik ten przechował się na oddartej snać od listu do Mickiewicza niezapisanej kartce papieru; znajdujemy bowiem na niej adres: „A Monsieur Monsieur Mickiewicz, rue S-t Thomas du Louvre, Hôtel de Lille". Nieobojętną zaś w liście owym jest wzmianka o Karolu Nodier, wybitnym historyku, językoznawcy i romansopisarzu, którego dzieła znał Mickiewicz.

Do różnych czasów i do stosunków poety z różnemi osobami odnosi się kilka następujących bilecików, znajdujących się w bibliotece Kronenbergów w Warszawie.

7. Do księgarza Januszkiewicza w Paryżu kilka wierszy:

„10 Augusta [1841 r.].

Bracie Eustachy. — Przyjdź do mnie jutro rano, naprzykład o ósmej. Wygotuj mnie też kalendarzyk z poprawkami adresów.—

Twój życzliwy Adam".

Na tymże arkuszu adres:

„Monsieur, Monsieur Eustache Januszkiewicz
Rue de l'Echaudé Nr. 9
(Faubourg St. Germain)".

Stempel pocztowy: Août—10—1841—6-me Dist.

8. Bez daty i podanego imienia jest liścik do Kurtza, może do przebywającego podówczas na emigracyi Jana Władysława:

„Mój Bracie,

Dziś wyjeżdżam z Paryża, za powrotem jutro lub pojutrze będę u ciebie. Oby duch, któryś poczuł w sobie, był z Tobą. Twój życzliwy

Adam Mickiewicz".

Na następnej kartce adres:

„Monsieur, Monsieur Kurtz
Paris, Rue St. Hyacinthe St. Honoré".

9. Następujący list bez daty odnieść należy do samego zapewne początku Towianizmu:

„Szanowny Panie,

Pan Andrzej Towiański będzie u mnie w niedzielę, 15, o godzinie jedenastej i do kilku rodaków ma przemowić:

Przyjdź do mnie, ale nie spóźnij się

Życzliwy Adam Mickiewicz."

Na drugiej stronie adres:

„Monsieur, Monsieur Łoś[1])

o 10-ej zrana précise".

10. Jeden bilecik kilkuwierszowy do Armanda Lévy:

„Vous ai-je donné le récepissé des obligations du crédit foncier? Je ne le rétrouve plus chez mois

A. M.

Na kopercie: „Monsieur, Monsieur Lévy".

11. Na imię Edwarda Gerycza dwa bileciki polskie:

„P. Edward Gericz upoważniony jest niniejszem pismem do pożyczenia ksiąg z biblijoteki polskiej, stosując się do miejscowych rozporządzeń.

Paryż, ulica de l'Ouest, Nr. 44.

1851. Sierpnia 30. A. Mickiewicz".

W drugim liściku brak kilku wierszy od góry. Brak też adresu, lecz na dole obcą ręką dopisano słowa: do Edwarda Gerycza:

12. „..... przyszłym miesiącu. Przynieś je jeśli możesz, jutro przed dziesiątą zrana, bo muszę pół godziny później wypłatę zrobić.

Zdrowia życzę A. Mickiewicz".

1854. 11.

List ten pisany był zapewne z prośbą o pożyczkę pieniędzy, gdyż takiej samej treści bilecik znajduje się pod datą 27 sierpnia t. r., wydrukowany w tomie IV Korespondencyi wieszcza na str. 143.

13. Z chwili niepokoju o zdrowie żony przechował się następujący list do lekarza:

„Monsieur, Veuillez bien venir chez nous à huit heurs du ma-

---

[1]) Wyraz ten przekreślono. Józef Łoś, do którego list ten był adresowany, mieszkał potem w Kaliszu, gdzie był nauczycielem miejscowego gimnazyum.

tin, c'est l'heure où Madame Céline a des accès de fièvre. Elle est de retour déjà de son excursion.

Tout à vous

Adam Mickiewicz.

1851, le lundi 12. Nous vous attendons le 14 mercredi".

Na kopercie adres:

„Monsieur, Monsieur

Saillard de Raveton,

Docteur en Médicine

Rue du Bouloi Nr. 8".

*Leopold Méyet*



# KUCHNIE RUCHOME

## W WARSZAWIE.

W imię nowo rozbrzmiewającego, a przez Kościół oddawna w formę codziennej modlitwy ujętego hasła „chleba naszego powszedniego" umocniły się wszystkie dotychczasowe instytucye dobroczynne, powstały bardzo liczne nowe, niosąc pomoc tam, dokąd akcya państwowa nie dotarła. Szczególnie wydatną jest ta działalność w środowiskach miast większych, zbiorowiskach ciągle mnożącego się proletaryatu. Za ich przykładem poszła i Warszawa, szczycąca się oddawna wielką ofiarnością na polu dobroczynności publicznej. Prym wzięło tym razem Towarzystwo przeciwżebracze.

Właśnie przed rokiem przystępowało ono do założenia kuchni wzorowej przy istniejących już przytułkach noclegowych.

Przypadek pokierował rzecz inaczej.

Członek Tow. przeciwżebraczego, p. Karol Rose, zapoznał się za pobytu w Berlinie z tamtejszą instytucyą kuchen ruchomych. Powróciwszy do Warszawy, nie spoczął już, aż przy energicznem współdziałaniu ks. Chełmickiego zapadła uchwała założenia w Warszawie kuchen ruchomych. Darem 3,000 rb. na ten cel zapoczątkował p. Rose ofiarność innych osób, jak Blocha (3,000 rb.), Kronenberga (1,000 rb.), Handtków, Wertheima, zaczem posypały się i dalsze

ofiary, a ze stworzonym w ten sposób funduszem 15,000 rb. przystąpiono do wykonania dzieła.

W tym celu przerobiono odpowiednio lokal, sprowadzono z Bydgoszczy kotły i urządzenia kuchenne, jakoteż wozy specyalne do rozwożenia strawy skrzyniami o ścianach izolacyjnych tak doskonałych, że pokarmy w nich jeszcze po 36 godzinach są gorące.

Obliczenia tego racyonalnie założonego przedsiębiorstwa opierano na domniemanych danych, robiąc je z najlepszą wiarą, równą prawdziwemu zapałowi, z jakim wzięto się do rzeczy.

Nie było też dawno w Warszawie przedsięwzięcia tak wielkiego rozmiarami, a tak doniosłego dla społeczeństwa znaczenia, któreby w tak krótkim stosunkowo czasie, bo zaledwie w siedmiu miesiącach, przyszło do skutku. W marcu 1900 rzecz postanowiono — 18 października tegoż roku puszczono już pierwszy wóz kuchen ruchomych na miasto. Próba pierwsza, choć wcale z góry nie reklamowana, powiodła się: 750 porcyi litrowych grochówki po cenie 5 kop. znalazły odbiorców. Wóz wrócił do stacyi próżny. Z dniem każdym następnym wypuszczono wóz nowy stałym nowym szlakiem.

Potrawy smaczne, czysto przyrządzone, tanie, przy panującej drożyźnie węgla, znajdowały wśród biedniejszych warstw przedmieść licznych odbiorców. Szlaki, obejmujące głównie dzielnice najuboższe, wyznaczono: 1) Od mostu na Wiśle przez Dobrą i Solec aż do szlachtuza, 2) od Browarnej przez Topiel, Smolną do Czerniakowskiej, 3) przez Ś-to-Jańską, Stare miasto, Freta ku Rybakom, 4) Praga, 5) przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje Jerozolimskie aż do Żelaznej.

Z dniem każdym rosła liczba odbiorców, tak, że z końcem tygodnia rozdawano już dziennie po 3,000 porcyi, a właśnie taka dopiero cyfra jest konieczną, aby przedsiębiorstwo samo się opłacało. Rozwożono w kolejnym porządku: grochówkę, kapuśniak, kartoflankę, barszcz, krupnik; każda z tych potraw jest przyrządzona w ten sposób, że na 1000 litrów płynu używa się 90 funt. mięsa i 30 funt. kości. Pragnąc podnieść wartość odżywczą potraw i ich rozmaitość, zwrócił zarząd specyalną uwagę na rośliny strączkowe, zasobne w składniki azotowe; dołączono zatem jeszcze zupę fasolową.

Początkowy brak naczyń usunęli szybko odbiorcy sami, gdyż trąbka, odzywająca się już zdala, pozwalała im zawczasu zaopatrywać się w nie.

Zestawienie za pierwsze $1^1/_2$ miesiąca, t. j. za 12 dni października i 26 dni listopada — gdyż w niedziele i święta kuchnie jeszcze

nie funkcyonowały — dają jasny pogląd na wyniki, ze wszech miar dodatnie.

Koszta wynosiły za:

| PRZEDMIOT | Październik Rb. | Listopad Rb. | Razem Rb. |
|---|---|---|---|
| Materyały surowe i węgle . . . . | 810 | 2028 | 2838 |
| Pensye funkcyonaryuszów . . . . | 374 | 552 | 926 |
| Najem koni . . . . . . . . . . | 176 | 450 | 626 |
| Dniówka robocizny . . . . . . | 45 | 120 | 165 |
| Użycie gazu . . . . . . . . . . | 8 | 17 | 25 |
| „ wody . . . . . . . . . . | 6 | 17 | 23 |
| Na amortyzacyę urządzeń po 5 rb. dziennie . . . . . . . . . | | | 190 |
| Ogólna suma kosztów . | — | — | 4793 |

Dochody za tenże czas wynosiły:

| PRZEDMIOT | Październik Rb. | Listopad Rb. | Razem Rb. |
|---|---|---|---|
| Ze sprzedaży porcyi . . . . . . | 1350 | 3274 | 4624 |
| „ „ odpadków . . . . . | 18 | 70 | 88 |
| Ogólna suma dochodów . | — | — | 4712 |

Uwzględniając wysoko liczony procent amortyzacyjny, gdyż 25% w stosunku od wozów, zaś 10% od kotłów w łącznej kwocie 193 rb., z przyjemnością stwierdzić należy, że przez powyższy okres czasu kuchnie ruchome same przez się zupełnie się opłacały, pokrywając cały wyłożony na nie koszt.

Rezultat ten uprawniał do bardzo śmiałych horoskopów na przyszłość, tak dalece, że niektóre pisma naślepo już notowały stałe i dalej rosnące powodzenie kuchen ruchomych stereotypowemi wzmiankami, że wozy wracają do stacyi próżne.

Tymczasem tak dalej nie było. W grudniu odbiór słabnął, cyfry spadały.

Żałuję bardzo, że z powodu nie zamkniętych jeszcze obliczeń za miesiąc grudzień nie mogę podać zestawienia cyfr poglądowego. Pewnem jest jednak, że rezultat większy, oczekiwany wskutek zimna, zawiódł zupełnie, przynosząc za ten miesiąc przeszło 600 rubli deficytu.

Czemu?

„Grau ist jede Theorie", — a więc szaremi nazwać należy i pierwotne teoretyczne obliczenia zasłużonych inicyatorów. Praktyka dopiero najlepiej poucza i pozwala sprostować pomyłki lub błędy.

Na czem one polegały?

Oto przedewszystkiem mylnem okazało się wyłączne liczenie na odbiór u proletaryatu, zamieszkującego najuboższe dzielnice. Rzecz ma się wręcz przeciwnie. Najliczniejsi i najwdzięczniejsi odbiorcy kuchen ruchomych są to biedni, zamieszkujący dzielnice majętnych lub czasowo tu pracujący wyrobnicy, dla których w tych okręgach nie istnieją jadłodajnie lub restauracye odpowiedniego typu.

Pomyłka pod tym względem tak była już z góry ustaloną i powszechną, że konduktorzy wozów wręcz wypraszali się od jechania w dzielnice bogatsze. Nikt nie przypuszczał, że one właśnie okażą się wkrótce najlepszemi! Przesadnem również, a przeto mylnem okazało się dalej liczenie na masy robotników fabrycznych, którzy kuchen ruchomych nie tylko nie protegują, ale przeciwnie wręcz je bojkotują. Przed fabryką Lilpopa i Rau'a na Książęcej przechodziły całe legiony robotników fabrycznych najobojętniej mimo stojących tam w porze obiadowej wozów kuchen ruchomych. Jakby w nagrodę tej pomyłki przybyła zato sfera, na którą zarząd zupełnie nie liczył, t. j. najbiedniejsza burżuazya, biedna inteligencya (kasyerki, szwaczki, kantorowe, biedni urzędnicy, a nawet sporadycznie—studenci).

Doświadczenia te wraz z poznaniem różnorodnych wymagań odbiorców nasuwają jeszcze kilka uwag natury ogólnej.

W porównaniu z innemi odpowiedniej miary miastami Europy należy zaznaczyć, że dla podobnego przedsiębiorstwa trudno znaleźć gorszej ludności nad warszawską. Różnorodna w swym składzie, przywiązana tradycyjnie do potraw o bardzo małej wartości odżywczej (ziemniaki, ledwie licho omaszczone), kapryśna w upodobaniach, różna w zwyczajach — bywa przytem, jako ludność pracująca, wprost histeryczną w sposobie, natężeniu i ciągłości pracy. Z ogółu jej liczebnego odpada przedewszystkiem cała $^1/_3$ część w Żydach z powodów rytualnych. Ludność katolicka, robocza, pracuje w pojedyńczych dniach tygodnia najróżnorodniej,—najsłabiej i mniej liczebnie w poniedziałki, słabo w piątki i soboty. Nie zadawalnia się też strawą jednostajną, unormowaną już przedewszystkiem z tego powodu, że przeważna jej większość pości w piątki, jak również w wigilię każdego święta, tem samem i w soboty. Nie jest to jednak ogólne, gdyż

niektórzy poszczą tylko w piątki, inni znowu dodają do tego wigilie niektórych tylko uprzywilejowanych świąt — a są i tacy, którzy wcale pościć nie chcą. Jakże tu zadowolnić wszystkich? Co ciekawsze, że owi najściślejsi obserwanci postów podejrzewają postne potrawy kuchen ruchomych, nie dowierzają im i z tego powodu, choć postne, nie biorą ich w piątki! W poniedziałki, jako w dni „katzenjameru" po niedzielnych libacyach mają odbyt tylko potrawy kwaśne. Czasu trzeba było i doświadczenia, by wszystkie te właściwości poznać i umieć się do nich w miarę możności zastosować.

W dalszym ciągu zawiodły również rachuby co do większego powodzenia kuchen ruchomych w porze zimna większego, a to z powodu braków technicznych urządzenia, które z tej okazyi same praktycznie się zaznaczyły, nie będąc naprzód przewidziane.

Mrozy zamiast pomagać okazały się dla kuchen ruchomych warunkiem wprost nieprzyjaznym. Wozy nie mogą oczywiście przybywać punktualnie na swe stacye. Czekać na nie dłużej na zimnie na ulicy — nie sposób, tem bardziej, że z naczyniami wychodzą po strawę przeważnie dzieci, wysyłane przez rodziców. Nadto wskutek mrozów zmuszeni są i najbiedniejsi palić w piecach, a przy tym ogniu starają się też i gotować w domu. Dla wyrobników zaś lub przygodnych ulicznych odbiorców jest niepodobieństwem jeść potrawę na mrozie. Nasuwa się przeto potrzeba urządzenia na ten cel w kilku punktach miasta stacyi ogrzanych; łączy się z tem i kwestya naczyń dla ułatwienia odbiorcom potraw.

Oto powody, dla których w grudniu zamiast spodziewanego wzrostu dochodów zagościł niedobór. Ma on znaczenie bardzo doniosłe, gdyż wskazał na ujemne pod względem technicznym strony przedsiębiorstwa, którym też zarząd ze zdwojoną energią zaczął zapobiegać.

Zasada bardzo prosta. Wyrobiona już, pewna i stała liczba odbiorców wynosi 2,000 dziennie. Idzie zatem przedewszystkiem o to, aby ją podnieść do 3,000 co najmniej tak, aby poniżej tej cyfry nie spadała, pokrywając w całości dzienny koszt produkcyi przedsiębiorstwa, obliczony wraz z amortyzacyą na 55 rb.

W tym celu postanowił zarząd wprowadzić pewne ulepszenia; i tak dla ułatwienia odbioru liczniejszego wdrożyć na dwa nowe szlaki nowe dwa wozy, już sprowadzone, mniejsze od dotychczasowych, bo tylko 500 litrów mieszczące, jednokonne, z którymi przybywają tylko niestosunkowo już małe koszta uruchomienia i amortyzacyi. Wozy nowe wypuszczono 7 b. m. z rezultatem pomyślnym szlakami: 1) Stara poczta, Dom dochodowy, Niecała, Kotzebuego,

Wierzbowa, Plac Saski, Królewska i Marszałkowska, 2) Od ul. Berga, Jasną, Szkolną, Śto-krzyską, Placem pocztowym, Warecką, Szpitalną, Hortensyą, Bracką, Mokotowską. Zarząd wogóle zrobił doświadczenie, iż praktyczniejsze są wozy mniejsze, a liczniejsze jednokonne, niż pierwotne duże dwukonne, gdyż gęściej mogłyby krążyć.

Z zarządami fabryk nawiązał zarząd stosunki w ten sposób, że przysyła im na ich lub własne ryzyko pewną ilość porcyi w naczyniach, hermetycznie zamykanych o ścianach izolowanych, umyślnie na ten cel sprowadzonych o pojemności 50 porcyi litrowych. Kociołki te, rozwożone platformami, przywożą na miejsce przeznaczenia potrawy gorące. Fabryk odbiorczych jest dotąd sześć: Garbarnie braci Pfeiffrów, Temlera-Szwedego, Imrotha, Fabryka odlewów żelaznych Syrena, Odlewarnia Gerlacha i Pulsta na Woli i Fabryka luster Silberberga.

Na widoku są również dalsze podobne układy z Przędzalnią na Woli, z Odlewarnią Repphana, z fabryką Bormana i Szwedego, braci Buch, Norblina i Wernera, jakoteż z cegielniami podmiejskiemi na Woli. Ze wszech miar życzyćby należało, aby zarządy fabryk same ułatwiły zadanie doniosłej instytucyi kuchen ruchomych.

Dalszym sposobem ułatwienia odbioru będzie wynajęcie kilku stałych lokalów ogrzanych, gdzie i spożyć można będzie potrawę, i stale jej nabywać.

Ten też cel rozpowszechnienia kuchen ruchomych miało zaprowadzenie flaków w niedziele i czwartki. Potrawa to przez ludność ulubiona, bez zastrzeżeń cieszy się też olbrzymiem powodzeniem, gdyż za każdym razem sprzedaje się po 4,000 porcyi! Zarząd potrzebuje do tego przeciętnie 3,000 funtów flaków na jeden dzień. Ponieważ trzewia z jednej sztuki ważą przeciętnie 20 funtów, przeto dla flaków 2-razowych w tygodniu potrzeba 300 szt. wołów. W tym celu wykupują Żydzi w okolicy flaki, wskutek czego nawet na targu mięsnym warszawskim powstała specyalna haussa na flaki. Zarząd nie szczędził też trudów około bardzo mozolnego ich przyrządzenia, które trwać musi 3 dni i noce, zatrudniając 30 kobiet przy trzech razowem ich przemywaniu i przegotowywaniu. W końcu, aby zyskać zupełne prawo obywatelstwa wśród ludności, zaczął zarząd od niedawna zaopatrywać miasto również i w niedzielę, jakoteż dni świąteczne, a próby te powiodły się również bardzo dobrze.

Dzięki przedsięwziętym nowym środkom, jakoteż nieustającej, podziwienia godnej energii można żywić ugruntowaną nadzieję, że instytucya ta, jako praktyczne rozwiązanie jednego z pię-

knych problemów społecznych, rozwinie się wkrótce znakomicie, a niedobór grudniowy, jako taki, który przypadł na czas postów adwentowych, posłuży tylko za wskazówkę na okres postu wielkanocnego; działać tu jednak winno całe społeczeństwo, począwszy od duchowieństwa, które wpływem swym oświecać może ludność o znaczeniu kuchen ruchomych, jakoteż sprowadzać do właściwej miary żarliwość pobożnych w zachowywaniu postów w dniach, stale oznaczonych.

Z drugiej strony przyczynić się powinno i społeczeństwo do rozwinięcia instytucyi radą i czynem, zakupując pewną ilość bonów w osobnych, sporządzonych na ten cel, książeczkach. Zamiast dawania żebrzącym jałmużny w pieniądzach, dawajmy im bony na obiady kuchen ruchomych, a poprzemy szlachetne intencye Towarzystwa przeciwżebraczego i przyczynimy się do rozwoju kuchen ruchomych, z których prawdziwie dumną może być Warszawa, przodująca swą ofiarnością zagranicy.

*J. B.*



# KRONIKA EKONOMICZNA

## (ZAGRANICZNA).

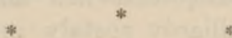
Ogólna sytuacya ekonomiczna. — Przesilenie w Niemczech: giełdą i spekulacya, krach banków hypotecznych, ministeryum niemieckie sutenerem kliki kapitalistycznej. — Przesilenie we Francyi. — Sytuacya ekonomiczna w Anglii. — Sytuacya ekonomiczna w Stanach Zjednoczonych. — Koszta wyprawy chińskiej. — Skutki ekonomiczno-społeczne wypadków na dalekim wschodzie.

*Derout* na całej linii — oto sytuacya na rynku wszechświatowym w ostatnich tygodniach XIX wieku; po pięciu zaledwie „latach tłustych" nastąpiła nadspodziewanie szybko zmiana konjunktury, i optymizm, widzący wszystko w różowych barwach, ustąpił szaremu pesymizmowi. Czy wszakże od roku 1901 pocznie się szereg „lat chudych", czy też może klęska ograniczy się na stratach doraźnych, lecz bieg ogólny, pokonawszy przeszkody napiętrzone, po krótkim czasie popędzi dalej z nową chyżością,—tego nikt przewidzieć nie może. Obok bowiem przyczyn ogólnych złożyły się na zmianę konjunktury wypadki nadzwyczajne, a przedewszystkiem zawierucha polityczna na dalekim wschodzie. Od tego więc, jakie otrzyma rozwiązanie ta pierwszorzędnej wagi kwestya polityczna, będzie zależał dalszy los ekonomiczny Europy, a tu proroctwa są

rzeczą nader niebezpieczną. Przed dwoma miesiącami liczono nawet na możliwość zwrotu ku lepszemu, opierając nadzieję na mniej doniosłej sprawie politycznej: nie tylko bowiem spekulacya giełdowa, lecz również cały świat przemysłowy oczekiwał, jak wyroczni, rezultatów wyborów w Stanach Zjednoczonych, spodziewano się bowiem, że zależnie od tego rezultatu nastąpi albo ożywienie ogromne na rynku amerykańskim, albo też weźmie górę tendencya zniżkowa, a stąd znów oczekiwano rozstrzygnięcia losów konjunktury wszechświatowej. Pogląd taki niezupełnie był bezpodstawnym. W istocie rynek amerykański wywierał w ostatnich czasach wpływ decydujący na Europę. Przedewszystkiem dlatego, że dominującą rolę zajął w ostatnich latach przemysł żelazny; było to, jak zaznaczyliśmy już raz na tem miejscu, cechą sytuacyi w ostatnim okresie rozwoju: dawniej ton nadawał przemysł tkacko-przędzalniczy, i według stanu rynku tkanin można było oceniać sytuacyę ogólną, obecnie zaś rolę tę zajął przemysł żelazny. Tu zaś Stany Zjednoczone decydują o położeniu wskutek bajecznie szybkiego wzrostu swej produkcyi żelaznej. I, jak wspomnieliśmy w swoim czasie, pierwszy dreszcz obawy przed paniką ogólną przebiegł po Europie, kiedy rozległy się wieści o zmianie konjunktury na rynku żelaznym amerykańskim i o grożącym wywozie żelaza i węgla ze Stanów celem pozbycia się tam nadprodukcyi. Lecz i pod innym jeszcze względem Stany poczęły odgrywać rolę niespodziewaną. Do niedawna był to kraj, poszukujący kapitałów; w miarę obniżania się stopy procentowej w Europie zachodniej, zwłaszcza w Anglii, kapitaliści poczęli upatrywać w przedsiębiorstwach amerykańskich najdogodniejszą lokatę kapitału: miliardy zostały inwestowane w kolejach żelaznych amerykańskich, w przedsiębiorstwach kopalnianych, hutniczych, naftowych i t. d. Teraz zaś Stany Zjednoczone po raz pierwszy stają się bankierem Europy. Na początek chodzi o sumy niewielkie: Norwegia zaciągnęła 20 milionów długu w Stanach, nowa pożyczka niemiecka w wysokości 80 milionów marek została ulokowaną w Ameryce, i rynek pieniężny Stanów okazał aię nader sprawnym. Ponieważ to zjawisko było tak niespodziewanem, musiało wywołać wrażenie niemałe w sferach handlowo-bankierskich. Wobec tej roli, jaką odegrała rzeczpospolita zaatlantycka, zależało tedy od wyborów prezydenta bardzo wiele. Gdyby zwyciężył kandydat demokratyczny, mogły nastąpić zmiany radykalne. Po pierwsze bowiem, hasłem wyborczem był dla demokratów bimetalizm; nie ulega zaś kwestyi, że z chwilą, kiedy naruszonoby w Stanach dotychczasową zasadę monetarną, zmienićby się musiała rola, jaką odgrywa

rzeczpospolita w świecie ekonomicznym. Można wątpić, czy bimetalizm okazałby się żywotnym, ale o tem wątpić nie można, że zamęt, jaki zapanowałby w stosunkach handlowych kraju, na długo sparaliżowałby rynek pieniężny, zahamowałby n a r a z i e rozwój przemysłowy. Podrugie zaś, hasłem demokratów był również protest przeciw trustom i imperyalizmowi. Należy wierzyć,że taka polityka spowodowałaby na przyszłość zbawienne skutki, lecz znów narazie spowodowałaby sparaliżowanie spekulacyi, poderwałaby nagły wybuch przesilenia. Zachowanie natomiast dotychczasowej polityki gwarantowałoby w przyszłości najbliższej „normalny" bieg interesów. Spekulacya tedy wzięła za punkt wyjścia same wybory, sprzedawano i kupowano walory, licząc na podniesienie kursów lub ich zniżkę stosownie do tego, czy zwycięzcą okaże się Mac Kinley, czy Bryan. Lecz nawet przemysłowcy czynili obstalunki z zastrzeżeniem, że wybór bimetalisty zwalnia ich od kontraktu. Tak się tłómaczy gorączkowe zainteresowanie wyborami.

Decyzya zapadła 6 listopada; zwyciężył przedstawiciel „dobrej waluty" i polityk imperyalizmu. Spekulacya na chwilę ożywiła się nadzwyczajnie, giełda zainscenizowała na cześć swego ulubieńca bajeczną orgię zwyżkową, lecz — dalsze skutki nie nastąpiły, położenie na rynku żelaznym amerykańskim jest dziś tak samo niebezpieczne, jak dwa miesiące temu. Giełdy europejskie dały się porwać na chwilę wybuchem dobrego humoru Yankesów, lecz stan rynku wewnętrznego, położenie przemysłu i handlu wnet powołało je do porządku.



Że przesilenie w Niemczech występuje już teraz zupełnie wyraźnie, to nie ulega wątpliwości. Poucza o tem każdego dnia cedula giełdowa: kurs akcyi spada nieprzerwanie, przedewszystkiem kurs akcyi przedsiębiorstw górniczych i hutniczych. Oto kilka przykładów, jak notowano (w procentach) akcye kilku miarodajnych towarzystw w połowie kwietnia i w połowie grudnia 1900 roku: Bochum 273 — 180, Konkordia 366 — 270, Harpen 241 — 170, Hibernia 255 — 191, Laurahütte 278 — 198, Schalke 770—336. Cyfry istotnie przerażające. Nie o wiele lepiej dzieje się w innych gałęziach przemysłu. Drugim dowodem jest przymusowe bezrobocie tysięcy robotników. W licznych niemieckich miastach istnieją biura stręczeń pracy, bądź miejskie, bądź korporacyjne; są to niejako „giełdy pracy"; te biura mają oficyalny organ

w czasopiśmie *Arbeitsmarkt*, i tam zestawiają cyfry o poszukujących pracy i poszukujących rąk roboczych. Z tych cyfr wynika, że na sto wolnych miejsc przypadało poszukujących zajęcia:

| | rok 1898 | 1899 | 1900 |
|---|---|---|---|
| we wrześniu . . . . . | 98,3 | 97,8 | 100,6 |
| w październiku . . . . | 104,8 | 104,9 | 120,4 |
| w listopadzie . . . . . | 135,0 | 130,9 | 158,1 |

Lecz cyfry te nie dają jeszcze dokładnego pojęcia, gdyż kryzys oczywiście nie wszędzie wybucha z równą siłą. W Karlsruhe np. już w październiku z 3669 poszukujących pracy przez biuro stręczeń znalazło ją zaledwie 1047, w Norymberdze, w Dreznie, w Hamburgu, Mannheim powtarza się to samo. W niektórych miastach już tej zimy zarząd miejski musiał przystąpić do wykonywania robót nadzwyczajnych, byle dać zarobek ludności, pozbawionej pracy w fabrykach: fakt, który już od lat pięciu nie powtarzał się.

Przed rokiem jeszcze sekretarz finansów niemieckich, von Thielemann oraz panowie Posadowski i Miquel w parlamencie Rzeszy, animując deputowanych do zgodzenia się na wydatek miliardowy celem powiększenia marynarki, malowali położenie w tęczowych barwach. Mówili oni o „świetnej konjunkturze", o „wzrastającym dobrobycie", o „zupełnem zabezpieczeniu wskutek wzrastających wraz z dobrobytem dochodów państwowych". Obecnie inaczej rzecz się przedstawia! 10 gruduia pan Thielemann, przedstawiając parlamentowi budżet na rok przyszły, używał barw szarych: finanse są w położeniu niebezpiecznem; wydatki wzrosły niepomiernie, dochody zmniejszają się — wskutek kryzysu. Pociesza się pan minister tem tylko, że przesilenie obecne nie ma tak ostrego charakteru, jak przesilenie roku 1873. Bagatela! Jest nie tak źle, jak w r. 1873, nie jest tak źle, jak podczas najokropniejszego débacle ekonomicznego, jakie pamięta świat od wieku. Pan Thielemann powinien zapytać swego kolegi, Miquel'a, — ten obecnie milczy wymownie! — o sprawy roku 1873, gdyż ten, będąc wówczas członkiem zarządu osławionego przedsiębiorstwa „grynderskiego", berlińskiego „Diskontogesellschaft", dobrze jest poinformowany i pouczyłby go, że o roku 1873 lepiej nie mówić wcale, a w każdym razie w chwili obecnej nie należy budzić wspomnień przykrych, jak zmory.

Zaledwie minęło kilka dni od owej mowy, aliści wyłoniła się sprawa, która aż nadto przypomina okres „grynderstwa". Okazało

się mianowicie, że grupa, składająca się z siedmiu banków hypotecznych berlińskich, jest mocno zachwianą. Chodzi tu o upadłość instytucyi, rozporządzających kilkudziesięciu milionami marek; a niebawem okazało się, że zaszły wprost przestępstwa kryminalne i głównych sprawców osadzono pod kluczem. Jedne i te same osobistości, zasiadając w dyrekcyi kilku banków, zawierały same z sobą tranzakcye w ten sposób, że bank A lokował kapitały swoje w akcyach banku B i odwrotnie; następnie bank B dawał pożyczki na nieruchomości, będące własnością owego banku, pożyczki, przekraczające wszelką miarę w stosunku do wartości objektu. Przez takie współdziałanie podbijano oczywiście sztucznie ceny owych nieruchomości do możliwie wysokiego poziomu, i, o ile udawało się sprzedać takowe, zyski były ogromne. Lecz jednocześnie ogromne place i liczne domy pozostały w rękach konsorcyum, figurując w stanie czynnym sumami, opartemi tylko na takich spekulacyjnych ocenach, a gdy teraz pęcherz wydęty pęka, wartości owe zostają zredukowane znacznie, hypoteki okazują się bez wartości. Przytem już od lat kilku fałszowano wykazy i wypłacano dywidendy nie z zysków, lecz z kapitału. W roku np. ubiegłym główny z tych banków, *Preussische Hypotheken-Aktien-Bank*, przy kapitale zakładowym 20 milionów marek, wykazał zysku czystego 1,846,290 marek, z czego wypłacono 164,333 marek tantyemy, drugi, *Deutsche Grundschuldenbank*, miał zysku 871,054 marek i wypłacił dyrektorom i członkom rady nadzorczej 82,750 marek. Ponieważ zaś dyrekcya i rada nadzorcza obu banków, jak również pięciu pozostałych, składała się z tych samych osób, dochody tych panów z tantyemy były wcale pokaźne. Teraz okazuje się, że zyski były fikcyjne, banki faktycznie miały w tym roku straty, nie zyski. Oczywiście na giełdzie nastąpił natychmiast „krach", wcale nie gorszy od tego, jakie bywały w roku 1875: akcye pierwszego ze wspomnianych banków notowano przed rokiem po 132 za sto, obecnie po 20, akcye drugiego — przed rokiem po 127, obecnie po 5 nie znajdują nabywców. Lecz nie tylko gracze giełdowi stracą tu miliony; w obiegu bowiem są listy zastawne i obligacye pierwszego z tych banków na sumę około 90, drugiego na 100 milionów marek, a conajmniej 100 milionów mają w obiegu pozostałe banki tego konsorcyum; akcye zaś, a zwłaszcza listy zastawne banków hypotecznych służą do lokaty drobnych oszczędności. Oczywiście jest to dopiero początek, gdyż te upadłości muszą z konieczności pociągnąć za sobą cały szereg innych, i — możemy mieć drugą poprawną edycyę krachu 1873—75 roku, jeśli chodzi o to panu ministrowi von Thielemann.

Ażeby wszakże nie brakło humoru i w tej niewesołej sprawie, należy nadmienić, że — jak donoszą pisma niemieckie — główny macher owego konsorcyum, dyrektor Sanders, aresztowany obecnie, był hojnym filantropem patryotycznym i bogobojnym. Zasilał on zwłaszcza krociowymi dary towarzystwa dobroczynne, zostające pod opieką hrabiego Mirbacha, ochmistrza królowej pruskiej, towarzystwa, których celem była budowa kościołów ewangelickich. zwłaszcza w miejscowościach, zamieszkałych przeważnie przez katolików, wznoszenie pomników zwycięstwa 1870 roku i pomników Bismarcka. Za tę filantropię został pan Sanders udekorowany wysokim orderem pruskim. Wszelako hojny fundator dawał nie gotowizną, lecz akcyami owego *Grundschuldenbank*, a akcye te miały być sprzedane dopiero w roku przyszłym, teraz zaś przedstawiają one tylko wartość makulatury. Pan Mirbach, ów wielki polakożerca i bismarkczyk, powinien: by urządzić z tych papierków całopalenie przed posągiem miedzianoczołego swego bożyszcza. Toż Bismarck kiedyś, parafrazując sławne: *Enrichez vous, messieurs!* oświadczył: *Wir wollen Millionen züchten!* Słusznie więc można spełnić taką ofiarę symboliczną, i mile w Walhalli nowożytnych Niemiec, państwa „bogobojności i czystych obyczajów", powinno łechtać nos „herosa" kadzidło, płynące z milionów grynderskich.

Ostatnie tygodnie starego wieku w tem państwie „czystych obyczajów" były świadkiem innego jeszcze skandalu. Okazało się mianowicie, że ministeryum spraw wewnętrznych, z panem *von Wehner-Pasadowsky* na czele bywa niekiedy sutenowane przez kliki kapitalistyczne. Mianowicie: rząd Rzeszy wniósł do parlamentu projekt prawa, nakładającego nowe więzy na stowarzyszenia robotnicze; parlament odrzucił projekt w pierwszem czytaniu, a wówczas ministeryum rozwinęło usilną agitacyę za tym projektem i nie zawahało się zażądać na ten cel od stowarzyszenia przedsiębiorców funduszu na tę agitacyę i otrzymało 12,000 marek. Rzecz cała wyszła na jaw, ponieważ jednemu z dzienników opozycyjnych udało się otrzymać list, kompromitujący całą sprawę, pochodzący od przewodniczącego owego związku. Oczywiście w parlamencie powstał huczek; wtedy kanclerz państwa, mający jeszcze do stracenia czyste politycznie imię, bez ogródek potępił fakt, że ministeryum pozwoliło sobie wziąć pieniądze na agitacyę od osób interesowanych, lecz w kilka dni później pan minister, przemawiając w tejże sprawie, bynajmniej nie wyraził ubolewania, lecz traktował rzecz, jakgdyby w tem sutenowaniu władz rządowych przez interesantów kapitalistycznych nie było nic nadzwyczajnego. Jeżeli zaś tak, to słusznie

można zadać pytanie: ile też rząd pruski pobiera gotówką od związku hakatystów za agitacyę forsowną przeciw Polakom, którą teraz rozpoczyna z nową zajadłością?

Fakt ów ma o tyle znaczenie ogólne, że wykazuje, do jakiej korupcyi doprowadza powstanie stowarzyszeń przedsiębiorców, które, rozporządzając olbrzymimi środkami materyalnymi, stają się państwem w państwie, działają nie tylko na gruncie ekonomicznym, lecz potrafią dla celów swoich wyzyskiwać potęgę państwa.

Dalszem zaś przyczynkiem do oceny tej kategoryi zjawisk jest sprawa stowarzyszenia przedsiębiorców żeglugi, „*Seeberufsgenossenschaft*". Stowarzyszenie to należy do rzędu tych, którym powierzono czuwanie nad wykonywaniem przepisów, ochraniających bezpieczeństwo robotników i w których ręku spoczywa ubezpieczenie robotników od wypadków kalectwa i śmierci. Wspomniane tedy stowarzyszenie nie tylko należy do owego „Związku centralnego przemysłowców", które opłacało agitacyę pana ministra spraw wewnętrznych, lecz dowiedział się przy tej okazyi świat, jak stowarzyszenia te pojmują swoje obowiązki. Mianowicie: przewodniczący tego stowarzyszeuia napisał niedawno list, w którym oświadcza, że „przepisy, mające na celu zapobieganie nieszczęśliwym wypadkom, mojem zdaniem, służą więcej ku dekoracyi, aniżeli mają cel praktyczny... Z tego punktu widzenia powinniśmy rozstrzygać każdą powstającą kwestyę przez wydanie ładnego przepisu o ochronie. Im przepis będzie niewinniejszym, tem lepiej. *Mundus vult decipi*". Pozostali zaś członkowie wyrażają w dopisku aprobatę tych wzniosłych zasad! Więcej jeszcze: do tego zarządu należał przedsiębiorca żeglugi morskiej, który donosił o zatonięciu okrętu, starego pudła, które wyprawił w podróż niebezpieczną, wysoko zaasekurowawszy, w tej formie: „Statek zatonął, załoga niestety ocalała". To niestety mówi za całe tomy! „Niestety"—gdyż, popierwsze, powstają koszta znaczne za transport marynarzy do portu ojczystego, a przedewszystkiem owi marynarze, których życiem igrano w ten sposób, mogą stać się nader niewygodnymi świadkami w ewentualnym procesie z towarzystwem asekuracyjnem. I tacy oto ludzie są mandataryuszami stowarzyszeń przedsiębiorców, którym państwo niemieckie powierza funkcye w swojem ubezpieczeniu, owym „wielkim czynie społecznym", reklamowanym na wsze strony. A pan minister wobec wykrycia takich faktów z trybuny parlamentu stara się usprawiedliwiać tych panów, gdyż — jest ich sutenerem!

W swoim czasie Rudolf Mayer w książce, zatytułowanej „Po-

litische Gründer", wskazał na związek, zachodzący pomiędzy okresem spekulacyjnym w dziedzinie ekonomicznej a pewnemi zjawiskami w życiu politycznem Niemiec. Historyka kryzysu roku 1900 czeka, zdaje się, nie mniej ponętne zadanie.

We Francyi pierwsze ostre oznaki przesilenia nastąpiły w październiku. Spadły nagle ceny na giełdzie wełnianej poczęści wskutek znacznej podaży wełny z Australii, poczęści wskutek zmniejszonego popytu w przemyśle. Te więc zakłady sukiennicze, które zaopatrzyły się były faktycznie w materyał surowy po cenach wygórowanych, poniosły straty olbrzymie, skoro konkurenci przezorniejsi lub szczęśliwsi, doczekawszy się cen nizkich, obniżyli w odpowiednim stosunku ceny fabrykatu. Przedewszystkiem zaś okazał się tu zgubny wpływ tego, że wszyscy wogóle fabrykanci francuscy dziś są spekulantami giełdowymi z zawodu. Zagalopowali się ci panowie na giełdzie, i straty, tam ponoszone, zmusiły ich do likwidacyi. W Roubaix zwłaszcza prastare firmy sukiennicze zostały zachwiane, i pomimo interwencyi banków, usiłujących ratować przedsiębiorstwa, mnóstwo fabryk zamknięto, tysiące robotników znalazło się na bruku. Był to epizod pojedyńczy, jaki w czasie ogólnej tendencyi zwyżkowej pozostałby bez dalszych następstw, teraz wszelako stał on się pobudką do ogólnego zwrotu: spekulacyę, której przed rokiem jeszcze nie była w stanie zaniepokoić zawierucha wojenna, wybuchła nagle w Afryce, ogarnął przestrach—nastąpiła powszechna niepewność, drobni spekulanci poczęli pozbywać się wszelkich papierów przemysłowych. Ucierpiały na tem zarówno akcye przedsiębiorstw francuskich, jak zagranicznych: spadły akcye towarzystwa sosnowickiego, uralo-wołżskiego i t. p.; poczęto natomiast nabywać walory państwowe: poprawił się kurs nie tylko renty francuskiej, lecz również pożyczki tureckiej, argentyńskiej i t. p. Że zaś giełda rzeczywiście nie omyliła się w swojej ocenie, o tem świadczy choćby statystyka paryskiej „Giełdy pracy", wykazująca niebywale wysoką już od wielu lat liczbę robotników, pozbawionych pracy: 41% robotników paryskich nie może znaleźć zajęcia, z liczby 140,000 robotników, zajętych przy budowlach — murarzy, cieśli, ślusarzy, kamieniarzy—pomimo wyjątkowo łagodnej zimy, pozwalającej na prowadzenie robót, bez pracy jset 72,000.

Mniejszym daleko wstrząśnieniom—jak dotąd przynajmniej—uległ rynek angielski. Przemysł angielski wskutek ostrej konkurencyi przywykł do zysków umiarkowanych, a przytem ma on tak rozległy rynek zbytu, że zmniejszenie popytu w jednym kraju odbija się zwiększonym zbytem w innym. Wskutek tych warunków

np. przemysł tkacko-przędzalniczy do ostatniej chwili był w stanie normalnym, podczas gdy rynki kontynentalne, korzystające z wysokich ceł protekcyjnych, bardzo ostro odczuły zmianę konjunktury. Bawełniaki „made in Germany” wskutek ceł ochronnych i bajecznie nizkich płac roboczych są sprzedawane drogo w Niemczech, a niżej ceny kosztów za granicami kraju, i wskutek tego mogły wystąpić do konkurencyi z wyrobami Manchesteru, ale w końcu technika angielska i wysoko wykwalifikowana praca zrobiły swoje: przemysł Manchesteru łatwiej znosi obecnie kryzysy, sprawniejszym okazuje się na rynku, niż saski lub elberfeldzki. Nie mniej przeto i angielski przemysł tkacki w ostatnich trzech miesiącach musiał liczyć się z utrudnionym zbytem. Ciekawą ilustracyę drugiego przytoczonego zdania o wyrównaniu odbytu towarów angielskich na rozmaitych rynkach daje tablica następująca, przytoczona w jednem ze specyalnych pism angielskich. Od stycznia do października wywóz angielskich maszyn tkacko-przędzalniczych przedstawiał wartość w funtach szterlingów:

| wywóz do | w r. 1898 | 1899 | 1900 |
|---|---|---|---|
| Rosyi . . . . . . | 952,190 | 1,421,583 | 946.249 |
| Niemiec . . . . . . | 846.839 | 768,390 | 722.095 |
| Belgii i Holandyi . . | 196,956 | 157,073 | 165,424 |
| Francyi . . . . . . | 550,179 | 438,021 | 650,581 |
| pozostałych krajów Europy | 818,914 | 907,786 | 1,064,582 |
| Chin . . . . . . . . | 89,369 | 177,217 | 24,066 |
| Japonii . . . . . | 260,928 | 70,116 | 109,027 |
| Stanów Zjednoczonych | 240,836 | 274.655 | 564,865 |
| Południowej Ameryki . | 97,213 | 100.188 | 108.068 |
| Południowej Afryki. . | 945 | 21,923 | 11.063 |
| Indyi . . . . . . . . | 1,068,188 | 884,900 | 506.155 |
| Australii . . . . | 16,668 | 17,552 | 14.406 |
| innych krajów. . . . . | 247,887 | 399.606 | 320.818 |
| | 5,387.112 | 5,639.011 | 5,207.399 |

Pozycye poszczególne zmieniają się tu znacznie, lecz suma ogólna ulega wahaniom daleko mniejszym. Na uwagę w tej tablicy zasługuje ogromny wzrost wywozu tych maszyn do Ameryki. Świadczy on bowiem o tem, że na nowym kontynencie wzrasta ciągle przemysł przędzalniczo-tkacki; tam powstaje dla przemysłu angielskiego rzeczywiście groźny współzawodnik.

Przemysł żelazny angielski ucierpiał silnie od konkurencyi amerykańskiej, ceny już od pół roku spadały stopniowo. Jednakże uniknął przemysł angielski ostrych wstrząśnień dzięki właśnie tej

zniżce stopniowej; fabrykanci bowiem maszyn i innych wyrobów żelaznych mogli produkować regularnie, mając pod dostatkiem materyał surowy i półfabrykaty, podczas gdy ich konkurenci kontynentalni, zwłaszcza Niemcy, byli zgoła zależni od syndykatów, które trzymały, dopóki mogły ceny półfabrykatów i materyałów surowych na wygórowanie wysokim poziomie, co doprowadziło do nagłego ograniczenia produkcyi. Wielki wpływ wywarł też na przebieg spraw w przemyśle stan rynku pieniężnego, i przyznać też należy, że bank angielski tym razem operował po mistrzowsku. Potrafił on okiełznać spekulacyę w czasie największego rozgorączkowania bezwzględnem podwyższaniem stopy dyskontowej, nie zważając na głośne sarkania, potrafił też później stopniowo redukować dyskonto i przez cały czas pozostał panem położenia. Lecz pozostaje mu do spełnienia jeszcze ogromne zadanie, które będzie ostatnim probierzem jego polityki. Chodzi o racyonalne załatwienie rachunków z rządem, któremu bank dostarczył funduszów milionowych na cele wojenne. Dotąd bowiem bank, lawirując nader umiejętnie przy wypłatach rządowych, zdołał dopiąć tego, że gotówka szybko wracała do kas banku, jednakże, jeżeli zapotrzebowania rządowe o wiele będą przekraczały dochody regularne, i bank będzie zmuszonym kredytować znaczne sumy, to łatwo może nastąpić naruszenie równowagi, z takim trudem utrzymywanej. Z tem wszystkiem zwrot w konjunkturze, jakkolwiek odbył się tu bez wstrząśnień nadzwyczajnych, zdaniem ekonomistów jest najzupełniej wyraźny.

Giełda londyńska również spokojniejszy daleko przedstawia obraz, niż giełdy kontynentalne; dni krytycznych dotąd nie zaznała wcale. Spadały wprawdzie i podnosiły się znów akcye transwaalskich i australijskich kopalń, przyprawiając o straty milionowe rzeszę drobnych spekulantów, bywały również straty pokaźne na walorach hiszpańskich, brazylijskich, argentyńskich, lecz do paniki nie doszło. Charakterystycznem jest wszakże, że „giełda giełd” zamiast dyktować arbitralnie, jak to dawniej bywało, warunki giełdom całego świata, w ostatnich miesiącach stała się zupełnie zależną od giełd amerykańskich. Przechodziła ona wraz z niemi wszystkie gorączki kampanii wyborczej, a teraz — po wyborach —wpadła w gorączkę spekulacyjną, i losy tej spekulacyi mogą się jeszcze na niej odbić złowrogo.

Jak tedy przedstawiają się sprawy za Atlantykiem? Na to pytanie odpowiedź dać nader trudno. Faktem jest, że Yankesów ogarnął obecnie szał spekulacyjny bez granic, giełda od dnia wyborów jest w bezustannym niemal usposobieniu zwyżkowem, kursa

rosną, jak na drożdżach. Lecz to właśnie utrudnia niezmiernie zoryentowanie się w położeniu faktycznem na rynku, gdyż spekulanci, a w pierwszej linii kierownicy wielkich trustów, mają wszelkie powody do ukrywania prawdy, do przedstawienia sytuacyi w tęczowych barwach. Pogłoski o olbrzymich projektach wirują, karkołomne spekulacye dochodzą do skutku, lecz czy cały ten ruch jest oparty na realnych podstawach, czy na rynku rzeczywiście istnieją warunki normalnego rozwoju,—o tem prawdopodobnie nawet kierownicy owych gigantycznych przedsiębiorstw nie mają dokładnego pojęcia. Przedewszystkiem chodzi znów o stan rzeczy w przemyśle żelaznym. Wykazy rynkowe podają w połowie grudnia wzrastające ceny, lecz czy i ile sprzedawano faktycznie po tych cenach, o tem trudno się czegoś dowiedzieć; z jednej strony donoszą o ogromnym wzroście popytu, z drugiej znów strony prasa robotnicza zaznacza fakt, że fabryki stali zapowiedziały robotnikom redukcyę płacy roboczej od pierwszego stycznia; z jednej strony zapowiadają ogromne obstalunki na relsy kolejowe, z drugiej te właśnie koleje, o których mowa, wykazują w ostatnich miesiącach zmniejszenie dochodów. Pamiętać należy, że chodzi tu o walkę nie pojedyńczych przedsiębiorstw, lecz potężnych syndykatów, walkę, prowadzoną z całem wyrafinowaniem i bez najmniejszych skrupułów, a od wyników tej walki może zależeć cały przebieg produkcyi i dobrobyt milionów ludzi. Naprzykład: od woli pana Carnegie zależy dziś, czy zechce on zniżyć ceny i zawrzeć kontrakty na dostawę tysięcy ton relsów po cenach, zapewniających jeszcze zyski ogromne, a dających możność przedsiębiorstwom kolejowym doprowadzić do skutku zamiary budowy nowych odnóg, czy też zechce obstawać przy obecnych wygórowanych cenach, ograniczać produkcyę; decyduje on tu zupełnie arbitralnie, gdyż faktycznie stanowi on o całej fabrykacyi stali. Dyktuje on dziś również prawa państwu, gdyż od warunków, jakie postawi, zależy, czy budowa nowych pancerników dojdzie do skutku, czy nie dojdzie. Podobnie znów trusty węglowe dyktują warunki kolejom żelaznym i całemu przemysłowi. Przed paru miesiącami trusty, panujące w przemyśle tutejszym i węglowym, musiały ustąpić w końcu, musiały zgodzić się na redukcyę wygórowanych bez miary cen; teraz poczęły one znów dawną gospodarkę, kierując się względami spekulacyi, każda bowiem pogłoska o zwyżce cen powoduje podwyższenie kursu akcyi, na czem trustowcy „zarabiają" olbrzymie sumy; zagarniają oni na giełdzie większe zyski spekulacyjne, niż mogliby osięgnąć przy racyonalnym biegu przedsiębiorstwa. Ci „kierownicy przemysłu", będąc zarazem spekulan-

tami giełdowymi, często mają na oku cele, wręcz przeciwne rzeczywistym interesom przemysłu. Bardzo tedy prawdopodobnem jest, że ci panowie, opanowani przez gorączkę spekulacyjną, doprowadzą po krótkim czasie do krachu niebywałego, na którym ucierpi cały kraj.

Tymczasem polityka rządu amerykańskiego po zwycięstwie partyi republikańskiej zmierza bezpośrednio do rozszerzenia jeszcze wpływu klik kapitalistycznych Imperyalizm nie napotka już teraz żadnej opozycyi skutecznej, i zaborcze instynkty mogą wywołać niejedną jeszcze zawieruchę polityczną. Ta tendencya wypowiada się wyraźnie w sposobie traktowania sprawy budowy kanału nikaraguańskiego. W „Kronice ekonomicznej" za marzec roku ubiegłego wspomnieliśmy o rokowaniach dyplomatycznych w tej sprawie pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi; chodziło mianowicie o modyfikacye traktatu, zawartego pomiędzy obu państwami w roku 1850 (traktat Clayton-Buwera), który zawierał trzy punkty kardynalne: 1) kanał może być zbudowany tylko przy udziale obu mocarstw, 2) żadne z mocarstw nie będzie posiadało kontroli wyłącznej nad kanałem, 3) kanał musi pozostawać nieutralnym zarówno w czasie wojny, jak pokoju, musi być zawsze otwartym dla handlu całego świata. Rokowania wspomniane miały na celu modyfikacyę pierwszego punktu — Stany Zjednoczone pragnęły wybudować kanał o własnych środkach. Anglia okazała się gotową do ustępstw, i w marcu roku ubiegłego doszła do skutku konwencya pomiędzy sekretarzem Stanów, Hay, a ambasadorem angielskim, Peauncefote. Konwencya ta gwarantuje Stanom prawo budowy kanału o własnych środkach i wyłącznej nad nim kontroli, jak również urządzenia policyi wojennej na brzegach kanału. Neutralność kanału jednakże została zastrzeżoną nanowo, i Stany obowiązują się nie wznosić fortyfikacyi na brzegach kanału ani w jego pobliżu. Sprawa więc zdawała się załatwioną najzupełniej na korzyść Stanów; ratyfikacya tej nowej konwencyi miała nastąpić w dniu 5 marca roku 1901. Tymczasem obecnie senat Unii przyjął bill o budowie kanału z amendement Davisa, opiewającym: Stany Zjednoczone zakupią terytoryum wzdłuż kanału i na tem terytoryum wzniosą fortyfikacye, tak, aby kanał mógł uledz ewentualnie blokadzie. W ten sposób kanał traci charakter drogi międzynarodowej, staje się cząstką terytoryum Stanów Zjednoczonych; politykom amerykańskim chodzi już teraz nie o dzieło kulturalne, gdyż to dzieło było zapewnionem przez ratyfikacye konwencyi Hay-Peauncefote, lecz chodzi o wzmożenie potęgi politycznej państwa. Czy zaś Anglia wobec

tego zgodzi się na dalsze ustępstwa, o tem wątpić należy. Tem samem sama budowa kanału może być zakwestyonowaną. Wobec tego nasuwa się nawet podejrzenie, czy czasem panowie senatorowie nie prowadzą gry podstępnej? Czy, głosując za amendement Davisa, nie mieli na celu uniemożliwienie kanału? Przeciwko bowiem temu projektowi agitują usilnie, popierwsze, towarzystwa kolejowe, łączące porty atlantyckie z portami nad oceanem Spokojnym, podrugie, eksporterzy w portach na wybrzeżu zachodniem, zwłaszcza w St. Francisco, w rękach ich bowiem koncentruje się obecnie handel z dalekim wschodem, podczas gdy przekopanie kanału ułatwi handel ten portom wschodniego wybrzeża; po trzecie towarzystwo kanału panamskiego, „*Compagnie nouvelle du canal de Panama*". Towarzystwo to, objąwszy roboty przygotowawcze dawnej kampanii panamskiej smutnej pamięci, rozporządza dziś kapitałem 65 milionów marek, i oczywiście z uchwaleniem projektu nikarugaańskiego akcye jego utraciłyby wszelką wartość. Sprawy te wyjaśnią się dopiero po terminie ratyfikacyi konwencyi Hay-Peauncefote, t. j. w kwietniu r. b.

Niemniej wyraźnie zaznacza się polityka, jaką zamierza prowadzić prezydent Mac-Kinley w billu o subwencyi dla budowy statków parowych. Subwencye takie wypłacają dziś w tej lub innej formie państwa europejskie kontynentalne; są one niejako uzupełnieniem systematu protekcyjnego, gdyż przyczyniają się do ułatwienia transportu towarów krajowych, zapewniają zyski wielkie przedsiębiorstwom żeglugi morskiej. Największą sumę dziś na te cele wydają Niemcy, bo 6,920,000 marek rocznie, lecz tu subwencya jest przynajmniej upozorowaną tem, że subwencyonowane towarzystwa są obowiązane utrzymywać komunikacyę stałą z koloniami niemieckiemi. Amerykański bill odrazu poczyna wielekroć większemi sumami: w pierwszym roku subwencye mają wynieść 2,907,000 dolarów i wzrosnąć do 9 milionów (36 milionów marek) w r. 1904. Przytem kolonialnych zadań Unia tymczasem nie ma do spełnienia, i subwencya jest poprostu datkiem dla amerykańskich przedsiębiorstw żeglugi, datkiem, umotywowanym jedynie chęcią osiągnięcia tego, aby towary były przywożone i wywożone na statkach amerykańskich. Lecz jaką korzyść osiągają stąd ci, z których kieszeni zostanie wypłacony ten datek, masy obywateli Stanów? Oczywiście żadnego, gdyż towary nie staną się ani tańsze, ani lepsze przez to, że są przewożone na amerykańskich subwencyonowanych statkach. Jest to tylko nowy krok w kierunku popierania interesów grup ka-

pitalistycznych środkami państwowymi, dalszy krok ku „imperyalizmowi”, jak go pojmują sfery kapitalistyczne.

Tymczasem zaś zostały zaprezentowane w parlamentach rachunki polityki imperyalistycznej. Wojna transwaalska kosztuje dotąd Anglię około stu milionów funtów, czyli 2½ miliarda franków i—końca tym wydatkom nie widać! Wprawdzie rząd oświadczył w parlamencie, że do kwietnia roku bieżącego nowych kredytów na wojnę potrzebować nie będzie, lecz wypadki ostatnich tygodni — sukcesy De Wetta, wtargnięcie Boerów na terytoryum angielskie, nowe żądanie posiłków przez Kitchenera — świadczą, że do końca wojny jeszcze bardzo daleko. Przytem owe 2½ miliarda franków to cząstka zaledwie strat ekonomicznych, jakie powstały wskutek niecnej polityki Chamberlaina: kraj, spustoszony wskutek barbarzyńskiej taktyki wodzów angielskich, kopalnie złota zatopione, drogi i mosty zburzone, handel zniszczony; przy najpomyślniejszych nawet warunkach potrzeba lat wielu, by południowa Afryka powróciła do dawnego stanu rozkwitu. Tych strat w przybliżeniu nawet obliczyć nie można, lecz przekraczają one bezwątpienia o dziesięćkroć wydatki bezpośrednie na cele wojenne.

Podobnie ma się rzecz z wyprawą chińską. W niemieckim parlamencie zażądano na „wyprawę Hunów” 153 miliony marek, w parlamencie francuskim 50 milionów franków, w angielskim 6 milionów funtów sterlingów, a zatem w tych trzech mocarstwach dotąd zażądano 383 miliony franków. Jednakże w parlamencie francuskim wyraźnie zaznaczono, że sumy, dotąd uchwalone, nie wystarczą bynajmniej, a wobec praktyk parlamentarnych w Berlinie i Londynie tylko bardzo naiwni wierzą, że ostateczny rachunek nie będzie wykazywał sum o kilkakroć większych. Jeżeli do tych sum doliczymy wydatki Japonii i Rosyi, które bezwątpienia będą wyższe jeszcze od wydatków niemieckich, wobec o wiele większej liczby wysłanych wojsk, oraz wydatki Austryi i Włoch, to napewno ogólna suma o wiele przewyższy miliard marek. Suma ta ma być zwróconą z odszkodowania, jakie zapłacą Chiny, lecz ta wypłata przedstawia się bardzo problematycznie. Ostatnio bowiem najlepszy znawca finansów chińskich, sir Robert Hart, w *Times* oświadcza, że odszkodowanie w wysokości 50,000 funtów sterl. (1,250,000 franków) dla Chin będzie ciężarem nadmiernym, a przecież prócz odszkodowania państw chodzi jeszcze o wypłacenie odszkodowania osobom prywatnym, które wyniesie bezwątpienia również kilkaset milionów. Z drugiej zaś strony zarysowują się już bardzo wyraźnie pokaźne wydatki stałe, jakie powstaną dla mocarstw. Mianowicie, w ogło-

szonych obecnie warunkach do rokowań z rządem chińskim punkt VII opiewa, że mocarstwa zastrzegają sobie prawo utrzymywania w Pekinie załogi celem ochrony ambasad i ufortykowania dzielnicy miejskiej, w której mieszczą się ambasady; w punkcie zaś IX rezerwują sobie mocarstwa prawo trzymania sił militarnych w pewnych punktach celem ubezpieczenia komunikacyi Pekinu z morzem. Oczywiście środki te, jeżeli nie mają pozostać czczą demonstracyą, będą wymagały utrzymania stale w Chinach załóg z kilkudziesięciu tysięcy ludzi, co pociągnie za sobą rok rocznie wydatek kilkudziesięciu milionów.

Czego zaś pod względem ekonomicznym spodziewać się może Europa po wyprawie chińskiej? Na to pytanie usiłuje odpowiedzieć pan Jan Bloch w świeżo wydanej w języku niemieckim broszurze: *Zur gegenwärtigen Lage in China* i dochodzi do rezultatów nader pesymistycznych. Powołuje się autor na szczupłość handlu zewnętrznego Chin, na brak środków komunikacyi, na nędzę, w jakiej żyje ludność, i stąd wyprowadza wniosek: „Handel chiński nie ma przyszłości", z tych mizeraków nikt nic już wziąć nie jest w stanie! Dane, na których opiera się pan Bloch, są prawdziwe; przytoczyliśmy je w swoim czasie w „Ateneum" w artykule „Kwestya chińska w oświetleniu ekonomiczno-społecznem", lecz wniosek nie jest ścisłym. Handel towarowy Chin w porównaniu z handlem europejskich państw jest minimalny, lecz ten handel najmniejszą też odgrywa rolę w planach kapitalistów europejskich. Na pożyczkach chińskich, na przedsiębiorstwach kolejowych, na wznoszeniu fabryk na dalekim wschodzie, można robić miliony, o czem wiedzą doskonale kapitaliści zachodu, i te miliony są podnietą owego głodu imperyalistycznego. Zyski z handlu chińskiego oblicza pan Bloch na $17^1/_2$ miliona franków; lecz na pożyczce chińskiej po wojnie japońskiej same tylko banki paryskie zarobiły 18 milionów! a ile zarobiły różne towarzystwa akcyjne na akcyach przedsiębiorstw kolejowych, koncesyonowanych w ostatnim czasie, obliczyć nie umiemy. Zgadzamy się wszelako z autorem, że skórka nie starczy za wyprawę, skoro na utrzymanie okrętów wojennych, subwencyi dla przedsiębiorstw żeglugi parowej, poselstw i straży przy nich Europa wydawała 120 milionów rocznie.

Proces zrewolucyonizowania stosunków na dalekim wschodzie, zastąpienia gospodarki naturalistycznej i zdzierstwa mandarynów przez gospodarkę towarową i zdzierstwo kapitalistyczne — już zaczął się w Chinach, jak to wskazaliśmy w artykule wspomnianym. Teraz zanosi się na to, że proces ten będzie odbywał się w szybszem

jeszcze tempie. Przedewszystkiem przyczyni się do tego -- dług państwowy! „Dług państwowy staje się najpotężniejszą dźwignią akumulacyi pierwotnej. Jak za uderzeniem różdżki czarodziejskiej, obdarza on nieprodukcyjny pieniądz siłą płodną i przemienia go w kapitał...” („Kapitał”, tom I, rozd. 24). I oto ten dług państwowy wzrośnie teraz znakomicie. Nie dość na tem: mocarstwa domagają się zaprowadzenia w Chinach odpowiednich reform finansowych, gwarantujących wypłatę odszkodowań i oprocentowanie pożyczek państwowych. Nie można wątpić, że te reformy będą zaprowadzone w duchu kapitalistycznym, a wiadomo do jakiego stopnia system podatkowy może przeistoczyć cały ustrój ekonomiczny kraju. Dowody tego mamy we wszystkich koloniach europejskich, zwłaszcza zaś w Indyach, gdzie zamiana danin w naturze na podatek, opłacany gotówką, przyczyniła się potężnie do przeistoczenia gospodarki naturalistycznej na kapitalistyczną. Prócz tego w punkcie XI domagają się mocarstwa zmian w traktatach handlowych, jakie uznają same za stosowne. Nie ulega kwestyi, że na zasadzie tego punktu rząd chiński będzie musiał poczynić nowe rozległe koncesye handlowi i przemysłowi, a w ten sposób drzwi zostaną otwarte naścieżaj przed kapitałem.

Powoływanie się wobec tego na „nieruchomość” rzekomą społeczeństwa chińskiego, na obyczaje, na niechęć ku inowacyom nie może wytrzymać krytyki. Społeczeństwa indyjskie, japońskie np. były tak samo „nieruchome” do niedawna, a przecież przewrót ekonomiczny uczynił tu swoje. Więcej nawet: przed laty kilkudziesięciu jeszcze taki Haxthausen, któremu zawdzięcza Zachód pierwsze dokładne naukowe sprawozdanie o stosunkach ekonomicznych Rosyi przed emancypacyą włościan, zapatrywał się podobnie na Rosyę, jak pan Bloch dziś na Chiny, a przecież... Nie, prawa rozwoju ekonomicznego dają się zastosować równie do Chin, jak do Anglii; że ludzie mają cerę odmienną i obyczaje inne, to zmienić może szczegóły przebiegu procesu, nie zmieni jego cech podstawowych, i na mocy prawa ewolucyi ekonomicznej ośmielamy się prorokować, że wcześniej czy później Chiny staną się państwem kapitalistycznem.

Lecz jeżeli tak, jakie wynikną stąd skutki? Pan Bloch woła: „Chińsko-japońska unia — *voilà l'ennemi!* Sojusz owych dwu ras żółtych jest nader groźnym, jeżeli ostatnia, mniej liczna, lecz lepiej zorganizowana, zdobędzie przewództwo nad setkami milionów ludzi. Powstałaby wtedy nagle potęga, rozporządzająca nieprzebranymi środkami militarnymi, z którymi będzie musiała liczyć się Europa.

Japonia dostarczy kadrów i organizacyi, Chiny mas, a świat cały środków finansowych; pieniądze bowiem nie znają patryotyzmu, a kredyt owego nowego cesarstwa przy dobrych odsetkach byłby wystarczającym". Pogląd to najzupełniej słuszny, z tą tylko poprawką, że, dopóki Chiny nie staną się państwem kapitalistycznem, dopóty nie mogą też stać się groźną potęgą militarną. Kapitalizm i militaryzm nowożytny warunkują się wzajem. Ale właśnie pewność, że ten rozwój kapitalistyczny odbywać się będzie coraz szybciej, każe się lękać owej perspektywy, i dlatego przed Europą XX wieku w rzeczy samej zarysowuje się groźna walka z dalekim Wschodem, uorganizowanym kapitalistycznie i militarnie.

Lecz to są kwestye przyszłości, i nie tu miejsce zastanawiać się nad niemi szczegółowo. Natomiast z owym rozwojem kapitalistycznym Chin wiąże się inna jeszcze kwestya, dotycząca najbliższej przyszłości, a mianowicie kwestya stosunku ekonomicznego pomiędzy Europą a rozwijającemi się kapitalistycznie Chinami.

Stosunek mianowicie przybierze w najbliższej przyszłości formę eksportu z Europy do Chin nie towarów, lecz kapitałów. Już dziś kapitały miliardowe, pochodzące z Europy, szukają lokaty po całym świecie — w Stanach Zjednoczonych, w Australii, w Afryce, w Indyach; niebawem poczną one szukać zysków w Chinach, przywabione wysoką „stopą nadwartości", jaka powstaje w każdym kraju „dziewiczym" pod względem „interesu". Nastąpi to w tem większym stosunku, jeżeli dla Europy rzeczywiście po pięciu latach rozkwitu ekonomicznego nastaną lata stagnacyi. Jakie więc powstaną skutki z tego exodu kapitałów europejskich na daleki wschód? Wyjaśnijmy rzecz na przykładzie.

Przypuśćmy, że w Chinach jakiś milioner tubylczy — a jest ich tam już sporo — zakłada swoim kapitałem przędzalnię bawełny. Część kapitału zakładowego zostaje zużytą na miejscu, na budowle, część zostaje użytą na zakupy maszyn w Europie. Zakupując towar — maszyny, kapitalista chiński oddaje jakiś równoważnik — towar, przypuśćmy: herbatę. Oczywiście nie posyła on angielskiemu fabrykantowi maszyn herbaty, lecz płaci wekslami; weksle te wędrują z rąk do rąk po całym świecie, aż w końcu nabywa je importer europejski, sprowadzający towary, właściwie ową herbatę z Chin, płaci nimi eksporterowi chińskiemu, a ten prezentuje je nabywcy maszyn. W ten sposób odbyła się zamiana — w szczegółach nader skomplikowana, w zasadzie prosta. Jeden układ ekonomiczno-społeczny — Europa, zamienił towar (maszyny) na równoważnik

(herbatę) z innym układem ekonomiczno-społecznym — Chinami. Tu odbywał się eksport i import towarów.

Inaczej, jeżeli odbywa się eksport kapitałów.

Przypuśćmy, że owa przędzalnia bawełny w Chinach zostaje założoną nie chińskim, lecz europejskim kapitałem. Wówczas kapitalista europejski wydatkuje kapitał europejski w Chinach na budowle, w Europie na maszyny, które przewozi do Chin, i tymże kapitałem opłaca w Chinach robotników, dopóki przedsiębiorstwo nie przynosi zysków. Kapitał jest tylko środkiem rozporządzania narzędziami pracy i siłą roboczą. A więc tu siły produkcyjne Europy przez czas jakiś są czynne na korzyść układu ekonomiczno-społecznego Chin, układ zaś europejski nie otrzymuje od chińskiego żadnego równoważnika w towarach. Kompensata częściowa powstaje dopiero wtedy, kiedy kapitalista europejski zwozi nadwartość, otrzymaną w Chinach, do Europy. Jednakże tu kompensata nie jest konieczną; przeciwnie, liczyć należy na to, że i zyski te zostaną zużyte nadal w Chinach do dalszego rozszerzania produkcyi. W ten sposób ów eksport kapitałów oznacza ostatecznie, że nadwartość, wytworzona pracą europejską, staje się udziałem układu ekonomicznego Chin, Europa, jako układ ekonomiczno - społeczny, traci zasoby ekonomiczne, energię ekonomiczno-społeczną.

Rzecz jasna, że taki obrót rzeczy korzystnym być nie może dla całego układu ekonomicznego, dla całego społeczeństwa europejskiego; jest on korzystnym tylko dla tych, co przyczynią się do tego eksportu kapitału, dla nielicznej garstki wielko-kapitalistycznych obieżyświatów.

Ta utrata energii społecznej, będąca skutkiem polityki imperyalistycznej, staje się tem uciążliwszą dla społeczeństwa europejskiego, że towarzyszy jej zatrata energii społecznej na cele zgoła nieprodukcyjne, cele militaryzmu. Nie tylko bowiem mocarstwa zachodnie zmuszone są wydatkować miliardy na operacye wojenne na dalekim wschodzie, lecz polityka imperyalistyczna staje się bodźcem do tem szybszego powiększania ciężarów militarnych wogóle.

W budżecie niemieckim na rok 1901/1902 wydatki na armię są wyższe, niż za rok ubiegły, o 10 milionów marek i dobiegają olbrzymiej cyfry 675,6 milionów marek; wydatki na marynarkę wzrastają ze 168 do 217 milionów marek. W budżecie francuskim na r. 1901 wydatki na marynarkę zwiększają się o 15 milionów franków, wydatki na wojsko o 43 miliony. Wzrosły też w budżetach obu państw

wydatki na kolonie: w Niemczech o $6^1/_2$ miliona marek, we Francyi o 12 milionów. I to wobec wprost rozpaczliwego stanu finansów. W Niemczech bowiem sekretarz stanu, Thielemann, oświadczył bez ogródek, że należy liczyć się ze zmniejszeniem dochodów, we Francyi komisya parlamentarna z wielkim trudem zdołała ułożyć budżet, bilansujący się w dochodach i rozchodach, lecz nie potrzeba daru proroczego, by przewidzieć, że ta równowaga będzie utrzymaną tylko na papierze, gdyż w końcu roku okażą się — jeżeli nie zwiększone wydatki, to w każdym razie, wobec stagnacyi przemysłowo-handlowej, zmniejszone dochody. To też zarówno w Niemczech, jak i we Francyi, nie obędzie się bez powiększenia podatków już dziś nader uciążliwych i bez nowych pożyczek. Dług zaś państwowy Francyi wzrósł już obecnie do bajońskiej cyfry 34 miliardów, na oprocentowanie i amortyzacye zaś jego kraj wydaje rocznie przeszło miliard marek; w Niemczech zaś, które w roku 1870 oczywiście długów nie miały, a miały przeciwnie 5 miliardów kapitału z kontrybucyi wojennej, dług dziś wynosi już obecnie 2,28 miliardów. Podobnie zaś, jak w tych dwu państwach, rzecz ma się w innych. Wydatki na cele wojskowe, wzrastające w jednem z państw, powodują niechybnie nowe wydatki we wszystkich innych.

Gdy więc dotąd wzrastały ciężary wojskowe wskutek antagonizmów państwowych, powodujących wyścig w zbrojeniu, i ciężary te już dziś legły brzemieniem nieznośnem na siłach produkcyjnych, teraz dążność ku ekspansyi imperyalistycznej przyczynia nowych ciężarów i staje się powodem utraty energii ekonomicznej dla społeczeństwa europejskiego. Znaczy to zaiste palić świecę z obu końców. Niewesołą perspektywą poczyna się wiek dwudziesty!

*J. B. M.*



# Stosław Łaguna, jako historyk.

Szkic niniejszy skazany jest z przyczyn łatwo zrozumiałych na brak zupełny materyału porównawczego; tem trudniejszem jest jednak zadanie snucia arcy-przedmiotowych pojęć i poglądów w celu oświetlenia i oceny działalności, niemal doskonałej. Jeżeli bowiem świadectwem doskonałości, będącej czemś niedościgłem, może być w zakresie spraw ludzkich jedynie dążenie, mniej lub więcej udatne, do zawrotnych szczytów ideału, to słusznem jest, aby w niedoskonałych określeniach naszych nazywać doskonałością to, czemu do doskonałości istotnej przeszkadzało — tylko człowieczeństwo.

Dla scharakteryzowania postaci naukowej Stosława Łaguny w kilku słowach dość byłoby powiedzieć, że nie napisałby on z pewnością niniejszego artykułu, ani jako człowiek, ani jako historyk. Pierwszemu stanęłaby na przeszkodzie skromność wielka i szczera; drugiemu — co ważniejsza! — obawa popełnienia błędów przy analizowaniu zjawiska tak zawiłego. Ta właśnie obawa popełniania błędów była istotną dewizą naukowej twórczości zgasłego męża, który miał jej do zawdzięczenia to, że wszystko, cokolwiek stworzył, zdumiewało współczesnych i potomnych, a do zarzucenia to, że stworzył tak „mało”.

„Mało” i „dużo” są to wszelako pojęcia najzupełniej względne, a ta miara przeciętna ilościowej i jakościowej twórczości dziejopisarskiej, jakąbyśmy z owoców pracy historyków innych odtworzyć zdołali, nie nadałaby się do właściwej oceny tego, co zdziałał Łaguna.

Drukowana spuścizna po nim, wzięta na wagę bardzo ścisłą, nie przeważyłaby zapewne tych tysiącznych, opartych na pracach zmarłego, wzmianek, przypisków, cytat i odsyłaczów, jakie w połączeniu z nazwiskiem Łaguny lub ze skromnymi jego inicyałami *St. Ł.* rozsiali w swych książkach, broszurach i artykułach najpoważniejsi historycy polscy z ostatnich lat trzydziestu. W szczególe tym tkwi rys znamienny, będący kluczem do właściwej oceny tego, o którym wspominano zawsze, jako o źródle naukowych objawień. Sam fakt, że Łaguna istniał, a istniejąc, gotów był zabierać w druku lub ustnie głos krytyka w poruszanych sprawach, starczył, by podnosić naukowy ich poziom.

Żywotność i siła tego stanowiska, jakie ów superarbiter wiedzy zajmował w nauce i krytyce historycznej u nas, polegały na niezwalczonym majestacie prawdy, wykazywanej w sposób przedmiotowy skalpelem mistrza, który sięgał zawsze do jądra kwestyi, obnażał jej istotę, znajdował dla niej miarę właściwą i niezawodne źródło oceny w tajnikach nauki, a nie tykał nigdy miłości własnej piszącego. Autor zoperowanej pracy mógł być jedynie wdzięcznym krytykowi, który go w podziw wprawiał; mógł korzystać z jego lekcyi i płynącego z niej napomnienia; mógł skłonić głowę przed sprawiedliwym, beznamiętnym wymiarem zarzutów i wyrazów uznania, ale nie mógł czuć nigdy żalu do tego pióra Prawdy, którem wodziła ręka człowieka o sercu gołębiem. Źródło tej niebywałej potęgi i mocy wytryskało z gruntu o pokładach bardzo licznych i bardzo złożonych, a jednak ujętych przez indywidualizm Łaguny w harmonię niemal idealną. Równowaga jego umysłu była imponująca; ona to pozwalała wrodzonym talentom uczonego, ścisłości i pracowitości, wznosić się na szczyty obserwacyi i dociekania. Łaguna nie dziwił się niczemu; nic nie odrzucał na ślepo; nie lekceważył drobiazgów, na pozór błahych, a często nawet śmiesznych. Analizował je w lot, sięgał do ich istoty, klasyfikował i, określiwszy ich charakter, nizał oczyszczone skrzętnie z naleciałości, lecz nie zdenaturalizowane, na olbrzymie pasma swej fenomenalnej erudycyi. Erudycya jego posługiwała się mnemoniką niezbyt skomplikowaną. Składem jej była przedewszystkiem pamięć zdumiewająca, dzięki której stosy kartek z notatkami, przepełniającemi jego pracownię,

lub tysiące uwag, kreślonych na marginesach książek, były w stanie pełnić swą powinność na zawołanie.

Kiedy prof. Franciszek Piekosiński, znakomity znawca polskiego średniowiecza, wydał w styczniu roku 1889 dzieło „O dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu" i rozwinął w niem teoryę najazdu na kanwie długoletnich, mozolnych, a złożonych studyów prawnych, heraldycznych i runologicznych, z których ostatnie dwie kategorye były niejako własnym jego pomysłem, nader oryginalnym i uderzającym w porównaniu z tem wszystkiem, co nauka polska przed nim poruszyła, — Łaguna wystąpił w rok później z krytyką [1]) tego dzieła, traktując je w sposób tak głęboki i specyalny, że można było mieć żal do „przypadku", który sprawił, że dwu godnych siebie uczonych podjęło jednocześnie, a mimowoli, rozrzutne w naszych stosunkach studya specyalne nad jednym i tym samym przedmiotem. Takim samym „przypadkiem" była jednak wartość naukowa głębokiej oceny pomnikowego dzieła O. Balzera p. t. „Genealogia Piastów", skreślonej przez Łagunę; takim samym każda jego krytyka, stanowiąca zawsze długotrwałą *nouvelle du jour* nie tylko dla „Kwartalnika Historycznego", zasilanego jego piórem, ale dla całego świata historycznego u nas.

Powiadam: u nas, bo zagranicą Łaguna nie był znany, podobnie, jak wszyscy ci, co piszą o rzeczach naukowych polskich tylko po polsku. A szkoda, bo przez Pertza, Waitza, Bernheima i in. mistrzów-apostołów najnowszej metody historycznej byłby on z pewnością ceniony tak wysoko, jak na to rzetelnie zasługiwał. Mistrzowie ci jednak wyraziliby pewno podziw, że nie ich uczeń, lecz człowiek z ich pokolenia, wychowujący się w odmiennych warunkach politycznych, w odmiennej atmosferze naukowej i umysłowej, a do tego człowiek, nie pochodzący z rasy *Kulturträgerów*, dochodził pod innym stopniem geograficznym do tych samych, co oni, postulatów naukowych, do tych samych pojęć i metod: do tych samych sposobów wyłuszczania prawdy dziejowej. Pomimo, że pół wieku temu, kiedy Łaguna odbywał swe studya, atmosferę naukową Petersburga i Niemiec dzieliła przepaść, metoda jego była, niezależnie [2]) od mistrzów zachodnich, ich metodą i odwrotnie.

---

[1]) „Kwart. Hist.", styczeń, 1890.

[2]) Studyów nad teoryą metody historycznej Łaguna nie prowadził; ćwiczył on ją w sobie jedynie drogą badań praktycznych, a dzieło Bernheima: „Handbuch der historischen Metode" nie stanowiło dlań katechizmu.

Polegała ona na umiejętnem dążeniu do celów, wskazywanych przez racyonalną zasadę badania zjawisk historycznych nie w oderwaniu, lecz w związku z ich środowiskiem właściwem, z atmosferą, w jakiej powstawały i — w ramach tego rozwoju przyczyn i skutków, jaki towarzyszył im *in statu vitae*, a nie tego wyłącznie, jaki *in statu mortis* przyległ do ich pamięci w okruchach fragmentów źródłowych. Najnowsze pierwiastki traktowania porównawczego zjawisk historycznych, wykazywanie analogii bliższych lub dalszych: rodowych, plemiennych, szczepowych i ogólnoludzkich, cały arsenał misternych, a z mozolnym trudem zdobytych środków pomocniczych składał się nadto na tę metodę, w zasadzie szczytną, ale w praktyce często obosieczną, która dzięki umiejętności oraz bystremu, a oświeconemu umysłowi Łaguny stawała się istotnie skalpelem prawdy. Łaguna nie okaleczył się nim nigdy, a że drobne zadraśnięcia, jakie na jego skórze wykrywali potem najsurowsi krytycy pierwszorzędni [1]), nie były ranami, zawdzięczał on ten rezultat owemu nastrojowi swego umysłu, jaki wyrobił mu w kołach uczonych opinię h y p e r k r y t y k a.

Że Łaguna nim był, przeczyć trudno, ale trudno i nie przyznać, że stanowisko swoje w nauce temu właśnie hyperkrytycyzmowi w znacznej części zawdzięcza. Sprawiał on bowiem, że mistrz, szukając prawdy bezwzględnej, nie dawał unosić się żadnemu z akademickich kierunków dziejopisarskich, że nie był ani historykiem-heroistą, ani historykiem-socyologiem, a wreszcie: pomimo, że wszelkie odcienie tych kierunków badał i zgłębiał gruntownie, nie przeceniał nigdy pozytywnej wartości ich haseł.

Owa wytrawna powściągliwość w stawaniu pod sztandarami naukowych i społecznych ruchów, znamionująca zgasłego kapłana prawdy, zwłaszcza w ostatnich trzydziestu latach jego żywota, zamieniła ścisłą ocenę, a raczej dokładne porównanie jego działalności z działalnością historyków innych w takież same niepodobieństwo, jakiem byłoby np. dążenie do wykazania bezwzględnej wyższości cząstki złota od wielu cząstek srebra, miedzi, żelaza lub odwrotnie. Dość też stwierdzić, że Łaguna, wymagający od innych, był najbardziej wymagającym od samego siebie.

W całej pełni i majestacie poważnych, a dobroczynnych skutków swoich wystąpiło to założenie w jedynej większej, a typowej pod względem swej doskonałości pracy zmarłego p. t. „Dwie Ele-

---

[1]) Prof. Al. Brückner: „O Piaście".

kcye"[1]), a właściwie: Jedna Elekcya, gdyż drugą poniósł Łaguna z sobą do grobu. Że nie z lenistwa, — kto go znał, wie o tem najlepiej. Chyba tylko z wewnętrznego niezadowolenia, że mu się (pomimo hołdów krytyki) nie udała pierwsza, a z braku wiary w możliwość należytego opracowania drugiej. Komu znany jest stan źródeł do dziejów wieku XIII w Polsce, kto posiada wyobrażenie o misteryach umiejętnych dociekań historycznych z tej doby, ten czytać musi „Dwie Elekcye" ze wzrastającem od pierwszej kartki napięciem zdumienia na myśl, że Macaulayowi — wskrzesicielowi fragmentu dziejów angielskich XVII stulecia, *mutatis mutandis* dorównał Polak, wskrzesiciel fragmentu dziejów polskich XIII wieku! By dać pojęcie, ilo to kosztowało trudów, ilu wymagało mozołów nadludzkich i jakiej pracy przygotowawczej, ukrytej przed okiem czytelnika, — dość powiedzieć, że o uzasadnieniu dokładnem jednego tylko wniosku, (a jest ich tysiące w owym barwnym obrazie stosunków wewnętrznych za Leszka Białego) — możnaby osobną stworzyć rozprawę. A wniosków takich składały się całe zastępy na to, by przy subtelnej oględności Stosława Łaguny módz pisać swobodnie,

że: „Sasin (ojciec biskupa Gedeona-Giedki) posiadał na Kujawach wieś dziedziczną Otłóczyn nad brzegiem Wisły, gdzie obok góry, zwanej Rienza, która dzieliła tę majętność od sąsiedniej wioski Brzozy, miał dwór, którego ślady wskazywano jeszcze w wiele dziesiątków lat po śmierci właściciela..."; 

że: „Giedka, odziedziczywszy po ojcu Otłóczyn, zamienił tę wieś ze szlachcicem Klementą, od którego wziął za to Latowic..."[2]);

że: „Żaden z członków kapituły nie będzie następcą Pełki: Ani Wisław sensat, ani gospodarny Boguchwał, ani krewki Trojan, ani uczony Benedykt, ani nawet kanclerz Iwon..."[3]);

albo wreszcie, że: „(Choć) zbliżającemu się do Płocka w cztery wieki poźniej flisowi zapowiadał poeta, że ujrzy

„ . . . . . na szkucie przez górę zaiste  
Krzyże złociste,

„krzyżów takich na początku XIII wieku nie było, ...bo ich pozłocenia dokonał dopiero biskup Gębicki... a widok katedry gnieźnieńskiej z roku 1374 przedstawia nawet wieżę bez krzyża..., którego

---

[1]) „Ateneum", t. X i XI. [2]) „Ateneum", t. XI, str. 328. [3]) „Ateneum", t. X, str. 25.

pozłocenie kosztować miało w roku 1513 aż trzysta czerwonych złotych węgierskich..." [1]).

A przecież żaden atom subtelnych cieniowań, nadających zamierzchłym bohaterom „Dwu Elekcyi" barwy życia i prawdy, żaden, najdrobniejszy nawet szczegół, składający się na obraz ich bytu i charakterystyki, nie powstawał skądinąd, jeno z tak gruntownej znajomości epoki i ludzi, z tak głębokiej „wszechwiedzy" w zakresie traktowanego przedmiotu, że stwarzała ona pod tchnieniem Łaguny żywe tło epoki z okruchów źródłowych, a te pod jego wpływem nabierały życia.

Obok metody badań, posiłkującej się pełnym zasobem pomocniczych nauk historycznych; obok bardzo gruntownej znajomości dyplomatyki, paleografii, heraldyki, archeologii i in. niezbędnych dzisiaj narzędzi do hermeneutycznego traktowania źródeł, zwłaszcza średniowiecznych, posiadał Łaguna i umysł, prawdziwie „historyczny", trzeźwy, beznamiętny i ścisły, nie pozbawiony tej iskry talentu, która nieciła w nim nieustannie poezyę Prawdy.

Mistrz i poeta prawdy, a mówiąc ściślej — rzeczywistości, nie był Łaguna poetą we właściwem znaczeniu tego wyrazu. W fantazyach i fikcyi nie lubował się nigdy; nie odczuwał w nich źródeł tego natchnienia, jakie ogarniało go zawsze w zetknięciu się z każdym potężnym lub niewyjaśnionym jeszcze objawem rzeczywistości bytu. Obserwator i analityk z wyraźną tendencyą do głębszej syntezy liczył się on jednak ze wszystkiemi zjawiskami, towarzyszącemi rozwojowi społeczeństw i narodów. Choć zatopiony w laboratoryum dziejopisarskiem bez przerwy, czytał dużo; czytał poezye i utwory belletrystyczne, czytał pisma i dzienniki, interesując się wszystkiem, ale zapalając się do tego tylko, w czem upatrywał siłę żywotną, w czem dostrzegał skutki ewolucyi dawnych lub domniemane zawiązki następnych, w czem widział poważne odbłyski wiekuistej fali wzajemnych lub zewnętrznych wpływów życiowych na kształtowanie się warunków społecznych. Pod tym względem, acz kilkudziesięcioletni, nie był Łaguna nigdy człowiekiem starym. O tem, że należał z wieku do pokoleń ubiegłych, świadczyła jedynie jego siwizna.

Ogrom obowiązków badacza i historyka pojmował on tak szczytnie, że ogólniejszej syntezy przebogatych obserwacyi, wyobrażeń, pojęć i poglądów swoich nie ośmielił się nigdy ani skreślić,

---

[1]) „Ateneum", t, XI, str. 322.

ani nawet wypowiedzieć w owych gawędach poufnych, które lubił i cenił bardzo, jako pożądaną wymianę myśli. Stosując bowiem w badaniach szczegółów, nawet najdrobniejszych, miarę nad wyraz subtelną i czułą, pragnął stosować ją także do syntezy, co w nim wrzała, domagając się przez lata całe należnego jej uzewnętrznienia. Ale na spełnienie tego zadania nie starczyło mu życia, gdyż żywot ludzki przedsięwzięć, tak pojętych, dopełnić nie jest w stanie.

Ów pogląd do sądzenia zjawisk społecznych, wyrosły na gruncie głębokiej wiedzy i obserwacyi, a wypielęgnowany przez długą, zrazu przymusową, potem dobrowolną samotność Łaguny, podniósł jednak umysł jego do tego poziomu, który sprawiał, że głos, zabierany z wysokości jego horyzontów, czy to w sprawach naukowych, czyli też publicznych, bywał istotnym wyrazem spraw poruszanych, stawał się zjawiskiem życiodajnem, nauczał, pobudzał do myślenia, podnosił i krzepił.

Nie jest zadaniem naszem ocena Łaguny, jako publicysty, jako autora kronik, kreślonych w „Ateneum" bezimiennie lub podznaczonych inicyałami; to tylko pewna, że znać w nich „miarę" piszącego: *ex ungue leonem.*

Jako prawnik, nawykł Łaguna do ścisłości w myśleniu, w klasyfikowaniu spostrzeżeń swoich i w precyzyjnem uzasadnianiu wniosków, a jako badacz samodzielny zabytków średniowiecznych, pogłębił on tę ścisłość do tego stopnia, że, słuchając jego wywodów, rozwijanych z kolei za i przeciw danej interpretacyi, a kończących się mistrzowską konkluzyą, niewiadomo, było, kogo podziwiać więcej: oskarżyciela, obrońcę czy sędziego. Studya średniowieczne polskie miały w nim jednego z najwybitniejszych swych specyalistów, uznanego *tacito consensu* za mistrza nad mistrze przez specyalistów innych, pomimo, że nie dorównał on im ani w części nie tylko ilością, ale nawet i wagą tematu prac ogłoszonych. Specyalność tę, sięgającą aż do wykluczenia prawa zabierania głosu w zagadnieniach epok późniejszych, przyznawał sobie w zwierzeniach ustnych sam Łaguna, stając na najnowszem stanowisku rozspecyalizowanej nauki i twierdząc, że o pracach nad wiekiem XVIII lub XIX żadnego nie może wygłosić zdania, bo się na tem „nie zna". Że znał się na nich gruntowniej od wielu krytyków innych, zbytecznem byłoby dodawać. Ów brak „znajomości przedmiotu" wypływał wszelako z porównania go ze znajomością przedmiotów innych. Możnaby też mieć do Łaguny żal serdeczny za to, że poskąpił nam tak bardzo opracowań monograficznych z zakresu właściwej specyalności swojej, gdyby się dało skierować ten zarzut do jego woli lub błędnych

uprzedzeń. Uprzedzeń takich nie było jednak zgoła, a wola była jaknajlepsza, wspierana przez pracowitość i głębokie poczucie obowiązków naukowych.

Tragedyą twórczości Łaguny nie była nawet właściwie odwrotna, ujemna strona tego hyperkrytycyzmu, którego cechy dodatnie staraliśmy się wykazać powyżej. Była nią przedewszystkiem specyficzna cecha jego umysłu, skłaniająca badacza do ciągłego, a coraz dalszego pogłębiania wszczętych obserwacyi. Ponieważ wzajemne związki zjawisk ukazują się oku spostrzegacza w komplikacyi, wzrastającej w stosunku prostym do pogłębiania dociekań nad ich istotą, Łaguna, trawiony gorączką poznawania, tracił zazwyczaj z oczu wśród wycieczek po labiryncie komplikacyi cel główny: cel, do którego zmierzał pierwotnie. Wprawdzie zamierzał on zawsze powrócić do niego w przyszłości po osiągnięciu „celów" pośrednich, ale zamiary te doprowadzały go w praktyce do systematycznego zabagniania twórczości kosztem nieustannego kształcenia się i pogłębiania swej wiedzy.

Jednem słowem, gdyby był innym, nie byłby sobą, ale byłby niewątpliwie sobą pozostał i nie zabrał tylu szczerozłotych tajemnic do grobu, gdyby jednostka lub instytucya jaka zażądały były od niego usług, czy to w formie stworzenia określonego dzieła, czyli też — wypowiadania określonych wykładów. Instynkt społeczny, dążący do pomnażania intellektualnych dóbr narodu, zawiódł się srodze na zapoznaniu jego osoby i darów, jakimi obdarzyły go losy.

Skromny i powściągliwy w stosunkach z ludźmi aż do przesady nie narzucał się nikomu i nigdy. Mimowoli może, ale konsekwentnie kazał o sobie zapominać — wszystkim, a jednak poczucie obowiązków miał tak silne, że — pomimo właściwości swoich — arcydzieła swe tworzył na zamówienie [1]), nie chybiając nawet terminów, a nieocenione porady naukowe, wzkazówki ustne i piśmienne, wymagające często dużego mozołu i czasu, sypał, jak z rogu obfitości, gdy ktoś tego zapragnął.

Do ostatnich chwil brał on udział nader żywy w wyborze, przeglądzie, ocenie i opracowaniu materyałów, ogłaszanych staraniem Aleksandra Jabłonowskiego w „Tekach Pawińskiego"; dyplomataryusze, wydawane tak świetnie przez prof. Fr. Piekosińskiego, czerpały wiele z jego wskazówek; czerpały z nich publikacye prof. Bol. Ulanowskiego i in., a niżej podpisany, gromadząc odpisy dyplo-

---

[1]) Krytyki, drukowane w „Kwartalniku Historycznym".

matów do projektowanego *Codex diplomaticus Masoviae*, ma do zawdzięczenia Łaguna poważną część ich opracowania, jeśli nie pod względem ilości, to pod względem jakości otrzymanych wyjaśnień.

Być może, że w notatkach, pozostałych po zmarłym uczonym w wielkiej ilości, da się wydzielić materyał, przygotowany do druku. W każdym jednak razie zarówno to, coby się znalazło, jak i to, co Łaguna wydał [1]), będzie tylko symbolem tej jego działalności i tego znaczenia, jakie zdobył on sobie rzetelnie w nauce polskiej.

Śmierć wielkiego uczonego pozostanie dla badaczów naszych stratą bolesną i ciężką, tem cięższą, że naprawdę niepowetowaną.

*J. K. Kochanowski.*




---

[1]) Ciekawych odsyłam do bibliografii właściwej, podanej w „Albumie pisarzów polskich" p. Dembego pod nazwiskiem Stosława Łaguny.

# Rozbiory i Sprawozdania.

*Bilans handlowy gubernii Królestwa Polskiego* opracował **Władysław Żukowski** przy współpracownictwie p. p. **Chruszczyńskiego** i **Czerniawskiego**. Warszawa, nakładem „Słowa“, r. 1901. Str. 28, tablic XV.

Niewielka ta książeczka jest pierwszorzędnej wagi pracą statystyczną nad stosunkami ekonomicznymi naszego kraju. Autorowie mają zamiar na zasadzie urzędowych dokumentów i wydawnictw statystycznych oznaczyć z możliwem przybliżeniem i ścisłością ilość i wartość wywożonych z Królestwa i przywożonych do Królestwa towarów. Nie potrzebujemy chyba dowodzić ani ważności tego zadania, ani trudności, jakie przedstawia jego wykonanie. Książka, którą mamy przed sobą, obejmuje bilans handlowy rolniczo-zbożowy; dotycze: ziarna, mąki, kaszy, otrąb, różnych gatunków grochu, nasion oleistych, makuch, etc., obejmuje zatem najważniejsze produkty rolnictwa.

Autorowie obiecują nam jeszcze pięć następnych części, które obejmować będą: część II-a—Artykuły spożywcze: zwierzęta domowe, napoje etc., część III-a—Materyały surowe: węgiel, rudy, metale, wełna, bawełna, część IV — Wyroby fabryczne—maszyny, część V-a—Wyroby rzemieślnicze i galanteryjne, część VI—Różne towary i zestawienie ogólne. Wykonanie tego całego planu stanowić będzie niezawodnie wielką zasługę autorów, a ścisłość i sumienność, z jaką pierwsza część została opracowana, z góry wróżyć każe o wysokiej wartości całego dzieła. W każdym razie już teraz należy się im szczere podziękowanie za to, co nam w tej I części dali odnośnie do najważniejszej gałęzi produkcyi naszego kraju.

Do rezultatów tej pracy powrócimy przy najbliższej sposobności, tutaj zaznaczymy, że w książce wskazano z całą ścisłością i źródła, na których się

praca ta opiera. i metodę, zastosowaną przy obliczeniach, a także podano zestawienia ostatecznych rezultatów z rezultatami podobnej pracy, którą w 1880 roku, a więc 20 lat temu ogłosił Józef Poznański.

W oczekiwaniu dalszych części pozwolimy sobie na jedną uwagę. W kwestyach, dotyczących bilansu handlowego, wyrazy: „wywóz“ i „przywóz“ muszą mieć ściśle oznaczone znaczenie: „wywozu za granice“ objętego statystyką terrytoryum — i przywozu z za tychże „granic“. Tymczasem już na str. 6 użyto wyrazu „wywóz“ zamiast „wysłano ze stacyi“ i „przywóz“ zamiast „odebrano przez stacyę“, wogóle bez różnicy, dokąd i skąd wysłano i odebrano. Ten sam brak ścisłości zauważyć się daje i w tablicach. W tablicy np. I wydrukowano: Wywóz— Królestwa — Przywóz — dróg Królestwa — Cesarstwa — niepewnych dróg wspólnych. Sądzimy, że tablica zyskałaby na zrozumiałości, gdyby odpowiednie nagłówki zmieniono w następny sposób: Wysłano z dróg — Królestwa — Otrzymano na stacyach — dróg Królestwa — Cesarstwa — na stacyach nieoznaczonych dróg wspólnych. Te same drogi nazywają się raz zagranicznemi, drugi raz cudzoziemskiemi. *St. P.*

**Adolf Coste**. *Les principes d'une sociologie objective.* Paryż, 1899, Str. IV i 243.

Jak wskazuje sam nagłówek, ma to być socyologia, oparta na podstawie przedmiotowej, na tem, co jest w społeczeństwie żywiołowego i zarazem poddającego się badaniu doświadczalnemu. Sztuki piękne, poezya, filozofia, nauka czysta, moralność „wyższa“ nie okazują wcale prawidłowości rozwojowej, nie zdają się być przywiązanemi do miejsca i czasu, pozostają pod wpływem jednostek genialnych, nie są ani współczynnikiem, ani nawet wskaźnikiem rozwoju społecznego, nie mogą więc wchodzić do socyologii. Dla tej pozostaje do badania dziedzina właściwie społeczna, dziedzina „utylitaryzmu społecznego“: zjawiska zaludnienia, życia politycznego, działalności gospodarczej człowieka, wierzeń religijnych, moralności „praktycznej“ i wreszcie solidarności. One to tylko „tworzą w historyi szereg regularny“ i ciągły, one tylko są wynikiem współdziałania wszystkich jednostek, składających społeczeństwo. Stąd zjawiska społeczne każą domyślać się w jednostkach podobieństwa popędów i znów same służą sprawie utrwalenia wspólności duchowej tak, iż solidarność jest niezbędnym, chociaż zmiennym warunkiem porządku społecznego.

Mówiąc ogólnie, mamy trzy pierwiastki „zjawisk społecznych“: rząd, pewien układ wierzeń i wytwórczość, a każda z tych czynności społecznych rozwija się według własnego prawa. Postęp polityczny polega na stopniowem wydzielaniu się władz: wojskowej, administracyjnej, prawodawczej i sądowej; postęp ekonomiczny na podziale pracy i zaprzęganiu do służby coraz nowych sił przyrody: najprzód mechanicznych, potem fizyczno-chemicznych, wreszcie organicznych; nakoniec postęp wierzeń — na przeobrażaniu się religii pod wpływem wiedzy, Trzeba pamiętać, iż Coste jest przekonanym zwolennikiem Comte'a, co znaczy, że między innemi mniema, jakoby klasyfikacya logiczna nauk była zarazem ich klasyfikacyą genetyczną, a więc jakoby odtwarzała porządek ich historyi. Najogólniejszemi i najwcześniejszemi są nauki grupy matematycznej (arytmetyka z algebrą, geometrya i mechanika), dalej — fizycznej (astronomia, fizyka i chemia), w końcu — organicznej (biologia, socyologia i ideologia). Wierzenie pierwotne (?) pod wpływem biologii dają biomorfizm czyli miarę animistyczną, pod wpływem socyologii— socyomorfizm, który usiłuje tłómaczyć przyrodę na wzór społeczeństwa, porządku-

jąc ją za pomocą „zwyczaju, dziedziczności, tradycyi“ (wielobóstwo i jednobóstwo), pod wpływem zaś ideologii — racyonalizm; ten widzi w naturze „rozum przedmiotowy, którego podmiotową formą jest świadomość nasza“, i opiera układ wierzeń na prawach rozumu.

Według takich praw rozwija się społeczeństwo — lecz dlaczego się rozwija? co jest źródłem i bodźcem ruchu postępowego? „Ponieważ społeczeństwo jest narodem, poddanym pewnemu porządkowi, narodem, którego wszyscy członkowie wzajemnie sobie współczują i pozostają posłuszni uznanej władzy.. więc przyrost tej zjednoczonej ludności musi być przyczyną postępu społecznego“, przyczem warunkiem istotnym jest wzrost i rozwój miast, gdyż miasta są przedewszystkiem pracowniami postępu. Każdorazowy postęp polityczny, ekonomiczny i religijny odbija się na formie i treści solidarności, która z przymusowej i narzuconej staje się coraz bardziej dobrowolną i chętną, z ograniczonej i ułomnej — powszechną i całkowitą.

W ten sposób rozwój historyczny Europy (Coste wyklucza z zasady badanie ludów dzikich oraz uwzględnianie społeczności barbarzyńskich) wygląda, jak następuje. W grodzie (Grecya Homera) panuje absolutyzm ojca rodziny, funkcye nie są zróżniczkowane, posłuszeństwo jest ślepe. W gminie miejskiej *(la cité, πόλις)* spotykamy przewagę władzy wojskowej, solidarność kastową, religię socyomorficzno-polityczną i gospodarkę domową. W metropolii (od Juliusza Cezara do Teodozyusza) mamy epokę solidarności klasowej, wszechwładzę państwa, wydzielenie się władzy cywilnej obok wojskowej, rękodzieła i handel. socyomorfizm-monoteistyczny. We współczesnym ustroju, którego rysem znamiennym ma być istnienie stolic, są już trzy władze (wojskowa, administracyjna i prawodawcza), a do poprzednich form wytwarzania przybywa produkcya maszynowa podobnie, jak do starszych nieco nauk matematycznych przyłączają się fizyczne. Przewaga należy teraz do bogactwa, religia nabiera w połowie zabarwienia racyonalistycznego (protestantyzm i deizm), upadają klasy, rozkwita indywidualizm i solidarność świadoma lub dowolna. Nakoniec epoka przyszła wyłoni władzę sądową niezależną, nauki organiczne i „wiwifakturę“ czyli zużytkowanie sił ustrojowych, zracyonalizuje religię, wysunie na czoło inteligencyę i odda kierownictwo społeczeństwem stowarzyszeniom jednostek, zsolidaryzowanych wspólnością interesów, wierzeń lub myśli.

Coste bowiem najwyraźniej uznaje możliwość i potrzebę kierowania rozwojem społecznym czyli uznaje świadomą wolę za ważny czynnik tegoż rozwoju. Zdawałoby się więc, że powinien rozumieć niepodobieństwo tłómaczenia życia społecznego bez uwzględniania świadomości, niepodobieństwo zmechanizowania historyi. Jednakże z dziwnem zaślepieniem powtarza, iż „indywidualność jest późniejsza od społeczeństwa“, i stąd widzi się upoważnionym do zupełnego systematycznego pomijania wpływów duchowych. Życie wszakże społeczne i wszelkie jego zjawiska nie mogą być wogóle zrozumiane, pozbawionemi będąc pierwiastków świadomości, a nawet nie dadzą się wyrazić w terminach innych. Czemże byłaby owa „solidarność“, o której Coste z takim naciskiem powtarza, iż jest „zasadą porządku społecznego“ — czemże byłaby ona, gdybyśmy naprawdę zechcieli całkowicie usunąć świadomość z wykładu socyologii? Solidarność społeczeństwa nie różniłaby się wówczas niczem od martwej spójności brył lub od zlepiania się w całość cząsteczek, poddanych ciśnieniu. Ale spójność brył i lipkość okruszyn tak się różnią od solidarności społecznej, jak różni się wogóle bezduszność i bierność od życia i twórczości. Co się zaś tycze parodoksalnego twierdzenia Coste'a,

że tylko polityka, gospodarka i wierzenia należą do dziedziny socyologii, albowiem sztuka, literatura, nauka, moralność i t. p. nie zdradzają żadnej prawidłowości rozwojowej i żadnej zależności od tamtych, zauważyć trzeba, że, przedewszystkiem, niema granicy między jedną a drugą sferą zjawisk, powtóre, że zależność, której Coste przeczy, aż nadto jest owszem widoczna. To właśnie stanowi różnicę między Coste'm a wyznawcami materyalizmu dziejowego, że materyaliści zależność ową doskonale uznają, chociaż pragną widzieć w „nadbudowie społecznej" zjawisko pochodne i odbite, gdy Coste z dziwnem zaślepieniem przenosi ducha społecznego w obłoki.

I ten jednak socyolog nie jest bez zasług. Do tych prócz umiejętnego przedstawienia t. zw. form nierówności społecznej, jako form solidarności, zaliczyć muszę bardzo jasne wyłożenie związku między nauką a sztuką czyli między teoryą a praktyką socyologiczną i trafne przewidywanie roli stowarzyszeń w najbliższej epoce historycznej. *Jan Stecki.*

**Józef Tokarzewicz (Hodi).** *W dniach wojny i głodu.* Wspomnienia. (Biblioteka dzieł wyborowych № 148), Warszawa, 1900, str. 159.

Wiązankę portretów, obrazków i zarysów z wojny 1870 poprzedza przedmowa p. Jeske-Choińskiego, biorąca w opiekę—nie same te szkice, lecz i n n e, gdzieindziej wydane p r a c e autora, Tokarzewicza (Hodiego), o którego działalności literackiej wyraża się p. Choiński wielce pochlebnie, ale też i bardzo protekcyonalnie, w tonie mecenasowstwa, niewiadomo na czem opartego. „Jakkolwiek — powiedziano w jednem miejscu przedmowy — nie można p. Tokarzewicza zaliczyć do zachowawców, gdyż ze wszystkich jego studyów prześwieca w s z ę d z i e sympatya z poglądami i hasłami postępowemi czasów ostatnich, to jednak trudno p. Tokarzewiczowi odmówić wielkiej u publicystów cnoty — umiarkowania... Ogląda on każdą sprawę ze wszystkich stron, przypatruje się jej bardzo uważnie okiem krytycznem, własnem, i stara się być — o ile to w możności człowieka — sprawiedliwym, bezstronnym".

Sam autor, p. Józef Tokarzewicz, ujrzałby się niezawodnie w wielkim kłopocie, gdyby mu wypadło złożyć czytelnikowi dowody, na czem właściwie się zasadza ta sprawiedliwość problematyczna i ta bezstronność, bardzo trudna do okazania w pracy nieurównoważonej, rozbitej, skreślonej przed wielu laty i osnutej na wrażeniach lub notatkach — rzecby można — przedpotopowych. Poglądy, rozumowania, doktryny filozoficzne, ujęte najczęściej w formę aforyzmów krótkich, są, jak na dziś, również przestarzałe. Tłómacząc np. przykre i bolesne uczucia, jakie się w sercach mieszkańców Paryża odezwały na wieść o walnej przegranej pod murami Sedanu, autor solidaryzuje się z nimi całkowicie i powiada (str. 26): W każdem, najbardziej *zasłużonem pognębieniu faktycznem* jest coś, co nas ku niemu pociąga: nawzajem, niema i być nie może tak *wzniosłego tryumfu siły*, iżby w sobie nie zawierał kropli pobudki do odrazy"... Przyczem p. Tokarzewicz dodaje: „Promień ten w naszej duszy zawdzięczamy Chrystusowi, Jemu jednemu; nie sądzę, żeby światło to posiadała starożytność"... Czy to *ta* sentencya tak dalece podbiła p. Choińskiego, że Hodiego uraczył panegirykiem, od którego nawet Sokrates spłonąłby, „jak dziewica na widok... zorzy"?

Rzecz przedstawia się znacznie prościej, bo błędniej i grzeszniej.

Jest to — w streszczeniu najogólniejszem — gatunek „pośmiertnej" obrony drugiego Cesarstwa we Francyi. Biograficznie niepodobna dziś wyrozumieć, skąd wypłynęły i z czego się złożyły osobiste powody i pobudki autora do chwalenia

i wielbienia „zamiarów", „dobrych chęci", „daleko sięgających projektów", które Francyę naraziły na katastrofę sedańską. Na st. 60-ej czytamy np., że na wiosnę 1867 r., przed wystawą paryską, rząd francuski „z a p r o p o n o w a ł" pamiętnikarzowi wyjazd ze stolicy do jednego z departamentów Francyi środkowej; z kilku zaś wzmianek dalszych wynika najdokładniej, że p r o p o z y c y a nie miała w sobie nic wspólnego z uprzejmością i łagodnością, jakichby się domyślać pozwalał wyraz tak dalece dyplomatyczny, parlamentarny... Ale mniejsza o to. Pytanie najważniejsze polega na tem, czy są w książce przynajmniej pozory argumentacyi historycznej, podpierającej temat, najzupełniej w osnowie głównej sprzeczny z opinią powszechną, przyjętą, ustaloną?

Pozory są. We „Wspomnieniach" ustanowione one zostały w szyku odwrotnie - chronologicznym, według metody, nazwanej przez prof. T. Wojciechowskiego „metodą wsteczną". W rozdziale pierwszym, zatytułowanym „Doba fatalna", mamy zwięzłą kronikę dnia 14-go lipca 1870 r., kiedy w Paryżu zapadła uchwała wypowiedzenia wojny Prusom; nieco dalej idzie nader pobieżny, mdły i zamglony opis klęski sedańskiej, a za nią, w rozdziale szóstym skręcamy nagle wstecz, ku „powodom" wojny i docieramy aż do samych niemal początków panowania Napoleona III, do głośnego w swoim czasie zamachu 2-go grudnia. O zamachu tym powiedziano w jednym z rozdziałów, że dokonany był „z woli narodu" i że w ciągu dwudziestoletniego blizko panowania Napoleona III spiskowcy, republikanie, internacyonaliści ciągle przed sobą widzieli tylko „czerwoną chustę 2-go grudnia i uderzali na nią z w ś c i e k ł o ś c i ą b y c z ą w każdą rocznicę zgonu Baudina, na każdym pogrzebie Lenoira"... Za śmiałe uogólnienie! Woli narodu w zamachu 2-go grudnia nie zdołał dojrzeć nawet „Czas" krakowski, który owacyjną podróż Ludwika Napoleona na północ i południe Francyi przed zamachem i plebiscyt po zamachu stale, od początku do końca, mianował: zręcznie zorganizowaną manipulacyą centralizacyjnej machiny państwowej.

A i sam sprawca, Napoleon III, nie lepiej snadź trzymał o przewrocie 2-go grudnia, skoro, zabrawszy się w kilkanaście lat później do pisania „Historyi Juliusza Cezara", położył w niej tak wielki i nieproporcyonalny nacisk na upadek „niezbędny" urządzeń republikańskich, które Cezar „zniewolonym był" łamać i gwałcić, ażeby państwo od ostatecznego rozkładu ocalić. Nieliczni i niechętnie do mówienia prawdy zabierający się krytycy francuscy z lat 1866 — 68 dawali dość wyraźnie do zrozumienia, że w n a u k o w e m dziele koronowanego autora kryje się złowrogi zamiar otumanienia społeczeństwa ideami niezwykłego jakiegoś posłannictwa, nadprzyrodzonej jakiejś „misyi", stosującej się zarówno do rzymskiego, jak i do francuskiego Cezara. Nasz pamiętnikarz niezupełnie się z tem zgadza. „W dziele — powiada — istotnie znaleźć można intencye podskrobania i pobielenia n i e c o zamachu 2-go grudniu; nie na tem wszakże zasadzały się g ł ó w n e insynuacye i reminiscencye książki, Dziś (1895), przy odczytywaniu zapomnianej pracy, rzuca się to w oczy. Autorowi n i e t y l e szło o wykazanie dobrodziejstw i godziwości misyi napoleońskiej, ile raczej o wyświetlenie narodowi jego niemocy własnej, jego wad organicznych, dla których misya stawała się nieodzowną, nieodbitą. Zdania: że dyktatura wyrasta z próżni i upodlenia ogółu, że cezaryzm w górze jest synonimem nicości w dole, że w epoce upadku i rozluźnienia się węzłów starego ustroju społecznego sam ferment zastoju i gnicia wynosi na wierzch ladajakiego zbawcę, zdania takie przepełniają dzieło Napoleona III o Juliuszu Cezarze" (str. 49).

Jeżeli wistocie tak było, to jest, jeżeli rzeczywiście zamach 2 grudnia spo-

wodowany był strupieszałością form republikańskich we Francyi i wypełniał „próżnie“ jej ustroju społecznego, to przedewszystkiem założenie wymagało okazania, co mianowicie od daty 2-go grudnia do daty wydania „Historyi Juliusza Cezara“, w ciągu więc lat niespełna piętnastu uczyniło drugie cesarstwo dla zapełnienia owej próżni. We wspomnieniach „z dni wojny i głodu“ niema o tem najmniejszej wzmianki. Pobieżnie tylko zaznaczono, że na widowni międzynarodowej czyli w polityce zagranicznej były „zawody, rozczarowania i błędy“ (str. 50). Otóż właśnie pytanie, czy ta z a g r a n i c z n a, międzynarodowa polityka Napoleona III-go w pierwszej połowie jego panowania nie była spaczoną i na niemoc swych rezultatów skazaną akurat przez to, że z niej uczyniono jedynie tynk i farbę do podmalowania i zamaskowania w e w n ę t r z n o-politycznych, domowych niecnót i słabostek, najprościej wypływających, jako ze swojego źródła, z aktu 2-go grudnia... Bardzo być może, że w d r u g i e j — ale dopiero w drugiej połowie panowania, już po doznanych „zawodach“ pod Apeninami i w Meksyku, po „rozczarowaniach“ 1859 roku, po „klęskach“ kampanii dyplomatycznej z roku 1863, zamiary cesarza Francuzów w kierunku naprawy były szczere i poważne. „O osobistej swej użyteczności dla Francyi, a przez nią i dla reszty świata Napoleon III niezłomnie był przeświadczony w o k r e s i e l a t o d 1 8 6 6 d o 1 8 7 0“—zapewnia nasz pamiętnikarz na podstawie papierów tuilleryjskich, ogłoszonych po ruinie sedańskiej. Przytacza nawet program. „Wycofać się na mniej więcej długi szereg lat z widowni międzynarodowej, poświęcić się wyłącznie sprawie wydobycia z łona społeczności całego możliwego zasobu sił i uzdolnień światłych, podnieść rolnictwo, szkoły, przemysł, drogi, porty, kanały, finanse, sprawiedliwość, samorząd, dopełnić miarę swobód powszechnych ogniwem ich ostatniem czyli tem, co cesarz zwykł był nazywać uwieńczeniem gmachu — couronnement de l'édifice, a wtedy dopiero p o n o w n i e wychylić się z misyą nazewnątrz“, -- takim miał być (w r. 1865) plan działalności na przyszłość, plan — dosłownie ręką Napoleona skreślony...

Zapewne. Ale cóż z tego? Było już zapóźno. Wyłączne, a przecież pomimo to połowiczne i „malowane“ zajęcie się w p i e r w s z y m piętnastoletnim okresie sprawami zagranicznemi zgmatwało i rozjątrzyło sprawy wewnętrzne czteroletniego okresu drugiego do granic powszechnego rozprzężenia, które nasz pamiętnikarz usiłuje uwydatnić z ogromnym nakładem elokwencyi, wręcz oświadczającej się przeciw podstawom jego własnej pracy. Bo i jakże? Wstępując na tron wśród spiętrzonych gruzów obalonej Rzeczypospolitej, Napoleon III zamierzył był nam okazać próżnię i zgniliznę urządzeń, które w d. 2 grudnia na cztery wiatry kartaczami rozpędził. A do czegoż ostatecznie sam on doszedł po kilkunastu latach gospodarki, niczem niekrępowanej, samowolnej? Już zaraz po Sadowie (1866) „dziennikarstwo napomykało o jakichś policzkach, danych czy otrzymanych; w parlamencie pan Thiers długo z trybuny wykładał, czego nadal robić n i e t r z e b a; pan Cassagnac nakłonił do wojny z Niemcami; pan Olivier przeciwnie parł do zgody; prawica dopominała się o połamanie Włoch na kawałki; lewica o wypędzenie z Rzymu papieża, pan Rouher wołał *jamais*, pan Rochefort kazał barykady wznosić“... A tymczasem cesarz, „podcięty kalectwem złowrogiem, nieuleczalnem prawie, nękany problematami historyozofii niemieckiej, napół mistycznej, napół fatalistycznej, z k u l a m i g a l e r n i k a u n ó g z a d o k o n a n y z *woli narodu* z a m a c h przed dwudziestu laty, skrępowany po łokciach powrozami zasady narodowościowej“, cesarz w milczeniu słuchać tego wszystkiego musiał wobec radykalnego, niemożliwego do sklejenia zmiażdżenia i rozbicia opi-

nii publicznej w kierunkach antypodycznie sprzecznych. „Zrana pryskała Napoleonowi w oczy ukropem cesarzowa za to, że zbudował Włochy, po południu książę Napoleon cebrami lał zimną wodę na głowę za ocalenie papieża od rewolucyi, wieczorem syn Ludwiś czytał z *Journal officiel* mowę Thiersa *in extenso* o tem, iż nie pozostało już ani jednego błędu do popełnienia“... Słowem, wszyscy wprost lub pośrednio doradzali abdykacyę. Cesarz zgodził się nareszcie i abdykacyę podpisał 2 stycznia 1870... Powstał wtedy p i e r w s z y gabinet konstytucyjny, odpowiedzialny przed narodem, w którym „książę Napoleon dostał Oliviera, cesarzowa — księcia Grammonta, Ludwiś i Thiers — Buffeta, Francya zaś — ustawę zasadniczą z dnia 21 marca 1870, zatapiającą naród w swobodach powyżej brwi i uszu... Co uczyniwszy, Napoleon III zległ do pościeli, z której się zwlókł dopiero wtedy, gdy trzeba było iść na s z a f o t sedański“... A w kraju tymczasem zaraz w ślady nadanej konstytucyi 21 marca poszła rozpusta, rozpoczęły się prawdziwie piekielne saturnalie, z których zwycięzcami wyjść mieli w d. 4 września 1870, Rochefort i Bismark. „Huk po kawiarniach, kurz po ogródkach, cisza po szkołach: całusy po zaułkach, bójki na ulicach, trybuny na cmentarzach, schadzki podczas nabożeństw, przesyt w rozpuście, wykwint w przesycie, zrobaczenie w wykwincie— nagabały i nękały cię co chwila bezmierną swą p r ó ż n i ą, bezmiernem zaniepokojeniem umysłowem i moralnem, z którego powoli wyłaziła, rosła i wychowywała się puchlina niesłychanej na wszystko niecierpliwości, niesłychanego przeciw wszystkim rozdrażnienia... I ten to moment psychiczny książę Bismark obrał na wyklucie kandydatury hiszpańskiej z jaja, które od jesieni 1865 r., od powrotu swego z Biarritz, wysiadywał w Berlinie. To i nie dziw, że, gdy nareszcie ta „spanische Erbfolge“ wyfrunęła na świat, przyrodzenie rzygnęło za nią klątwą, podziśdzień zażegnać się nie dającą“ (str. 70, 73).

Brak logicznego, z natury rzeczy wypływającego powiązania p r z y c z y n z przed r. 1866 ze s k u t k a m i po r. 1866, sprawia, że „Wspomnienia“ mają oświetlenie chybione, ułomne, fałszywe, a stąd w wielu razach i koloryt impertynencko zuchwały... a to z powodu po studencku zaciętego stylu... Odbija się to szczególnie na lilipucich monografiach i charakterystykach postaci historycznych, traktowanych często *en canaille*... Pomijamy już rozmaite sylwetki „buldogów“ i „szpiców buduarowych“. Ale zarys parlamentarnej działalności Thiersa zasługuje na skarcenie. Gdyby mniejszość opozycyjna w ciałach przedstawicielskich oglądać się miała na to, co tam większościom szkodzi, co je na szwank wystawia, co ich kredyt podkopuje, wówczas na żaden sposób nie mogłoby być rozpraw sejmowych. Skąd, z jakiej racyi szermierz polityczny byłby obowiązanym do roli wyznawcy i apostoła purytańsko-chrześcijańskiej względem swego przeciwnika litości, zarazem prawdomówności. Trybuna prawodawcza — to nie konfesyonał. Historyk francuski Lanfrey słusznie nazwał Thiersa „gorącym zwolennikiem fatalizmu rewolucyjnego w dziejach, wielbicielem wszystkiego, co błyszczy, wznosi się i ma siłę, chwalcą każdego systematu i każdej partyi, idącej w górę, nieubłaganym prześladowcą doktryn i dzieł, pochylających się chwilowo ku upadkowi“... I to już jest aż nadto wystarczającem. Kwalifikacye dalsze pamiętnikarza są zbyteczne, jako przesolone i przewędzone. Jako działacz polityczny i mówca sejmowy, stał się Thiers za panowania Napoleona III najdzielniejszym budowniczym olbrzymiego pogromu 1870 r.... U ł a s k a w i o n y z a w i s t n i k początkowej chwały drugiego cesarstwa pochwycił on w ciele prawodawczym za toporek polityki anty-narodowościowej i uderzał nim w niecofnione już od r. 1859 zjednoczenie Włoch i w nieprzeparcie budzącą się w tymże kierunku opinię w Niemczech, bo

wiedział, że nowożytna ta zasada ustroju państwowego legła w podwaliny restauracyi napoleońskiej, że w niej tkwiła moc i znaczenie cesarstwa, żywotna jego racya bytu i wpływu. Robocie tej marnej, do śmieszności z początku nieudolnej zaczęły stopniowo wtórować rozmaite odcienie uraz republikańskich i legitymistycznych... Po r. 1866 kopacze stali już z motykami przy kamieniu węgielnym, podważali fundamenty budowy napoleońskiej... Wojna 1870 r. brzmiała — z tego powodu — w każdym zwrocie, w każdej literaturze mów thiersowskich od 1867 do 1869... A kiedy wojna, napierana falą tysiąca najróżnorodniejszych namiętności i wyrachowań, zawisła nad Francyą nieodbita i nieubłagana, wtedy nieuczciwy szermierz przerzucił toporek z prawej ręki do lewej i obuchem w łeb rznął tę wojnę, którą sam przedtem podstępnie przygotował... Tym zwrotem kuglarskim zapewnił sobie tytuł sternika ocalonej z rozbicia nawy ojczystej (słowa na jego pogrzebie), naprawdę zaś podstawił Francyi nogę w najbardziej krytycznej chwili: zasiał nieufność w sercach jej obrońców, zaćmił w umysłach rodaków świadomość bezpośredniej, prostej, żołnierskiej powinności, zachwiał odporną energię narodu, odsłonił przed małodusznością drogi możliwej do upozorowania zdrady“ (str. 147 — 149).

Gdzież tu owa bezstronność i sprawiedliwość, o której mówi p. Jeske-Choiński w przedmowie do „Wspomnień“? Cała filipika wysnutą została z gołosłownego twierdzenia, że zasadą naczelną zagranicznego, międzynarodowego posłannictwa Napoleona III była „idea narodowości“, otrzymana w spadku po wielkim przewrocie z końca wieku XVIII-go, jako odnowiony zabytek „przełomowej epoki 1789 — 92 r.“ Uderzenie na parlamentarną taktykę Thiersa miałoby jakiś odcień słuszności dopiero wtedy, gdyby atakowi towarzyszył najdrobniejszy choćby tylko promyk wskazówki, iż drugie cesarstwo istotnie wyraźnie, konsekwentnie zmierzało do urzeczywistnienia przypisywanych i narzucanych mu haseł. Tymczasem nasz pamiętnikarz w pracy swojej, tu i owdzie, rzuca nam zaledwie same tylko okruszyny domysłów, świadczących, że od roku 1865 działo się wprost przeciwnie, że polityka napoleońska była od tej daty, jak gdyby jednym ciągiem odstępstw i poniewierek idei napoleońskiej. Dobrze, lecz w takim razie, gdzie mamy szukać tej idei? w czem się ona wyraziła? kiedy powstała i jakimi czynami obecność swą zamanifestowała? W Biarritz, w r. 1865, podczas odwiedzin prezesa ministrów pruskich, świeciła nad Napoleonem — według tytulikowego zapewnienia autora — „dogorywająca“ już gwiazda. A w jakimże czasie widziano ją na dobre gorejącą? Symboliczny obrazek na str. 65 „duszy sierocej“, szczupłej, nikłej, jasnowłosej dzieweczki, zagarniętej w dniu 12-m października 1865 r. przez falę atlantycką, nie może przecież starczyć za poważny historyczny dowód. „Wesoła w towarzystwie szukała w chwilach wolnych samotności na pobrzeżach oceanu. Widziano ją nieraz, przesiadującą na wierzchołkach skał, zapatrzoną w niezmierzone przestworza morskie“... Ba! — a kogóż stamtąd wyglądała? na kogo oczekiwała? Czy na powrót meksykańskich obrońców idei narodowościowej?...

Wszystko to razem jest wielce niepewne i, choć niekiedy wytwornie pisane, to przecież bałamutne. Historya ma swoje obowiązki, których mącić nie wolno. Rewizya wyroku, wydanego na *resztki* i końce „misyjnych“ eksperymentów Napoleona III, nie jest ani tak łatwą, ani zapewne tak pożądaną, jakby to może istotnie wynikało ze zmiennych naszych antypatyi do wrogów i przeciwników autora „Idei napoleońskiej“ i „Historyi Juliusza Cezara“... W każdym razie, po motywy rewizyi sięgnąćby należało głębiej, staranniej i nawet sumienniej, niż to uczynio-

no, nie przemazywać początków, przedewszystkiem zaś nie rozgrzeszać czynów karygodnych na podstawie słów nader chybkich lub dokumentów takich, jak owe „Listy z nad Charenty", których szczątek jeden za ryzykownie wygląda nawet wśród „szarad" XIX stulecia (str. 53, 60).

Korekta — ku wielkiemu zapewne zmartwieniu autora—zaniedbana, w niektórych miejscach prawie figlarna, na figiel, rzekłbyś, obliczona. Droga z Rethel do Paryża nie wypada na Rennes, lecz na Reims (37). Materyały do dzieła „Der deutsch-französische Krieg" gromadził sztab nie francuski, lecz pruski (40). Napoleon III zezwolił w r. 1866 na przeobrażenie Niemiec nie południowych, lecz północnych (55). Niemcy zabrali w r. 1871 w Paryżu do 3000 armat nie wielkiego, lecz wszelkiego kalibru (94). Znanemu oficerowi sztabu Rydzewskiemu na imię było Euzebiusz, nie zaś Eugeniusz (126). Na tajne posiedzenia nie wychodzący, lecz wchodzący ręczą za siebie (135) i t. p. Oczywiście nie wspominamy już nawet o tuzinach *do* zamiast *od* i naodwrót, gdyż w błędnie zastosowanej metodzie wstecznej prof. Wojciechowskiego różnica znika zupełnie *₊*

**Sewer**: *Legenda. — Kto ona. — Euthanasia.* — Warszawa, 1900. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Legenda, biała, pachnąca legenda, prosta, jak polny kwiat, zapatrzony w błękity, wonna, jak przydrożna macierzanka. Wyszła z kraju ciemnego lasu, „gdzie lśniący, aksamitny mech rozścielał się dokoła sosnowych pni, oblanych żywicą, wyciągał się z pod jej stóp i ławą szeroką staczał do łożyska wody, pokrytej u brzegu tatarakiem, cichej, jak zaklęcie, głębokiej i tajemniczej, jak smutek"; rozejrzała się po ziemi i niebie, zatrzymała wzrok na cichych chatach, rozsiadłych w kotlinie, jak zbite stado ptasze— i w mgłach wieczoru srebrzejąca weszła między nie, dobre natchnienia z sobą niosąc, dobre słowa i myśli rozsypując na chaty. W oknie białego domku zobaczyła dwoje ludzi młodych, zapatrzonych w ognie zachodu.

„Widzisz, jak słońce czerwieni kłosy zbóż, jakby serdeczną krew aniołów rozlewało na świat", mówiła ona, tuląc twarz swoją drobną do jego piersi. I, jakby jakieś złe przeczucia przyciemniły przy tych słowach jej duszę, zamyśliła się nad czemś nadchodzącem, co może już zwróciło na nią swe oczy, już wypatrzyło ją z pośród ludzi i zabrać z sobą przychodzi.

„Czy to droga do nieba, jasności pełna? mówiła dalej, a raczej słowa same napływały jej do duszy, niesione falą ciemną, tajemną. „Chciałabym umierać w tę porę. Oknobyś otworzył, a dusza moja wstąpiłaby w tę jasność srebrzystą".

On ją uspakaja, mówi o życiu i ziemi, odpędza słowami lęk, jaki i jego ogarnął. Tak, życie, dzień powszedni, ona wie o tem, ale poza tem wszystkiem pracuje w niej nieujęta, nieukojona tęsknota dusz odlatujących, którym trudno we własne życie uwierzyć.

I do tych dwojga ludzi wchodzi legenda, nie z eterycznych promieni utkana, bez powojów na srebrzystej szacie, bez goplanowych jaskółek na skroni, lecz w postaci młodej nauczycielki, która właśnie przyjechała z miasta objąć posadę przy szkole wiejskiej. I odtąd poczynają się dziać dziwy i uroki. Z dziewczęcia tego promienieje serdeczne światło na cały otaczający je świat i wiąże go z sobą złotą przędzą swych młodych uczuć i porywów. Historya prosta i napozór tak prozaiczna, jak dzieje nauczycielki ludowej, rozpoczynającej swój zawód gdzieś w zapadłej galicyjskiej wioszczynie, przetwarza się pod piórem autora w poemat młodości, w senne miraże, przechodzi w jasne i czyste symbole. Czy

tak wygląda prawda i życie, ktożby dochodzić i prawować się zechciał! Jeśli w życiu tak nie jest, to przynajmniej tak być powinno, tak może będzie, gdy czas pomknie kroku, a „legendy“ podobne tej, o której mowa, wsiąkną w żywą krew naszej młodzieży.

„Był sobie król“ — opowiada młoda nauczycielka, a dzieci słuchają z zapartym oddechem — był sobie król, miał dużo wojska, bogactw co niemiara i stary, wielki zamek na wysokiej skale. Przy nim mieszkała jego córka, królewna ślicznej urody“.

Oczywiście, król i królewna. Założenie dobre, bez króla trudno o bajkę, a jeszcze trudniej bez królewny. I cóż dalej?

A dalej także—jak w bajce. Królewna bawi się i śpiewa, i tańczy — a wszyscy ją kochają, choć sami nie wiedzą, za co. Izbę miała taką a taką, suknie nosiła takie a takie, ogrody pełne kwiatów, klatki pełne cudnych ptaków, roje służby, stajnie, psiarnie i tak dalej. „Nigdy nie było jej zimno, nie wiedziała, co to głód, a biednego to na oczy swoje nie widziała“.

Aż „razu pewnego“ na wigilię przychodzą do zamku pastuszkowie z szopką i kolendą. Postawili szopkę na stołkach, cały dwór z królem na czele zasiadł do widowiska, przy królu usiadła królewna. Rozległa się kolęda „wśród nocnej ciszy“, przyszły w szopce pastuchy pokłonić się Panu Jezusowi i świętej Rodzicielce.

To się nie podobało królewnie. Nie chciała na to pozwolić, aby Pana Jezusa najpierw witały pastuchy, takim obłazgańcom nie powinno być wolno nawet wchodzić tam, gdzie leżał Pan Jezus. Tylko królewskie dzieci mogły tam mieć prawo, a nie świniopasy i bydlarze. I póty płakała i wydziwiała, aż król na jej prośbę kazał pastuszków wypędzić z zamku wraz z szopką i zakazał im się pokazywać.

Tak tedy grzech popełniony, jest wina, a po winie przyjść powinna kara— w bajce przynajmniej. Jakoż istotnie przychodzi. Królewna błądzi w lesie na dworskiem polowaniu i staje nagle w ogrodzie Matki Boskiej, a ta ją przemienia w chłopkę. Anioł, ubrany w szaty królewny, odchodzi do orszaku dworskiego, a królewna słyszy swój wyrok; „za to, żeś gardziła pastuszkami, pognam cię w lud, abyś z nim żyła, z nim cierpiała, poznawała jego dolę i niedolę, abyś mu niosła dobre słowo i kochała jego dzieci tak, jak ja je kocham. A teraz idź!“

I zniknęła Matka Boża — a królewna, w szaty ubogie przybrana, wracała do zamku, jak błędna, gdzie jej nie tylko nie wpuszczono, lecz najniespodziewaniej ściągnięto harapem po plecach, bo pachołkowie przy bramie taki mieli rozkaz, żeby się tu biedaki i włóczęgi nie pokazywały królewnie na oczy.

Zaczęły się ciężkie dni pokuty.

Słuchają dzieci w ludowej szkółce, słucha i czytelnik, bo mu się w oczach obrazy bajki zmieniają w dalekie symbole. Co dalej, pytamy, co dalej?

Idzie królewna przez las, idzie dzień cały, patrzy na zamek, świecący wysoko na niebie — i płacze. A tu i wieczór nadchodzi, robi się straszno, puhacze huczą, coś łamie gałęzie, coś jęczy i błyska oczyma. W tem jawi się chata pod lasem ze światłem w oknach. Królewna puka, otwiera i wchodzi. Trzy stare baby coś warzą w kociołku, pewnie kaszę. Oj! nie baby to były, ale czarownice, edna Nędza, druga Choroba, a trzecia Ciemnota. I nie kasza to była, ale łzy ludzkie gorzkie, rozpaczne. Przenocowała z niemi królewna, a rano, skoro świt, wyszła pod chatę. Przed nią w kotlinie budziła się wieś, dymy szły w górę, drzwi trzaskały, skrzypiał żóraw studzienny, bydło szło wolno na paszę. A w tej gro-

madce ludzi i zwierząt uwijały się już chyże czarownice, trapiąc biedny lud, jak kobuz trapi stado gołębi, szukając w niem ofiar dla swych szponów.

Westchnęła królewna: „och“; było to pierwsze jej westchnienie nad ludzką niedolą. A w tej samej chwili stanął przed nią siwy brodaty dziaduś.

— Czego chcesz? pyta się królewny.

— A któż to wy, dziadku? pyta ona.

— Jestem Och, wezwałaś mię, mów, czego żądasz“.

Ze sposobności trzeba zawsze umieć korzystać, więc królewna do niego w te słowa:

— Daj mi, dziadku, jaki sposób na to, by lud nie cierpiał tyle od głodu, nędzy i ciemnoty.

— Dobrze, dam, mówi dziadek, i daje szary płaszcz dziewczynie. „Kogo tym płaszczem — powiada — okryjesz, ten będzie bezpieczny“.

Odtąd poczyna się wiejskie życie królewny. Zbiera dzieci, okrywa swym płaszczem, opiekuje się niemi, uczy, rozwija. Wypiękniały wszystkie dzieci we wsi, zmądrzały, już złe baby z pod lasu nie miały do nich przystępu. Lat kilka minęło, a dzieci we wsi, jak gdyby nie te same. A królewna w szarym płaszczu zbiera je w gromadę i wodzi z sobą na pola, poza wieś i albo jakiej pieśni nauczy, albo co o słońcu i gwiazdach opowie, albo urwie ziół, szałwii, ciemierzycy, żywokostu, szelestuchy i uczy, do czego które przydatne: to na krzypotę, to na bolączki, tamto od zimnicy, to znowu na oczy...

I tak chodzi za winy dawne pokarana królewna - legenda i serca młode ulepsza i sama coraz czystsza, coraz doskonalsza, jak pieśń święta.

— Cóż dalej?

— Dobrze, opowiem, co dalej. Oto nagle rozeszła się po kraju wiadomość, że król spadł z konia i raptem stracił mowę.

Rozbiegli się słudzy do doktorów, sprowadzano ich z najdalszych okolic, dawano największe nagrody, ale najmędrsi z nich nie umieli nic poradzić. Król był niemy. Wówczas przyszedł na króla sen osobliwy. Śniło mu się, że wtedy odzyska mowę, gdy usłyszy kolędę, śpiewaną przez dzieci, które jeszcze nigdy nie skłamały. Sprowadzono dzieci książęce, wyuczono je śpiewać kolędę. Zeszedł się dwór, król zasiadł na tronie, przy jego boku anioł, zmieniony w królewnę. Zaśpiewały dzieci książęce, wszyscy spojrzeli na króla, lecz władca pozostał niemy. I tak dalej, i tak dalej — aż wreszcie...

Na zamek przychodzi królewna w szarym płaszczu ze swymi pastuszkami. Zebrał się dwór, król zasiadł na tronie, przy jego boku anioł, zmieniony w królewnę. Stanęły dzieci przy swej opiekunce i na dany znak zaśpiewały. Wśród nocnej ciszy... I tam dalej. Toczy się i rozwija srebrzysta legenda, przez usta dzieci wchodzi pod strzechy wioski i, powracając do twórczyni swojej, zawisa nad jej głową świetlaną obręczą. W ludzie rozchodzi się wieść, że ta królewna—to „ich panienka“, którą Matka Boska pognała w lud, by ulżyła w jego doli. Odtąd tajemniczy nimbus otacza jej postać w oczach tych ludzi prostych, mających w sobie dar prawdziwej poezyi, dar idealizowania rzeczywistości, gdy ona ich serce potrąci.

Cóż to za królestwo porzuciła ta królewna z bajki dla smutnej doli nauczycielki? — pyta się młody kierownik szkoły, któregośmy poznali w początkach opowiadania.

Jej królestwo — odpowiada zamyślona Zosia — to świat odległy od życia, jak samotne wyspy oceanu, to orkan chopinowskich akordów, upojenie tęsknot

bezosobowych, białe łabędzie, pływające po zaklętych wodach, to dusza, wyszła z ciała i błądząca w przestworze, rozmodlona w nieskończoności. Z takiego królestwa ciężko i trudno uciec do cichej wioski i szkółki wiejskich dzieci, ale gdy się raz ucieknie, już się tam nie wraca. Pokorni bierzemy na barki obowiązek. miłość rozpala nam serca, dobro prostuje ścieżki, idziemy cisi i skromni spełniać nasze zadanie w przykazanie nowego zakonu — kochaj.

A gdy każą jej być nagwałt sfinksem i zagadką, odpowiada poprostu: nie jestem sfinksem, tylko dziewczyną, która chce być czemś, a uczyć dzieci drugich— to dla niej świętość.

I tak napół, jak w bajce, na pół, jak w życiu snuje się żywot młodego dziewczęcia na tle szarem, złożonem z przydrożnych chat, wierzb, wieńcem sadu otoczonej szkoły i starego kościoła — ale żywot wcale nie szary, bo z gwiazdą posłannictwa nad czołem, z twarzą od jej światła posągową. W ten prosty a poezyą ozłocony motyw wplata autor inne, całkiem odrębne pasma przędzy, wcale zręcznie na pierwotnem tle przetykane.

Pomiędzy dziewczyną a jej narzeczonym rozgrywa się walka duchowa dwu światów. „On“ jest literatem, mówiąc prozaicznie, poetą, mówiąc poetycznie, i należy do „szkoły najmłodszych“ w literaturze. Co to ma oznaczać, tego nikt zdefiniować nie potrafi, według rozumienia pana Gustawa oznacza to... właściwie to i on dobrze nie wie, coby to miało oznaczać, Za to umie on dobrze powtarzać cudze myśli o bezpośrednich stanach duszy, o symbolach i sugestyi, o błędnych gwiazdach, śniących o wieczności, a jeszcze lepiej przerabiać te myśli na frazesy.

W panu Gustawie naszkicował autor typ literackiego snoba i epigona, których bandy ciągną zawsze za każdą armią ducha. Tacy rzępoliści słowa zdolni są z rzeczy najpiękniejszej stworzyć muzykę cygańską; ich ulubionem zadaniem jest z prawd, z głębi duszy twórców wyrwanych, robić absurda, wszelkiego sensu pozbawione, i obnosić z sobą, stosując je, gdzie należy i gdzie nie należy. „Boże, ulitowałeś się nade mną — modli się Zosia, wyzwoliwszy się z zaklętego koła wizyonerów, — ulitowałeś się nade mną i wyrwałeś mnie z piekła halucynacyi, miraży, fałszywych bólów, zwyrodniałych ekstaz, po których zostaje niemoc, smutek, zwątpienie, odraza do rzeczywistości, lenistwo ducha, lenistwo czynu, apatya i sen, poprzedzający znowu nerwowe orgie fantazyi“.

O to pojęcie życia, literackie i realne, toczy się między temi dwiema duszami spór, wymianą zajmujących listów prowadzony, aż wreszcie obie strony rozchodzą się w kierunkach przeciwnych. „Co się z tobą stało? — pisze Zosia do swego wizyonera — „Do niedawna stałeś przede mną szczery i serdeczny w ogniu twych natchnień! Teraz wszystko w tobie sztuczne, od stylu do języka kłamane, robione na pokaz. Zdaje mi się, że jesteś ulepiony z papy papierowej; ciebie żywego, którego znałam, niema już, ukradli mi cię“.

„Nie jestem artystką w dzisiejszym twym stylu, nie mogę się wznieść ponad naród, ponad społeczeństwo, ponad etykę — ponad wszystko, co mi dała tysiącletnia kultura, z której i ty wyrosłeś“.

Tak się skarży młoda dziewczyna, a z nią razem skarży się autor, z nią razem wybucha człowiek-artysta, który ukochał życie w całej jego jasnej, serdecznej potędze i poi się jego rozlewnością.

„Wzywacie śmierci po bezsennie spędzonej nocy, po zupełnem wyczerpaniu. Jesteście młodzi i nie wierzycie, aby śmierć przylatywała na każde skinienie; lecz ludziom, stroskanym naprawdę, zmęczonym w walce życia, co wy im dajecie? Czy

ta poezya wasza jest ożywczym dla nich nektarem? Poezya wasza dla nich to śmierć“.

A poza tym sceptycyzmem pisarza, który wyrósł i wychował się w zupełnie odmiennym okresie literackim — i obecnie po kilkudziesięciu latach twórczości czuje się zewsząd otoczony falą nowych pojęć i upragnień, znajdujemy tu takie bezstronne i jasne na młody ruch duchowy spojrzenia, jak np. poniżej przytoczone:

„Gdzie natura sili się do stworzenia nowego typu, tam powstają najpierw monstra, pozbawione harmonii, lecz posiadające zadatek przyszłego rozwoju, posiadające siłę. Przypatrz się, jak konwulsyjnie pokręconym jest wielbłąd, jak są niezgrabne i ciężkie szkielety zaginionych prototypów konia. A teraz spójrz na wspaniałe muzyczne linie tego zwierzęcia i wyznaje, czy niema w przyrodzie tendencyi do harmonii.

To samo w życiu duchowem. W tem wszystkiem, co nas dziś razi, znać jedną rzecz wielką i piękną, znać szukanie, mozół, pracę, rwącą się naprzód do nowych światów duszy, znać rozpęd i siłę. A jeżeli jeden lub drugi filister, umiejący na pamięć parę ustępów z Pana Tadeusza lub Ojca Zadżumionych, macha ręką nad ruchem obecnym i twierdzi spokojnie, że to głupstwo, zwyrodnienie, że z tego za lat dziesięć nie zostanie ani śladu, to zostaw go w spokoju z jego gazeciarską mądrością; od czegóż jest on filistrem“.

Tak pisze Sewer, pisarz, posiwiały w swym zawodzie. Zestawmy to w myśli z tem, co wypisują gromowładni krytycy, tak blizko skuzynowani z powyżej wspomnianym filistrem...

A potem spojrzenie w przyszłość: „Będzie w tym ruchu — pisze Sewer — duch harmonii między kulturą wschodu i zachodu, a źródłem jego ziemia, leżąca na pograniczu tych światów, i naród, co oba te światy „wziął w siebie i stopi je w jedną duszę“.

Wśród takich myśli i zadumań, jak wśród stromych skał nadbrzeżnych, toczy się fala opowiadania wartkim, nerwowym rozpędem, właściwym temperamentowi tego, który ją z mgieł czasu dobył i rozkołysał. Opowiadanie to proste, niewyszukane, może nawet zanadto niewyszukane, kończy się symfonią śmierci, jak się jej przeczuciami zaczęło. Ale w oczach Sewera i śmierć nie jest pustką i martwicą. Przychodzi ona dobra i cicha, kiedy słońce pławi się w błękicie, a kwiaty jabłoni opadają miękko na ziemię; przychodzi nie rabować i niszczyć, lecz odwoływać w inne regiony i nieść na skrzydłach swoich w nieskończoność. Budzi żal, lecz zostawia nadzieję.

Jej poświęcony jest obrazek „Euthanasya“ (dobra śmierć). Dwoje chorych: on, powalony przez chorobę płuc, ona, napozór zdrowa, lecz z zarodem wady serca, leczy się nad brzegiem morza, w zacisznej wloskiej zatoce i dźwiga zwolna do zdrowia. A kiedy już pełni nadziei marzą o przyszłem szczęściu, o jakiem śpiewa im w duszy symfonia wzajemnej miłości, słyszą przypadkiem pewnego zmroczonego wieczora głos doktora, przechodzącego obok ich willi.

„I tu — mówił doktór do przyjaciela — dwa wyroki śmierci podpisane i niecofnięte, jak przeznaczenie. Natura nieubłagana zna tylko swoje prawa. On dźwiga się po to jedynie, by runąć, ona jednak wyprzedzi go. Serce jej stanie i uśnie... Tak być musi...“

I odtąd dwie te istoty, związane z sobą miłością i śmiercią, idą naprzeciw ciemnej nocy z pieśnią na ustach, z rezygnacyą w duszy — a ona ich pochłania.

Pod względem techniki jest to najlepiej zbudowana nowelka z pośród trzech

w niniejszym zbiorze pomieszczonych. Ma swojego, przez Brandesa wymaganego „sokoła“.

Najwięcej bujności i swobody języka posiada nowela trzecia „Kto ona?“. Historya stara, która jednak zawsze jest nową; historya miłości między malarzem-artystą a młodą kobietą zamężną, odrodzoną przez miłość i z ciasnej sfery konwenansu i pozy wyprowadzoną w jasne światło życia. Uczucie to przekształca jej dziecięce serce w wezbraną wiosenną falę, kruszącą lody zimowe, z posłusznej pensyonarki czyni dojrzałą kobietą, świadomą siebie samej i swych obowiązków nie tylko wobec świata, nietylko wobec rodowego splendoru i karyery swego męża-dyplomaty, lecz i wobec swego serca i jego świętych praw. „Jedno jest życie — wyznaje mężowi, a dla kobiety kochać to żyć.“ „Przebiegam myślą czyny kobiet, zacząwszy od Joanny d'Arc, a skończywszy na matce, która ciężko pracuje, aby wyżywić swe dzieci — miłość jest ich źródłem“. I miłość zwycięża. Niezawsze w życiu, zawsze u Sewera, tego zawziętego rewolucyonisty serca. Jemu tylko zaprzysiągł służbę wierną, jego tylko prawa uznaje.

Stąd ta serdeczność i dobre, ożywcze tchnienie, bijące z kart jego utworów. Nie rozpacza nigdy prawie, nigdy nie traci energii i nadziei. Ale stąd też pochodzi pewne niedociągnięcie i pośpieszność obserwacyi, odrywającej się tak łatwo z życia realnego w dziedzinę wyobraźni autora. Serce własne okłamuje go, pokazuje mu świat nie takim, jakim jest w istocie, ubiera w mgławe miraże.

Kto szuka w sztuce ścisłego odbicia życia, ten przejdzie do przekonania i łatwo przekona innych, że ludzie tak nie rozmawiają z sobą, że wypadki tak nie następują po sobie lub przynajmniej nie w tak szybkiem tempie, jak to się czasem dzieje w utworach Sewera. Będzie on również wytykał, że rysunek postaci traci kontury wyraziste, własne, a przechodzi w pewną typowość. Pociąga to za sobą ten skutek, że nie żyjemy życiem osób, o których mowa, nie czujemy się zespoleni z niemi do tyla, byśmy znali i przechodzili wraz z niemi każde drgnienie ich duszy; jesteśmy poza niemi, słyszymy o nich, nie zapominamy, że nam Sewer o nich opowiada.

Ale poza tem wszystkiem, poza drgającą wizyą życia, za jaką utwory Sewera uważane być winny, poza tą iluzyą bytu, która w gruncie rzeczy inną jest u każdego z piszących, dostrzegamy jedną prawdę żywą, wychylającą się ku nam z kartek opowieści, odczuwamy indywidualność autora, jego duszę, z której ten świat chwiejnych postaci, jak mgła z morza, wysnuł się i w słońcu roztęczył. Co do mnie przynajmniej, szukam zawsze tej twórczej duszy czy to w książce, czy w dziele sztuki, czuję, gdy mówi od siebie, czuję, gdy zdradza się albo kłamie, trzymam rękę na jej pulsie, by wiedzieć, co ją porusza, kiedy cierpi, jak się zapala, w co wierzy, kiedy jest zimną.

Czytając Sewera, czuję, że mówi tutaj człowiek czystych intencyi i krwi gorącej, serdecznej. Kocha życie, a bardziej jeszcze poświęcenie dlań. Kocha wszystko, co cierpi, pragnąłby widzieć wszystkich szczęśliwymi i siać to szczęście z piersi swych, „jak się zboże sieje, lać ją z serca, jak źródło wodę z wnętrza leje, rozkładać ją, jak złotą blachę, gdy się kuje z ziarnka złotego“—jak w owym wierszu Mickiewicza. Za powolnym mu bieg świata, skoro tyle na nim nędzy i nieszczęścia, a dotąd jej usunąć nie zdołano, czy nie miano dość serca i woli ku temu. Nie mogąc w życiu, uszczęśliwia tedy rad w świecie własnej wyobraźni, a objąwszy w nim „rząd dusz“, wiedzie je w różany świt, ku wschodzącemu słońcu.

W tych uderzeniach gorącego serca, jakie poprzez zimne kartki wyczuwamy, leży ożywcze piękno i prawda jego utworów. Jest w nich coś z mocy życia, a coś z jasnej, srebrzystej legendy. *M. Garda.*

**Ks. Karol Niedziałkowski.** *Czemu dziś w poezyi nie mamy słowików?* (Wilno, 1901).

Niżej podpisany krytyk bynajmniej nie należy do cechu, o którym ks. Niedziałkowski mówi na str. 55... „ręczę, niejeden czytelnik czatował na mnie, pewny, że mnie... zdruzgocze na miazgę“; jeżeli zdaje sprawę z jego książki, to wcale nie dlatego, aby autora „na miazgę zdruzgotać“, lecz dlatego, że jej przedmiotem jest poezya polska, której losy bardzo żywo krytyka obchodzą.

Genezą pracy ks. Niedziałkowskiego jest zakończenie studyum prof. Chmielowskiego o „Współczesnych poetach polskich“. Stwierdzając fakt, że „w metodzie ich (t. j. poetów dzisiejszych) śpiewu nic tyle znać słowików lub choćby skowronków, ile pięknymi głosami obdarzonych kanarków, ślicznie odtwarzających wyuczoną nutę“, pyta prof. Chmielowski o przyczynę i odpowiada: „Najprzód życie gorączkowe, pełne niepokojów i wahań, a potem... ta okoliczność, że nam wszystkim nie dostaje możności szerszego oddechu“... Ks. Niedziałkowski obydwie te przyczyny nazywa „powierzchownemi i niewystarczającemi“ (str. 13); co do pierwszej, twierdzi, że „od Homera począwszy, życie gorączkowe, pełne wrażeń, niepokojów, nawet bied i utrapień, ani trochę prawdziwym poetom nie przeszkadzało być wielkimi“, i dalej: „przez co to nie przechodzili tacy poeci, jak Dawid, Homer, Dante, Tasso!...“ Radzibyśmy bardzo wiedzieć, przez jakie to niepokoje i utrapienia przechodził zwłaszcza H o m e r!!? Ale mniejsza o to. Czytajmy dalej: „Albo ów brak szerszego oddechu — a czy go mieli: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Zaleski?“ Jakto? Więc autor nie rozumie, co prof. Chmielowski pojmuje pod brakiem „możności szerszego oddechu“? Jedno z dwojga: albo nie rozumie, albo zrozumieć nie chce; wolimy przypuścić to pierwsze, bo inaczej musielibyśmy go posądzić wprost o złą wolę, a do tego nie mamy żadnych danych.

Cóż więc, według autora, jest główną przyczyną upadku poezyi polskiej w ostatniej ćwierci zeszłego stulecia? Brak wiary, zanik religijności, ducha chrześcijańskiego, a rozpanoszenie się bezwyznaniowości, „darwinizmu, pozytywizmu i t. p. i z m ó w“ (str. 222), które autor potępia, jako z nauką chrześcijańską rzekomo niezgodne; chłodna, „niechrześcijańska“ nauka zabiła idealne hasła, z których powstała wielka poezya romantyczna, przecięła nić, łączącą człowieka z Bogiem, wysuszyła czyste źródło, z którego czerpali niegdyś natchnienie i siłę wielcy poeci. Oto jest teza, której prawdziwości dowodzi autor zapomocą całej bateryi argumentów. W znacznej mierze autor ma słuszność; zgadzamy sie z nim najzupełniej, że p r a w d z i w y m poetą może być jedynie człowiek, „posiadający w duszy światło ideału“ (str. 46); i to prawda, że dziś światło ideałów nie posiada ani połowy tego blasku, jakim jaśniała epoka romantyzmu, prawda, że, jak to prześlicznie wypowiedział Asnyk,

Śpiewne serc głosy, idealne hasła,
Płomienne słowa, mistyczne zachwyty
Przebrzmiały — lampa cudowna zagasła,
Na ziemię runął ideał rozbity...
I w naszych oczach rozpadło się w gruzy
Tęczowe państwo romantycznej muzy.
Prąd czasu innem popłynął korytem,
Nastała nowa epoka żelazna,
Która, wciąż ziemskim zaprzątnięta bytem
Niebiańskich widzeń słodyczy nie zazna,
I tylko w ziemi wnętrznościach się grzebie,
Zajęta myślą o codziennym chlebie.

Ale czy zanik wiary jest j e d y n ą przyczyną obniżenia się poziomu naszej poezyi? Bynajmniej! na rozwój i charakter poezyi wpływają jeszcze warunki polityczne, społeczne, ekonomiczne i t. d, a o tem wszystkiem autor zdaje się nic nie wiedzieć i całą odpowiedzialność sklada na brak ślepej wiary, piorunując przeciwko „bezwyznaniowości“. Skąd w tej epoce „bezwyznaniowej“ wziął się Sienkiewicz albo Prus, autor nie mówi nic. Uniesiony zapałem prokuratorskim, odsądza większość poetów doby dzisiejszej od czci i wiary, poczytując ich za wrogów chrześcijaństwa, a krytyka ich twórczości, prof. Chmielowskiego, zalicza do „najumiarkowańszych przedstawicieli n i e c h r z e ś c i j a ń s k i e g o kierunku w naszej literaturze“ i twierdzi, że „u niego, najumiarkowańszego, religia jest fałszem, złem, zacofaniem, choć tego wyraźnie nie powiada; wszystko, co przeciw niej — prawdą, światłem i postępem. Ktoby zaś umiał czytać i to, co nie zostało napisanem, przekonałby się z tego, czego p. Chm. *nie napisał*, jak dalece mu idzie nie o zewnętrzne obrządki, ani o duchowieństwo, lecz właśnie o religię i jej dogmaty“. Szczególna metoda krytyki. Sądzić pisarza na podstawie tego, czego *nie napisał*!! A gdybyśmy zastosowali tę samą metodę do oceny książki ks. N ?... Ale nie—nie wolno, wolimy ją ocenić na podstawie tego, co w niej jest, a jest w niej na str. 193, co następuje: „...cesarz Zygmunt, prześladując Husa i jego herezyę, miał zupełną słuszność“. Własnym oczom się nie wierzy! Jakto? ten, co innym zarzuca *niechrześcijański* kierunek, pisze, że „cesarz, *prześladując* Husa, miał *słuszność*“? Jestto, *co najmniej*, mówiąc bardzo oględnie, niekonsekwencya. Zresztą autor dodaje: „Nie przeczę, że spalenie żywcem jest śmiercią okropną, ale czy to takie rzeczy działy się w onych wiekach? Takim był duch czasu“. *Esto!* Ale w takim razie „duchem czasu“ tłómaczy się i to, że „z zasad chrześcijańskich pozostały w umysłach poetów tylko ułamki i strzępy“ (str. 242)? Nie, to zupełnie co innego, twierdzi autor, tu nie duch czasu winien, tylko poeci! To także szczególna logika...

Wogóle autor jest mistrzem w podobnego rodzaju niekonsekwencyach. Przytoczymy jeszcze jeden przykład. Na str. 77 czytamy, że „poezya ubiera w piękne szaty uczucia i wyobrażenia współczesnych, i tyle w niej jest siły, ile jej mają owe właśnie uczucia lub przekonania“; dajmy na to, ale odwróćmy książkę na str. 80 i czytajmy: „Przyczyną, która pokolenie z drugiej ćwierci naszego wieku popchnęła na drogi samobójcze, bynajmniej nie było wychowanie na „z gruntu chorej poezyi polskiej“, bo poezya była z małymi wyjątkami zdrową. ale pokolenie było chore“. Jakimże cudem może być *zdrową* poezya, która „ubrała w piękne szaty uczucia i wyobrażenia“ pokolenia *chorego*?!

Te wszystkie i inne niekonsekwencye tłómaczą się z jednej strony zupełnym brakiem metody naukowej, a z drugiej stronniczością, która poprostu zaślepia autora i nie pozwala mu rachować się z wymaganiami logiki. a często i z faktami. Wogóle cała książka pisana jest stronniczo; tak np. za jeden z dowodów „bezwyznaniowości“ naszej poezyi autor podaje posługiwanie się motywami i przedmiotami ze świata staro-helleńskiego, jak gdyby nie rozumiał, że allegorya jest w poezyi zupełnie uprawnioną, a czasem, w pewnych okolicznościach,—konieczną. Albo np., chcąc dowieść, że tylko tam może być poezya, gdzie jest wiara, twierdzi, iż klasycyzm polski dlatego „nic prawdziwie wielkiego nie wydał“, że był „wytworem pokoleń bez wiary i bez moralności“. Ależ taki Koźmian np. albo Wężyk nie byli wcale ludźmi bez wiary; nie był bez wiary i Krasicki, choć napisał „Monachomachię“ i choć ośmieszał „przewielebnych“. Przebiegając dzieje literatury powszechnej, tendencyjnie przemilczał autor o poezyi odrodzenia, bo fakt, że ta epoka wydała w Polsce i we Włoszech prawdziwie piękną poezyę, byłby niedo-

godnym dla autora z uwagi, iż ta sama epoka nie odznaczała się zbyt żywą wiarą; ani słowa także autor nie wspomina o XVII w. w Polsce, kiedy to wiara była silna, a poezya upadła i t. d.

Z poszczególnych poetów polskich ostatniej doby autor analizuje utwory Gomulickiego, Czesława, Konopnickiej i Asnyka. Od krytyka wymagamy, oprócz wielu innych warunków, i tego jeszcze, aby był dobrym psychologiem; ks. Niedziałkowski jest psychologiem bardzo lichym, skoro np. nie umie pojąć w poetach „żalu za utraconą wiarą“ ani tęsknoty za „czasem legend i złudzeń“ (str. 247). Mniejsza o to. Ciekawym jest pogląd autora na Asnyka. Jege wiersz p. t. Odpowiedź jest, powiada autor, „namiętną repliką na jakieś nieznane mi zarzuty“; dalej dowiadujemy się, że jest ten utwór „zapewne wybrykiem jakiegoś chwilowego rozdrażnienia, jakiegoś stronniczego sporu“. Wyraźnie autor nie ma pojęcia o genezie Odpowiedzi; gdyby je miał, nie napisałby takiej niedorzeczności. I jeszcze: „poezyę uważał on (Asnyk) za jakieś bardzo przyjemnie łudzenie się, za sen miły, marzenie czarodziejskie, słowem za baśń —tęczową wprawdzie, ale zawsze za baśń tylko“; podstawą tego poglądu jest dla autora „Baśń tęczowa“ (str. 229). Widocznie autor nie rozumie ani „Baśni tęczowej“, ani poezyi Asnyka wogóle: twierdzić, że poezya była dla Asnyka tylko „bardzo przyjemnem łudzeniem się“, jest poglądem wysoce naiwnym; ten tylko wygłosić go może, kto nie umie czytać i odczuwać poezyi. O genetycznym związku, jaki zachodzi pomiędzy poszczególnymi utworami Asnyka, autor nie ma nawet wyobrażenia; zresztą nie zadał sobie trudu zbadać go i zarzuca wydawcy pism El...ego, p. St. Krzemińskiemu (str. 309), że wprowadzony przezeń układ „nie daje choćby przybliżonego pojęcia o chronologicznym rozwoju pojęć i uczuć poety“, Szkoda, że autor nie zwrócił uwagi na dodaną do III tomu bibliografię pism Asnyka, sporządzoną przez p. Krzemińskiego; ale prawda — wydrukowano ją petitem: *graeca sunt, non leguntur.*

Powyższych uwag wystarczy dla charakterystyki dzieła ks. N. Wogóle sprawia ona wrażenie nie książki naukowej, lecz pamfletu, napisanego bez znajomości przedmiotu, ale za to *cum ira et studio*, a wymierzonego przeciwko... „panom z przeciwka“, jak autor—z właściwą sobie kurtuazyą i pięknością stylu — nazywa (na str. 223) „przedstawicieli niechrześcijańskiego kierunku w naszej literaturze“.

*Ign. Chrzanowski.*

**Eos**, czasopismo filologiczne. Organ Towarzystwa filologicznego pod redakcyą *Ludwika Ćwiklińskiego.* Rocznik VI. 1900. We Lwowie. Nakładem Towarzystwa filologicznego. Z drukarni E. Winiarza. Główny skład we Lwowie, w księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 8-o str. ul. 6 + liczb. 305 + 30 + 4 nl.

Od roku 1893 istnieje we Lwowie Towarzystwo filologiczne, pierwsze wogóle tego rodzaju towarzystwo polskie, mające za cel skupienie sił polskich, oddających się studyom filologii klasycznej, pielęgnowaniu i krzewieniu filologii klasycznej z uwzględnieniem potrzeb nauki szkolnej. W krótkim przeciągu swej działalności podjęło towarzystwo akcyę w niejednej aktualnej kwestyi, jak np. w sprawie chrestomatyi poetów polsko-łacińskich, w sprawie wydania słownika łacińsko-polskiego i słownika do Homera, w sprawie wydań autorów klasycznych i komentarzy do wydań szkolnych greckich i łacińskich klasyków, unormowania lektury klasycznej i nauki archeologii w gimnazyach i t. p.; niejedną też z wymienionych spraw udało się Towarzystwu pomyślnie rozwiązać. Jednym z ważniejszych środ-

ków, mających służyć do urzeczywistnienia celów Towarzystwa, jest wydawanie osobnego czasopisma, poświęconego sprawom filologii p. n. „Eos“ (Jutrzenka). Dzięki niestrudzonej zapobiegliwości i skrzętności prezesa Towarzystwa, prof. d-ra Ludwika Ćwiklińskiego, będącego zarazem naczelnym redaktorem „Eosu“, rozwija się młode czasopismo korzystnie, czego najlepszym dowodem zwiększenie się w każdym roczniku ilości rozpraw; dotąd wydało Towarzystwo sześć tomów swego wydawnictwa. (I 1894. II 1895. III 1896. IV 1897. V 1898/9. VI 1900). Trudno mi w pobieżnej notatce choćby wyliczyć ważniejsze prace, pomieszczone w pięciu pierwszych rocznikach: wystarczy wspomnieć, że czasopismo zawiera prace z zakresu filologii greckiej i rzymskiej, historyi starożytnej i archeologii, z gramatyki, z zakresu szkolnej nauki języków klasycznych, liczne przyczynki do humanizmu polskiego, cały szereg recenzyi, sprawozdań i zapisków literackich, w końcu bibliografię filologii klasycznej i literatury humanistycznej w Polsce od roku 1891. W sześciu rocznikach pomieszczono przeszło sto rozpraw z powyżej wymienionych zakresów.

Bogatą treścią odznacza się przedewszystkiem szósty rocznik „Eosu“, poświęcony Uniwersytetowi krakowskiemu w pięćsetną rocznicę jego odnowienia. Wydział Towarzystwa pragnął także ze swej strony uczcić tę wiekopomną rocznicę wydawnictwem odpowiedniem, nie szczędził też trudu w pozyskaniu prac z rozmaitych zakresów filologii klasycznej: tom VI zawiera w istocie sporą liczbę rozpraw, jako to 6 przekładów, 11 rozpraw filologicznych, 7 rozpraw z zakresu humanizmu i blbliografię, razem 25 artykułów. Zasługą też redakcyi jest pozyskanie prac Jana Kasprowicza, Kazimierza Kaszewskiego, Wincentego Lutosławskiego i innych. Rocznik rozpoczyna piękna dedykacya książki, napisana przez Bronisława Kruczkiewicza, ułożona w formie listu do rektora i profesorów uniwersytetu krakowskiego. Następuje dział I, zawierający przekłady z poetów starożytnych, z pomiędzy których zasługują na szczególniejszą uwagę przekłady Jana Kasprowicza i Kazimierza Kaszewskiego. Pierwszy przełożył „chór z tragedyi Eschylosa Choeforoi“ („Dzikiego zwierza mnogie żywi stada w okrąg ta ziemia“...), oddając w poetycznej parafrazie z wielką siłą ponury koloryt starożytnego tragika: okolicznościowo można wspomnieć w tem miejscu o znacznym wpływie całej tej pieśni chórowej na wizyę obłąkanej w „Baśni nocy świętojańskiej“, prologu, napisanym przez Kasprowicza na otwarcie teatru miejskiego we Lwowie (Lwów 1900). Wierniejszym, choć nie mniej poetycznym, jest przekład dwu sielanek Teokryta przez Kazimierza Kaszewskiego (sielanki I Tyrsys i III Amarylla), umiejącego oddać właściwy ton sielankopisarza greckiego: dla miłośników Teokryta nieobojętną będzie zapewne wiadomość, że Kaszewski przygotowuje całkowity przekład Teokryta. Z innych przekładów pomieścił J a n C z u b e k tłómaczenie VI pieśni Iliady i wybór epigramów z Marcyalisa księgi I. (Równocześnie tłómacz ogłosił wybór z ks. XI i XII, Lwów, 1900). F r a n c i s z e k K o n a r s k i, znany tłómacz Arystofanesa („Rycerze“ Warszawa, 1881) dał dłuższy ustęp z „Żab“ (por. inny wyjątek tego tłómacza z „Żab“ Eos. II. 68 nn.), wreszcie J ó z e f W i n k o w s k i mimijamb Herondasa: „Kobiety w świątyni Asklepiosa“ Dział II zawiera rozprawy z zakresu filologii klasycznej, a to: z filologii greckiej artykuły S t e f a n a W a s z y ń s k i e g o (o autentyczności korespondencyi Pausaniasa z Kserksesem, przechowanej u Tucydydesa I, 128 i 129), W i k t o r a H a h n a (o komedyi Menandra p. n.: „Rolnik“), W i n c e n t e g o L u t o s ł a w s k i e g o („Badania nad Platonem“: krótka historya studyów autora nad Platonem), M i c h a ł a J e z i e n i c k i e g o (O szkole platońskiej czyli Aka-

demii, jej organizacyi i działalności naukowej), dwa rożdziały z większej całości Stanisława Schneidra: „Wyobrażenia orfickie“ i „Ewolucyonizm“, rozprawę krytyczną Leona Stembacha: Appendix Christophorea (o pisarzu bizantyńskim z XI w.); z filologii łacińskiej pomieścił rozprawę Antoni Danysz: Św. Hieronim i św. Augustyn a literatura świecka; z zakresu sztuki i archeologii starożytnej pomieścili rozprawy: Kazimierz Janowski (De Parrhasii scriptoris apud Propertium memoria), Aleksander Frączkiewicz (kwestya etruska w świetle najnowszych badań), Karol Hadaczek (grób Neoptolemosa w Delfach), wreszcie jedną rozprawę gramatyczną Jan Jędrzejowski (De anticipationis, quae vocatur, apud Xenophontem usu). Wielkiem bogactwem treści odznacza się dział III-ci, zawierający rozprawy z zakresu humanizmu w Polsce, mogące obudzić większe zainteresowanie wśród naszej publiczności. Rozpoczyna ten dział rozprawa Wilhelma Bruchnalskiego: Pojęcie i znaczenie poezyi u poetów polskich XVI wieku. W rozprawie tej, będącej wyjątkiem z większej całości, rzuca autor wiele światła na estetyczne przekonania i sądy XVI wieku, wykazując pochodzenie pojęć „poeta“, „poesis“, czem była poezya według pojęć humanistów polskich, co wreszcie było godnym przedmiotem poezyi. Ignacy Chrzanowski podaje „przyczynki do krytyki tekstu autorów nowołacińskich“: jest to obszerna recenzya pierwszego tomu „Materyałów do dziejów piśmiennictwa polskiego i biografii pisarzów polskich“, wydanych przez Teodora Wierzbowskiego w Warszawie 1900. Chrzanowski, korzystając ze wskazówek prof. Zengera, wykazuje szereg błędów w tekście materyałów. Do krytyki tekstu odnosi się też krótka notatka Zacharyasza Dembitzera (De tribus Cricii locis). Tadeusz Sinko w rozprawie „De Gregorii Sanocei studiis humanioribus“ roztrząsa w pierwszym rożdziale nieliczne ślady literackiej działalności Grzegorza z Sanoka, w drugiej mówi „de facete ac sententiose a Gregorio dictis“, starając się na podstawie szczegółowego rozbioru rozwiać myt, związany z nazwiskiem Grzegorza z Sanoka, schodząc się w tym względzie z X. J. Fijałkiem (mistrz Jakób z Paradyża 1900. Kraków I. 232. nn.) Zadziwić musi tylko, że autor nie zna rozprawy Bema o Grzegorzu z Sanoka, mylnie też twierdzi Sinko, jakoby Kraszewski napisał „historyę nową o Grzegorzu z Sanoka“. Konstanty Wojciechowski usiłuje wykazać „wpływ Psałterza Dawidowego na Treny Jana Kochanowskiego“. Kornelego Hecka „Szymonowiciana“ składają się z dwu części: pierwsza podaje rozbiór utworu poety: „Naenia funebris“, druga kilka szczegółów o ojcu poety. Redaktor czasopisma Ludwik Ćwikliński wydaje „Dwa drobne wiersze Klemensa Janickiego“ 1) niewydany dotąd wierszyk do Lgowskiego: „Erudito iuveni domino Joanni Lgovio amico suo carissimo z 25/I 1537 i 2) In funere immaturo Rmi patris et domini, dni Andreae Cricii, archiepiscopi Gnesnensis, colloquium Reipublicae et Tumuli; wiersz ten wprawdzie ogłosił Wierzbowski we wspomnianych powyżej „Materyałach“, ale mylnie, Ćwikliński podaje tekst poprawny. Ostatni dział, czwarty, zawiera „Bibliografię filologii klasycznej i literatury humanistycznej w Polsce za lata: 1896—1898“, zestawioną przez Wiktora Hahna.

Ta krótka notatka może dać wyobrażenie czytelnikowi o bogactwie treści rocznika: nie zastanawiałem się nad nią szerzej, gdyż poświęcenie choć kilku słów reszcie artykułów zajęłoby za wiele miejsca. Chodziło mi tylko o zwrócenie uwagi czytelników na pismo, które zasługuje na poparcie: zwłaszcza w Królestwie wiedzą o niem za mało: piękny zaś cel Towarzystwa i nizka prenumerata powinny przyczynić się do zjednania Towarzystwu jak największej ilości członków.

*Wiktor Hahn.*

# NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Biblioteka przyrodnicza „Wszechświata". **Prof. Dr. G. Tschermak.** *Podręcznik Mineralogii.* Z 5-go wyd. niemiec. przełożył, uzupełnił i przedmową historyczną opatrzył Józef Morozewicz. (Wydanie Kasy Mianowskiego). Warszawa, 1900 (Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki). Cena rb. 4.

Rzadko, niestety, bardzo rzadko ukazują się w naszej tegoczesnej literaturze przyrodniczej dzieła, które tak serdecznie i gorąco powitać można, jak dzieło, wymienione powyżej, a które zawdzięczamy pracy i znajomości rzeczy p. Morozewicza. Od lat 30 przeszło czeka piśmiennictwo nasze na zapełnienie ważnej luki, na pojawienie się podręcznika mineralogii, uwzględniającego dzisiejszy stan tej nauki i łączącego w jedną całość wszystkie wiadomości mineralogiczne, dotyczące kraju naszego, jakie dotychczas zdobyć się udało. W ciągu tego czasu nauka poczyniła ogromne postępy, z czysto opisowej stała się nauką doświadczalną; zarówno metody badań, jak obszar samej nauki, sposób jej traktowania, jak i jej pojęcia zasadnicze, jej podziały, zapas materyału faktycznego, jak i jej wyniki, uległy całkowitej zmianie, wiadomości, tyczące się kraju naszego, znacznie się wzbogaciły, a my skazani byliśmy na posiłkowanie się w dalszym ciągu przestarzałymi podręcznikami, dającymi zarówno o przedmiocie, jak i o naturze samej nauki, wyobrażenie fałszywe. Ten stan rzeczy dawał się odczuwać tem silniej, iż mineralogia stanowi naukę nie tylko wkraczającą obecnie na nową zupełnie drogę rozwoju, lecz jest nam niezbędną, jako podstawa poznania naturalnych bogactw kraju. P. Morozewicz, znakomity specyalista-mineralog, znany, jako badacz, nie tylko u nas, lecz i zagranicą w świecie naukowym z badań swych nad skałami wołyńskiemi i tatrzańskiemi, nad cieszynitami szląskimi, nad syntezą niektórych kamieni drogich i z innych prac, chcąc zapełnić wzmiankowany brak w piśmiennictwie naszem, słusznie wybrał dla przyswojenia literaturze naszej poważne dzieło Tschermaka, poświęciwszy swą pracę sprawie uczczenia 500-lecia Wszechnicy Jagiellońskiej. Dzieło to bowiem najdokładniej bodaj z istniejących podręczników mineralogii przedstawia dzisiejszy stan wiedzy w dziedzinie tej nauki, uwzględniając wszystkie jej działy równomiernie; traktuje przedmiot z punktu widzenia historyczno-genetycznego, trzymając się w wykładzie metody indukcyjnej; nie ogranicza się do opisywania cech minerałów, wziętych w oderwaniu od całości warunków przyrodzonych, lecz zwraca uwagę na sposób ich powstawania, na warunki, w jakich występują, i na przeobrażenia, jakim w naturze ulegają. P. Morozewicz nie ograniczył się jednak do przełożenia dzieła Tschermaka na język polski, lecz wniósł cząstkę swej własnej pracy, wzbogacając dzieło w uzupełnienia i zmiany, które wielce przyczyniły się do powiększenia jego wartości, zwłaszcza dla polskiego czytelnika. Pod tym względem na zaznaczenie zasługuje obszerna przedmowa tłómacza, obejmująca pogląd historyczny na dzieje mineralogii w Polsce; dalej, dodany w końcu dzieła spis minerałów, zebranych w Polsce przez radcę górniczego, Jerzego Bogumiła Puscha, spis meteorytów, spadłych na ziemiach b. Rzeczypospolitej Polskiej, uwzględnienie w tekście części szczegółowej występowania i rozprzestrzenienia minerałów w Polsce, oparte na nowszej literaturze, rozrzuconej

w broszurach, czasopismach i wydawnictwach specyalnych. Na zaznaczenie zasługuje też włączenie nowszych prac Moissana i Joly, Lemberga, Thugutta i in. oraz wiadomości o zachowaniu się minerałów względem promieni Röntgena i t. p., pominiętych w oryginale, jak i wprowadzenie bardziej systematycznego i poglądowego podziału na ustępy opisu każdego minerału, co znakomicie ułatwia oryentowanie się i poszukiwanie szczegółów w opisie. Te i tym podobne dopełnienia, jak i staranne opracowanie słownictwa polskiego, świadczą dostatecznie o pracy i sumiennem traktowania zadania przez tłómacza, któremu za przyswojenie tego dzieła piśmiennictwu naszemu, a także za dbałość o piękną i odpowiadającą celowi stronę zewnętrzną wydawnictwa, za nowe drzeworyty i tablice litograficzne. wykonane siłami miejscowemi, prawdziwa się wdzięczność należy. Słusznie też p. Morozewicz położył, jako motto, na dziele wiersz Kochanowskiego: „Służmy poczćiwej sławie, à iáko kto może, niech ku pożytku dobrá spólnégo pomoże". P. Morozewicz wraz z Kasą Mianowskiego dobrze zasłużyli się sprawie dobra spólnego.

*M. Hn.*

**Jahresberichte der Geschichtswissenschaft,** im Auftrage der Historischen Gesellschaft zu Berlin herausgegeben von *E. Berner.* XXI Jahrgang, 1898. Berlin, R Gartner, 1900. Str. XVIII+136+562+334+365.

Każdy historyk z upragnieniem bierze do ręki nowy 21-szy rocznik tego pomnikowego wydawnictwa. Poświęcony przeglądowi historyografii wszystkich narodów za rok 1898 rocznik ten, równie jak i poprzednie, opracowany jest przez licznych współpracowników i obejmuje cztery działy: 1) starożytność, 2) Niemcy, 3) kraje cudzoziemskie i 4) dział ogólny. W dziale 3-im szczególne zajęcie budzą w nas sprawozdania z historyografii polskiej, pisane do niedawna wytrawnem piórem ś. p. nieodżałowanego profesora, Adolfa Pawińskiego, a których opracowanie po jego śmierci przypadło w udziale dzielnemu prof. lwowskiemu, d-rowi L. Finklowi. Dział 4-ty zawiera następujące paragrafy: historya powszechna, historya kultury, filozofia i metodologia historyi, historya kościelna, paleografia i dyplomatyka. Tom kończy się wykazem alfabetycznym oraz kilku dodatkami z dziedziny dyplomatyki. W nowym roczniku widoczną jest dążność sprawozdawców do wyraźniejszego, niż dawniej, odróżniania prac pierwszorzędnych od drugorzędnych; pierwsze omawiają szeroko, drugie zbywają krótkiemi wzmiankami.

*Romuald Sułowski.*

**Stanisław Rzepiński.** *Grecya. Wspomnienia z podróży odbytej na wiosnę w roku 1896.* Kraków, 1900.

P. Rzepiński w towarzystwie profesorów austryackich rozpoczął swą podróż po Grecyi od Korfu. Następnie przez Patras podążył do Koryntu, gdzie umówione było spotkanie z prof. Dörpfeldem, sekretarzem archeologicznego instytutu niemieckiego w Atenach. Pod jego przewodnictwem odbyła się wyprawa w głąb Peloponezu. Z Nauplii robiono wycieczki powozami po całej równinie argolskiej; szczegółowo, z Odysseją w ręku, zwiedza p. Rzepiński ruiny Tirynsu. W śpiesznej podróży do ostatecznego jej celu — Nauplii, skąd odbywały się wycieczki, autor zbiera swe spostrzeżenia. Brud i niechlujstwo w połączeniu z wrzawą i zgiełkiem na ulicach przedewszystkiem ściąga na się uwagę podróżnika. Znane oszustwo i kłamliwość Greków przejawia się zaraz przy wymianie pieniędzy u bankierów;

i przy kupnie kart pocztowych, gdy urzędnik, sprzedający je, stale mylił się, dając mniejszą ich ilość zamiast żądanej, i w hotelach, gdzie dawano podróżnym za znaczną opłatą liche nory. Grecyą współczesną, Nowo-Grecyą zajmuje się przeważnie p. Rzepiński; dopiero ruiny zamku Tiryns przenoszą go w czasy zamierzchłe, heroiczne. Książka ta (odbitka z „Przeglądu polskiego“) nie jest ani poetycznym opisem przyrody, ani obrazem społeczności nowo-greckiej, ani wskrzeszeniem z ocalałych pomników sztuki i życia dawnych Greków, daje tylko garść spostrzeżeń najogólniejszych, najpowszechniejszych. *J. S.*

**Stanisław Srokowski.** *Fridtjof Nansen i jego wyprawa do bieguna północnego.* Kraków, 1900.

Wobec ogólnego zainteresowania, jakie wzbudziła wyprawa Nansena do bieguna północnego, oraz tak ważnych zdobyczy jej dla wiedzy i w naszej literaturze pojawiło się kilka prac, opisujących wyprawę samą i rozpatrujących jej wyniki i doniosłość naukową. Obok przełożonego przez p. Skirmunta obszernego dwutomowego dzieła samego Nansena p. t. „In Nacht und Eis“, ukazało się wkrótce przeznaczone dla szerszych kół czytelników skrócenie tegoż (według wydawnictwa francuskiego) p. Janiszewskiego, wydane przez „Bibliotekę dzieł wyborowych“, a w rok później Stanisława Srokowskiego „Fridtjof Nansen i jego wyprawa do bieguna północnego“, rzecz, wiele krócej i przystępniej ułożona i opracowana. Książka p. Srokowskiego jest przedrukiem artykułów jego, umieszczanych w „Przeglądzie polskim“ (czerwiec i lipiec 1899 roku). Po zwięźle zarysowanej charakterystyce samego Nansena znajdujemy tu dokładnie przedstawiony plan podróży, przygotowania do niej, warunki, w jakich miała się odbyć, i wreszcie w krótkich słowach i może nieco zbyt pobieżnie opowiedziany przebieg całej wyprawy. Podając główne wypadki podróży, p. Srokowski stara się zarazem wyłożyć jej cel i rezultaty naukowe. „Plon naukowy“, powiada p. Srokowski, „zebrany przez ekspedycyę „Framu“, jest tak obfity, że trzeba będzie dłuższego przeciągu czasu, aby sobie o jego doniosłości i treści wyrobić jakie takie wyobrażenie“. Wiele czasu upłynie na opracowywanie nowych zdobyczy, zwłaszcza zaś w obserwacyach meteorologicznych, astronomicznych i magnetycznych. Inne wyniki badań śmiałego uczonego, jak to już dziś wiemy, zmienią wiele pojęć dotychczasowych co do natury oceanu polarnego. Niektóre z ważniejszych właściwości oceanu wymienia i wyjaśnia p. Srokowski, podnosząc równocześnie i zaznaczając całą ogromną ich doniosłość dla nauki. Wydawnictwo swe, któremu ze względu na popularny sposób wykładu nie można odmówić wielu stron dodatnich, opatrzył p. Srokowski mapą podróży Nansena własnego rysunku. *J. S.*

**Michał Bałucki.** *Pamiętnik Munia..* Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1900, 8-o, str. 246.

Munio jest sobie bardzo przeciętnym młodzieńcem, krakowskim szlifibrukiem, który, zapisawszy się na czwarty kurs prawa „Jagiellonii“, zajmuje się wszystkiemi rzeczami — prócz prawa. Więc wysługuje się cioci Dorci, pomaga jej w urządzaniu słynnych na cały Kraków jour-fixów, na których zgromadza się calutka śmietanka towarzystwa miejscowego, zawiera znajomość z paczką młodzieży, w której rej wodzą poeta-dekadent i malarz-modernista, kocha się platonicznie w aktorce, wierząc naiwnie w jej nieskazitelność, co niezbyt pochlebnie

świadczy o jego wytrawności i doświadczeniu życiowem, robi długi, fałszuje podpis ojca na wekslu, no, i wreszcie — wstępuje na drogę skruchy i poprawy za piękną przewodniczką, panną Jadwigą Sędzimirską, doktorem filozofii, która zachęca go do pracy i wytrwałości. Bohater więc powieści, jak widzimy, co się zowie, marny; i dlaczego przez autora został promowany na bohatera, trudno zgadnąć; jako typ i jako charakter, wart on niewiele: poza pewną, nie wychodzącą zresztą ponad zwykły poziom dobrocią serca, nie posiada on w swojej garderobie duchowej nic, coby mogło przykuć uwagę czytelnika. Sama zaś akcya nad wyraz pospolita: dwie kobiety, aktorka Fifijka i panna Jadwiga, pierwsza zepsuta atmosferą zakulisową i przewrotna, jak kobieta, która namiętności swych hamować nie potrafi, druga — uosobienie dobroci, łagodności, rozumu i wszystkich razem cnót ewangelicznych, jak szatan i anioł, postawione nad duszą młodzieńca; przeniewierstwo pierwszej, dobroczynny wpływ drugiej — wszystko to sytuacye, tylokrotnie widziane na scenie i w książce, że nikogo zainteresować nie potrafią. Nie o Munia wszakże chodziło autorowi, i nie o Fifijkę, nie o Mimi nawet, koleżankę jej, jeszcze bardziej wyrafinowaną kokietkę, lecz o figury drugorzędne, w które wszelako wcielają się tendencye autora. W powieści niniejszej bowiem autor postawił sobie za cel ośmieszenie pewnych przesadnych kierunków w sztuce i literaturze w osobie młodego malarza, zwanego przez entuzyastycznych wielbicieli „mistrzem Henrykiem“, oraz poety Dyonizego Nowaczka, znanego powszechnie pod zdrobniałem mianem „Dyzia“; po wielu przygodach i perypetyach pierwszy z nich kończy na delirium w szpitalu obłąkanych, drugi z rozpaczy po stracie kurtyzany — podrzyna sobie żyły w kąpieli. Wreszcie jest tu i pocisk, wymierzony przeciw feministkom w postaciach cioci Dorci oraz jej sztabu, zwłaszcza pani Hortensyi, wprowadzającej w świat i odprowadzającej ze świata—do celi szpitalnej „mistrza Henryka“. Wszystko to jednak nie są ludzie rzeczywiści, lecz karykatury olbrzymie i niezdarne, o rabelaisowskich konturach, lecz bez rabelaisowskiego dowcipu. Bałucki zbyt przywykł do szarży w farsie, by ustrzedz się od szarży w powieści. Takie epizody, jak skandaliczne zachowanie się „mistrza Henryka“ na jour-fixie u cioci Dorci lub pierwsze przedstawienie „symfonii dramatycznej“ Dyzia p. t. „W czarnej nocy“ na jakimś raucie czy koncercie dobroczynnym, w żadnym razie nie mogą ujść za takie bodaj odbicie rzeczywistości, jakie widzimy w zwierciadłach o powierzchni wypukłej lub wklęsłej. „Pamiętnik Munia“ usiłuje być satyrą, lecz nie jest ani satyrą, ani nawet paszkwilem: za mało w nim ostrza, za mało jadu, by kogokolwiek mógł ukłuć dotkliwie lub sparzyć boleśnie. Dla przekonania się o tem porównajmy choćby postacie modernistów krakowskich u Bałuckiego z migawkowemi zdjęciami „dzieci szatana“ w „Karykaturach“ J. A. Kisielewskiego. Jak „Niewolnice z Pipidówki“ nie wyświecą z naszego życia społecznego feminizmu, tak „Pamiętnik Munia“ ani jednego schyłkowca z Krakowa nie wyżenie, a swoją drogą nie przeszkadza temu, że może być lekką i przyjemną lekturą dla tych, co nie poszukują w powieści — ani przesubtelnej psychologii, ani głębokiej satyry społecznej. *H. Galle.*

*Powieści z salonu.* **St. Przyrzecki.** *Dlaczego?* Powieść współczesna. Kraków. Nakład W. L. Anczyca, 1900, str. 446. **Antonina Matuszewic.** *Dwa prądy.* Lwów. Seyfarth i Czajkowski, 1900, str. 169. Z przedmową Kaz. Tetmajera.

Od czasu ukazania się powieści Estei, powieści, osnutych na tle życia warstw arystokracyi pieniężnej społeczeństwa, powieści, które wniosły do naszej literatu-

ry pięknej „flirt“ w jego najsubtelniejszych odcieniach, a z nim ową dystynkcyę salonu, — od „Kartek z życia kobiety“ i „Fugi Bacha“ — nikt nie dorzucił nic nowego do utworów tego zakresu. Nie jest to bynajmniej zarzutem dla powieściopisarzów, przeciwnie: taka czekoladkowa powieść bez poważnego gruntu, bez głębi myśli — pomimo zręcznej fabuły i łatwości w opowiadaniu — nie zawsze przemawia na korzyść autora. Do tego rodzaju powieści należą i powyżej wymienione. Tytuł pierwszej („Dlaczego?“) zaciekawia: treść jednakże zawodzi oczekiwania czytelnika. Oto hrabianka Olga Spytkówna, posągowo piękna, anielsko dobra, myślą i uczynkiem białości lilii, nie jest bynajmniej lalką lub „panną na wydaniu“. Ona umie czuć szlachetnie, myśleć poważnie i umie kochać, co kochania godne. Wobec poważnej hrabianki wszyscy starający się o jej rękę są śmieszni nawet dla niej wstrętni: w spojrzeniach tych mężczyzn ona czuje tylko samolubne pożądania — nic więcej. Wprawdzie pojmowała to, że „każda istota ludzka powinna dążyć do stworzenia sobie kółka rodzinnego“, jednak „poddanie się woli obcego mężczyzny wydawało jej się czemś niemożliwem... Rozumiała, że kobieta, równie jak mężczyzna, ma prawo zachować swą indywidualność. ale ceniła ją tak wysoko, że nawet raziło ją nazywanie żon imionami mężów... Jej ideałem pożycia małżeńskiego była wzajemna ufność, szczerość doskonała i koleżeńska równość“. Tego nie widziała w świecie, ją otaczającym. Rozmyślając o małżeństwie, którego w zasadzie nie odrzucała, powiedziała sobie, że mogłaby zostać żoną tylko uczonego, lekarza... I tu zastanowiła się: przypomniał jej się doktór Schön, którego niedawno poznała w Warszawie... Olga kochała Schöna... Ale hrabia Spytek, pilnie przestrzegający tradycyi swego rodu, nigdy nie zezwoliłby na małżeństwo córki z Schönem... Nie, ona sama rozumie, że... to śmieszne: ze Spytkówny stać się... Schönową!... Nie wiedziała, że Schön tam, w Warszawie, marzył o niej, tęsknił, kochał. Niebawem, korzystając z dawniejszego zaproszenia hrabiny, przyjeżdża, a pobyt kilkodniowy przekonał oboje, że miłość ich jest wzajemną. Nie uszło to i czujnego oka starego hrabiego, który uczucia dla córki stawia ponad przesąd i tradycyę i zezwala na małżeństwo... Szczęście było jednakże krótkotrwałe: Schön przypadkowo pod nieobecność żony poznaje w teatrze piękną Włoszkę, z urody jakgdyby siostrę Olgi i przez nią oczarowany szaleje. Carina Maccini jest w rzeczywistości córką hr. Spytka, owocem miłości przelotnej, chwilowej. Dowiedziawszy się, że Schönowa to Spytkówna z domu, pragnie zemścić się za swe pochodzenie, zabierając żonie męża, targając harmonijny dotychczas węzeł. I zwycięża: Schön u jej kolan zapomina o Oldze. Olga, zaniepokojona milczeniem męża, przyjeżdża, biegnie do domu i zastaje męża swojego w objęciach kochanki, Cariny... I odtąd (przebywszy ciężką chorobę) żyje w samotności — na zawsze... Po kilku latach dochodzi do wniosku, że „to był szał, poryw zmysłów“. Pomijając tytuł powieści, owo tajemnicze „Dlaczego?“, za wadę poczytać należy rozwlekłość: wiele rożdziałów możnaby opuścić bez szkody dla całości. Charakterystyka figur słaba, cieniowanie bez wyrazu. Olga sama, główny motor akcyi, traktowana szablonowo. Autor używa zbytecznie wyrazów i określeń zdrobniałych: rączka, nóżka, główka, które muszą być stosowane oględnie, by nie sprawiały wrażenia przesady. Ta panna słuszna, silna i dzielna doskonale obyłaby się bez tych czułoskowych określeń kochanka. Charakterystyka Schöna słaba, a braku pogłębienia w samej akcyi nie wynagradza łatwość opowiadania. Gdyby hrabianka Irma Humiecka („Dwa prądy“) nie miała już w powieści p. Matuszewicowej swego przeciwstawienia w osobie panny Pieniowskiej, znalazłaby je w sylwetce hrabianki Olgi. Lecz bodaj czy

nie piękniejszą, choć zlekka naszkicowaną, stworzyła autorka „Dwu prądów“ postać Jadwigi Pieniowskiej. „Nazywano ją (Jadwigę) Zosią mickiewiczowską i słusznie, — tyle spokojnego uroku, tyle szczerości, prawdy, naiwności przebijało w jej jasnych źrenicach. Dość wysokiego wzrostu, o cudownie utoczonych kształtach i rysach twarzy dziwnie pięknych, pociągała każdego, wszystkich serca jednać sobie umiała“. Nie mogła podobać się pannie Irmie, pięknej kokietce, która po nieudanych próbach złowienia bogatego męża bierze ślub cywilny ze starym i śmiesznym księciem, lecz panem milionów... Tymczasem złamała życie biednemu malarzowi, którego zdołała rozkochać w sobie... Malarza tego kocha i Jadwiga Pieniowska, a po jego przedwczesnej śmierci szuka zapomnienia w klasztorze. W opowiadaniu tem, skreślonem barwnie, choć lekko, powierzchownie niema (jak i w pierwszem) pięknego rysunku figur, zręcznego powikłania akcyi lub stylu brylantowego.

*L. Rutkowski.*



# KRONIKA MIESIĘCZNA.

Konkurs stulecia: nasza twórczość umysłowa i artystyczna w XIX-ym stuleciu. — Dwudziestoletnia walka o „prawdę“.

Ogłoszony przed kilku miesiącami, rozstrzygnięty w dzień Nowego Roku „konkurs stulecia” „Kuryera Warszawskiego” miał za punkt wyjścia, jak wyjaśnia redakcya tego dziennika, pytanie: które z dzieł nauki, literatury i sztuki współcześni uważają za najlepsze? Ściślej zaś mówiąc: które z dzieł polskich XIX-go wieku dzisiejsi przedstawiciele twórczości umysłowej uważają za wiekopomne? Miała to być więc przedewszystkiem próba charakterystyki dzisiejszych upodobań i poglądów, dokonywana na pomnikach twórczości ubiegłego stulecia.

Czy cel został osiągnięty, czy próba się powiodła?

Na kilkaset listów, zwróconych do uczonych, literatów i artystów polskich, nadeszło 450 odpowiedzi. Rezultat głosowania w siedemnastu grupach przedstawia się tak:

W grupie historyi politycznej największą ilość głosów otrzymało dzieło Tadeusza Korzona *Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta*.

Na drugiem miejscu znalazło się dzieło Joachima Lelewela *Polska i rzeczy jej*, na trzeciem Waleryana Kalinki *Sejm*

czteroletni, na czwartem Karola Szajnochy Jadwiga i Jagiełło.

W dziale historyi literatury polskiej głosy rozstrzeliły się między kilku autorów: Chmielowskiego, Wiszniewskiego, Tarnowskiego, Małeckiego i Mochnackiego. Najwięcej głosów otrzymał Piotr Chmielowski za dzieło Historya literatury polskiej.

W językoznawstwie wyróżniono Samuela Bogumiła Lindego Słownik języka polskiego, w etnografii Oskara Kolberga Lud, w filozofii Augusta Cieszkowskiego Ojcze nasz, w estetyce Karola Libelta Umnictwo piękna czyli estetyka.

Szczególny chaos zapanował przy głosowaniu w dziale „nauk społecznych“. Winna temu poczęści sama redakcya, która zbyt ryczałtowo zgrupowała razem prawo, statystykę, skarbowość, ekonomię, socyologię i t. d. Zwłaszcza ekonomii, poważnemu i bądź co bądź uprawianemu u nas działowi umiejętności należała się osobna rubryka. Stanowczą większością głosów wyróżniono, jako dzieło ekonomiczne, Józefa Supińskiego Szkołę polską gospodarstwa społecznego, a w naukach prawniczych Antoniego Zygmunta Heklla Starodawne prawa polskiego pomniki. W socyologii wyróżniono w równej mierza Ludwika Gumplowicza System socyologii i J. K. Potockiego Współzawodnictwo i współdziałanie, w matematyce Władysława Folkierskiego Rachunek różniczkowy i całkowy, w astronomii Jana Śniadeckiego Geografię czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi, w „naukach przyrodniczych“ Jędrzeja Śniadeckiego Teoryę jestestw organicznych (w fizyce Zygmunta Wróblewskiego prace nad skraplaniem gazów, w zoologii Antoniego Wagę, entomologa, w antropologii Izydora Kopernickiego). W dziale medycyny głosy roździeliły się przeważnie między kilka nazwisk: Szokalskiego, Dietla, Biegańskiego i Chałubińskiego. Stanowczą większością pierwszeństwo przyznano Tytusowi Chałubińskiemu za całą jego działalność naukową i praktyczną, a głównie za pracę Metoda wynajdywania wskazań lekarskich oraz plan leczenia i jego wykonanie.

Na poezyę głosowało przeszło trzysta osób, przyczem wymieniano po kilka dzieł w odpowiedziach. Wybór czyniono prawie wyłącznie między trzema romantykami z pierwszej połowy wieku: Mickiewiczem, Słowackim i Krasińskim. Głosy rozpadły się w ten sposób: Mickiewicz otrzymał 312 głosów, Słowacki 96, Krasiński 35, Malczewski i Asnyk po 3; według utworów zaś Pan Tadeusz 232 głosy, Dziady 56, W Szwajcaryi 28, Król Duch 25, Iry-

dyon 18, Konrad Wallenrod 12, Ojciec Zadżumionych 10. Stąd wynika, że za największe dzieło poetyckie polskie w ubiegłem stuleciu uznano Pana Tadeusza Mickiewicza. Trzeba dodać, że o miejsce pierwsze współzawodniczył z Mickiewiczem Słowacki, na którego padło w rubryce I-ej 32 głosy.

Na powieść, zarówno jak i na poezyę, głosowali niemal wszyscy: i uczeni, i literaci, i artyści. Wyniki przedstawiają się tak: Sienkiewicz otrzymał 259 głosów (na I miejscu 216, na II — 43), Głowacki (B. Prus) 72 (43+29), Kraszewski 41 (20+21), Orzeszkowa 25 (9+16), Rzewuski 15 (10+5), Miłkowski (T. T. Jeż) 14 (5+9), Kaczkowski 13 (7+6), Żeromski 13 (5+8). Innych powieściopisarzów wymieniano rzadko. Co do dzieł, uszykowały się one w takim szeregu: Trylogia, Quo Vadis, Lalka, Bez dogmatu, Stara Baśń, Listopad, Faraon, Placówka, Nad Niemnem, Rodzina Połanieckich, Ludzie Bezdomni, Uskoki, Emancypantki, Cham. Na najlepszą więc powieść w XIX stuleciu konkurs uznał trylogię historyczną Henryka Sienkiewicza.

Głosowanie w dziale literatury dramatycznej rozpadło się na dwie grupy: dramat właściwy i komedyę. W grupie pierwszej prawie bez współzawodników był Słowacki, który otrzymał 163 głosy (Mazepa 66 głosów, Lilla Weneda 26 i t. d.), w drugiej — Aleksander Fredro, który otrzymał 148 głosów (Bliziński 37). Uznano więc za najwybitniejszy dramat Mazepę, za najlepszą komedyę Zemstę za mur graniczny.

W muzyce wymieniano niemal wyłącznie Chopina i Moniuszkę. W muzyce instrumentalnej głosowanie wyniosło na najwyższy szczebel Fryderyka Chopina Marsz żałobny, w muzyce wokalno-scenicznej Stanisława Moniuszki Halkę. W malarstwie, jak było przewidywane, najwięcej głosów (220) pozyskał Matejko, po nim Grottger (99), Chełmoński (41), Siemiradzki (36), Maks Gierymski (18), Brandt (10) i in. Za największe dzieło malarskie ubiegłego wieku uznano Jana Matejki Kazanie Skargi.

Inaczej rzecz się miała w dziale rzeźby, tu bowiem nasuwały się poważne wątpliwości. Ostatecznie na pierwszem miejscu stanął Piusa Welońskiego Gladyator (96 gł.), na drugiem Antoniego Kurzawy Mickiewicz (36 gł.). Wreszcie w budownictwie uznano za najlepsze dzieło kościół św. Floryana na Pradze, wzniesiony przez budowniczego Józefa Dziekońskiego; potem najwięcej głosów otrzymał budowniczy Pryliński za odnowienie Sukiennic w Krakowie.

A teraz powróćmy to pierwotnego pytania: czy cel autorów konkursu został osiągnięty? czy ta „próba charakterystyki“ będzie mogła cośkolwiek scharakteryzować?

Nie ośmieliłbym się wydawać jakiegokolwiek stanowczego sądu; nie czyni też tego referent „Kuryera“, p. Z. Wasilewski, niektóre wszakże jego spostrzeżenia godne są uwagi, godne są uznania za celne i niesporne. Omawiając wynik głosowania w dziale historyi, pisze: „Dwa te nazwiska (Korzona i Lelewela) znalazły się obok siebie na czele historyków, złączone nie tyle ślepym wypadkiem głosowania, ile trafnym instynktem opinii publicznej; złączone są one głębszem powinowactwem duchowem. Tych dwu historyków łączy jednakowość czucia, jednakowość pojmowania dziejów ojczystych, umiłowanie tych dziejów, a mianowicie umiłowanie w nich narodowego ogółu ponad jednostki albo warstwy, absolutna, nie oglądająca się na nic miłość prawdy, sąd surowy, bezwzględny, gdzie potrzeba, wolny od samobójczego przesądu, wyrokującego ze skutków o przyczynach, stąd potępiającego w czambuł całość, a przeciwnego tyleż wymaganiom sprawiedliwości i prawdziwej nauki, co i prawdziwego dobra powszechnego, — sąd szczerze historyczny, dążący do uświadomienia w równej mierze i własnej poczytalności, i własnej wartości, i godności dziejowej... Obok zaś tego powinowactwa w zakresie specyalnym, zakresie badań historycznych, obadwaj też zbliżeni są do siebie oświeconym poglądem na ogólniejsze sprawy społeczne“.

Nieco zaś dalej, w sprawozdaniu z działu powieści znajdujemy takie zdanie, oparte na cytowanych przez autorów motywach faktycznych: „Wszędzie indziej, przypuszczam, pisarz - artysta, zapytany, jakie dzieło uważa za najlepsze, uważałby się na każdem miejscu za uprawnionego do wypowiedzenia bezwzględnie tego, co mu dyktuje smak osobisty i upodobanie. U nas — jest to rys charakterystyczny — podstawą i sądów krytycznych, i twórczości jest przedewszystkiem wzgląd obywatelski, i ten szczególnie dobroczynny dla życia społecznego kąt widzenia rzeczy okiem zbiorowem, nie sybarytystycznem“. Jeżeli zaś teraz porównamy uwagi powyższe z tem, co wypowiedział zupełnie niezależnie p. Maryan Massonius, kreśląc szkic „myśli polskiej w wieku XIX“, mianowicie, że „my, Polacy, naukę cenimy nie jako coś, co samo przez się i samo dla siebie najwyższą posiada wartość, lecz ze względu na jej użyteczność społeczną, traktujemy ją ze stanowiska obywatelskiego“ — to łatwo zgodzimy się, że uzasadnienie faktyczne takich po-

glądów ma swoją wartość i że z konkursu „Kuryera“ da się ją wyciągnąć.

Poza tem musimy przyznać, że w głosowaniu konkursowem rozstrzygał w wielu razach wzgląd zgoła poboczny, poprostu materyalny. Pominięcie lub zbagatelizowanie dzieł Henryka Kamińskiego, Hubego, Bilińskiego, Skarbka, Pawińskiego i t. d. wydaje mi się skutkiem ich r z a d k o ś c i, gdy znów inne prace były wyróżniane w znacznej części dlatego, że ogół — dzięki zręcznemu wydawcy — miał sposobność poznania się z niemi. Kiedyindziej natomiast mieliśmy do czynienia z powtarzaniem ustalonej, lecz nie skontrolowanej opinii o pisarzach dawniejszych, powtarzaniem niekiedy, prawdopodobnie, całkiem gołosłownem, jak np. co do Supińskiego i, jeżeli się nie mylę, Cieszkowskiego. Wskutek tego oparcie charakterystyki „dzisiejszych upodobań i poglądów“, upodobań i poglądów, które jutro mógłby zmienić pierwszy lepszy wydawca powtórnem wypuszczeniem w świat znakomitych, lecz nieznanych utworów, na tak ruchomym materyale byłoby — jak się zdaje — zawodne, oczywiście w pewnych dziedzinach. Gdzieindziej bowiem rezultaty przedstawiły się zupełnie bezspornie.

Tak więc w pierwszym dniu nowego stulecia dowiedzieliśmy się w sposób statystyczny o poglądach kilkuset uczonych, literatów i artystów na naszą twórczość duchową w XIX stuleciu — a taka informacya nigdy nie może być pozbawiona wartości.

*
* *

Numer ostatni „Prawdy“ z roku ubiegłego skończył dwudziestoletni okres jej istnienia. Wskutek tego redakcya ogłasza krótką historyę pisma, „którego każda chwila była nieubłaganą, konsekwentną, gorącą walką ze stugłowym potworem przebiegłej obłudy, wstecznictwa i zawsze zbrojnej reakcyi, którego czyn i krok każdy był wytrwałą obroną wysuniętej naprzód i narażonej na niebezpieczeństwa największe reduty, stojącej wiernie przy hasłach, zaprzysiężonych w dzień swego powstania i r o z w i j a j ą c e j je tylko pod wpływem wymagań niepowstrzymanego w biegu czasu“.

Tymczasem zaznaczamy tylko ten rzadki i ciekawy „jubileusz“. Powrócimy doń w najbliższej przyszłości, ponieważ nastręczają nam się pewne uwagi natury społecznej i pewne wątpliwości natury literackiej.

*B. Koskowski.*

# Z żałobnej karty.

## † Bronisław Grabowski.

W ostatnich dniach ubiegłego stulecia doszła do nas smutna wieść o zgonie jednego z najdawniejszych i najwierniejszych naszych współpracowników, ś. p. Bronisława Grabowskiego, który od pierwszego roku istnienia naszego pisma zasilał je swemi pracami. Urodzony w Kaliszu w roku 1841, w r. 1857 ukończył gimnazyum w Piotrkowie, w 1860 wstąpił na wydział filologiczny w Petersburgu, od r. zaś 1862 — w warszawskiej Szkole Głównej, gdzie pod przewodnictwem uczonego slawisty, Bolemira Kvieta, oddał się z całą gorliwością studyom nad literaturą, życiem i językiem pobratymczych Słowian. Praca zawodowa nauczyciela w gimnazyum rządowem zrazu w Warszawie, potem zaś w Częstochowie i Pińczowie, gdzie go ostatecznie śmierć zaskoczyła (dn. 23 grudnia r. z.), nie ostudziła w nim zapału do umiłowanych studyów. Owocem ich są liczne prace etnograficzne, historyczne i historyczno-literackie, drukowane w „Niwie", „Ateneum", „Bluszczu", „Tygodniku Illustrowanym", dodatku literackim do „Kraju", „Wiśle" i innych; jako to: „Słowieńcy, naród ich i dzieje", „Bułgarya i Bułgarowie", „Obecny ruch literacki w Chorwacyi" (1879), „Karolina Świetla, studyum literackie", „Matica Chorwacka i ruch literacki w Chorwacyi", „Teatr w Czechach", „Kanonik Franciszek Raczki", „Trylogia antyczna w literaturze czeskiej", „Akademia czeska nauk i sztuk pięknych w Pradze", „Akademia południowo-słowiańska w Zagrzebiu", „Wystawa etnograficzna w Pradze czeskiej", „Jarosław Vrchlický i jego dramat Bar-Kochba" (1899), dział literatur słowiańskich w „Dziejach literatury powszechnej z illustracyami", oraz w „Obrazie literatury powszechnej w streszczeniach i wyjątkach"—wreszcie cały szereg przekładów z poetów czeskich, chorwackich, słowieńskich i t. p. w rozlicznych czasopismach. Dodać należy, że zmarły brał żywy udział w ruchu t. zw. „wzajemności słowiań-

skiej" — i na tem polu po jego śmierci pozostaje luka niezapełniona.

Utwory oryginalne ś. p. Grabowskiego mniejszą posiadają doniosłość społeczną i literacką. Należą tu dramaty historyczne, osnute przeważnie na tle walki Słowian z wrogami z zachodu i południa— Niemcami i Turkami — „Mściwój i Swunhilda" (1876), „Syn Margrafa" (1880), „Królewicz Marko" (t. r.), „Domna Rozanda" (1886), „Boruta" (1890), „Jadwiga Tarłówna" (1898 w „Ateneum"), „Prokini czyli światłość w ciemności" (1900), oraz „Krzysztofor, tragikomedya żokowska" (t. r.), przygotowana na uroczystość jubileuszową uniwersitetu Jagiellońskiego; dalej urywki i szkice dramatyczne „Na wodach", „Sprzymierzeńcy czyli inteligencya w miasteczku" (1876), „Drugi raz", „Noc dwóch wieków", wreszcie cały szereg mniejszych lub większych utworów lirycznych. Ostatnia praca ś. p. Grabowskiego p. t. „Teorya literatury" nosi w nagłówku datę roku 1901, którego autor — niedoczekał.

## † Daniel Wierzbicki,

Doktór filezofii, adjunkt obserwatoryum astronomicznego, podskarbi towarzystwa tatrzańskiego, zakończył życie w Krakowie dn. 31 grudnia r. z. Zmarły był autorem cennych prac w zakresie astronomii i meteorologii, umieszczanych w „Pamiętniku Akademii Umiejętności", „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego", „Kosmosie", „Pamiętniku Fizyograficznym" i inn.

Cześć ich pamięci. *h.*



Дозволено Цензурою. — Варшава, 5 Января 1901.

Wydawca: *Wł. Spasowicz.*
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*